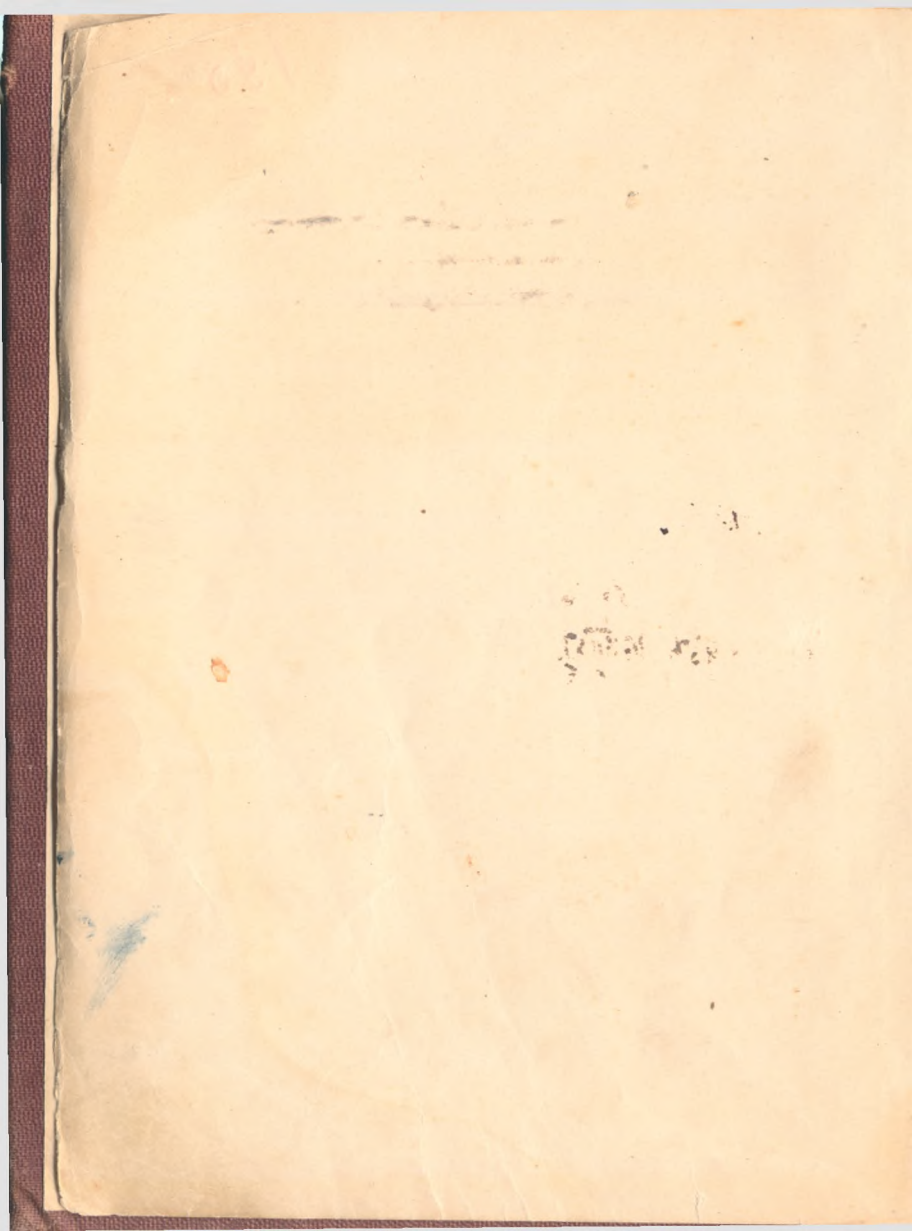




10065863

40

790



40 CH 207

# PACHOLE

## HETMAŃSKIE.

DYARYUSZ WALENTEGO ROŻANKI

PRZEZ

WINCENTEGO POLA.

---

WARSZAWA.

Druk W. DUNINA i S-ki

Krak.-Przedmieście № 17.

—  
1903.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ  
Варшава, 28 Апрелья 1903 года.

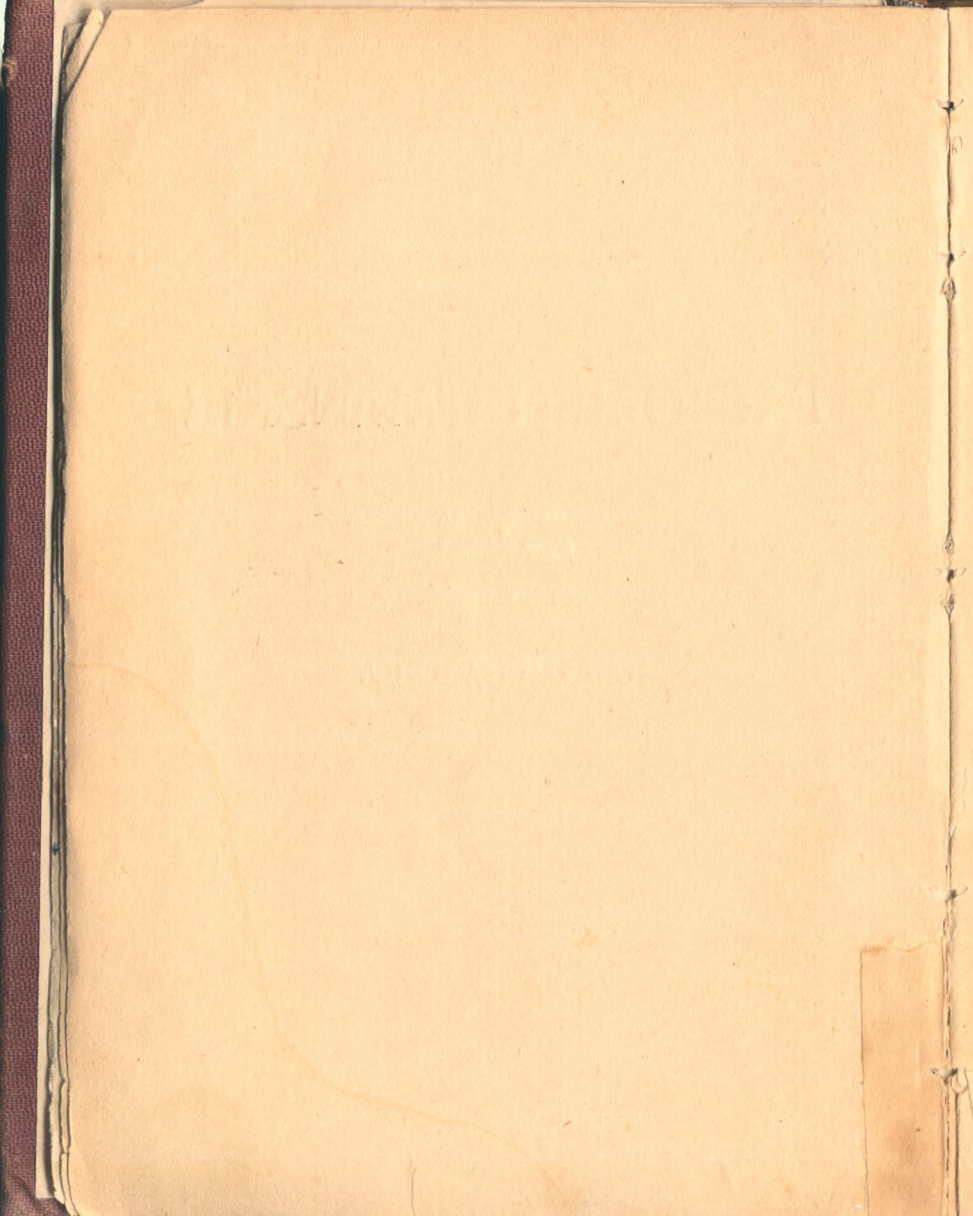


10091, 1/c  
82-11-9

# PACHOLE HETMAŃSKIE

---

KSIĄG PIĘCIORO.





*In Nomine Domini!*

DIARIUSZ  
WAJENTEGO ROŻANKI

DWORZANINA NIEKIEDY JEGOMOŚCI

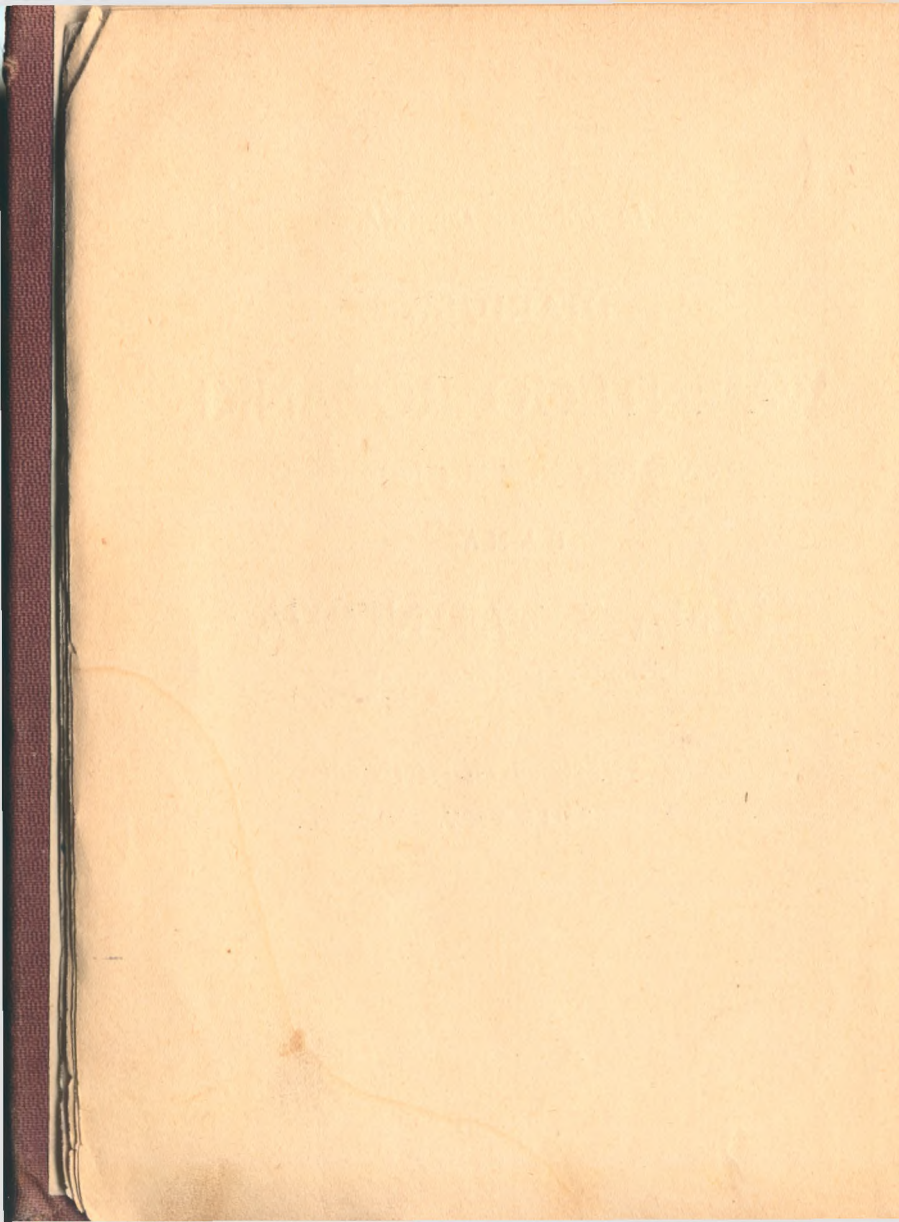
P A N A

JANA Z TARNOWA

HETMANA WIELKIEGO KORONNEGO.

*Ad perpetuam rei memoriam*

SPISANY.



# TREŚĆ DIARIUSZA.

---

## KSIEGI PIERWSZE.

Pachołę Hetmańskie.

## KSIEGI WTÓRE.

Hetman i śmierć Jego.

## KSIEGI TRZECIE.

Wdowi Dwór i Pielgrzymka do Ziemi Świętej.

## KSIEGI CZWARTE.

Jassyr pogański, Wybawieni z niewoli, Powrót do Ojczyzny, Kresy na Dnieprze.

## KSIEGI PIĄTE.

Powrót na Ojcowiznę i Zakończenie Diariusza.

---

„Antiquam exquirite matrem“.

## DO CZYTELNIKA.

---

W wiernej ja służbie podaję Ci tu  
Wielką buławę, sławną w bitwach stu,  
Abyś Ty miły Czytelniku znał,  
Jakim to bywał z Leliwitów Jan,  
Wielkiej buławy na Tarnowie Pan,  
Jak i w ojczyźnie i w kościele stał?  
Zkąd wiódł swój ród,  
W co rósł na wiek,  
Co miał za trud,  
Jak stał—i legł?...

---

KSIEGI PIERWSZE.

PACHOLE HETMAŃSKIE.

---

*Anno Domini 1546.*

O nowem lecie straszna była zima:  
Gąty strzelały od mrozów na dachu,  
Wilcy już po wsi świecili oczyma  
I lud się garnał do dworu ze strachu.  
Straszna kurniawa dęła trzy niedziele,  
Zawiało drogi i płoty i dachy;  
Więc i z dniem każdym co raz większe strachy,  
Bo wilcy sobie poczynali śmieje:  
Ni się do wody, ni dostać do paszy,  
Płotem palono, by nie iść do lasu,  
Więc i gromadzie i drużynie naszej  
Tak się już zdało, że ginąć bez czasu!  
Bo bydło ryczy i fuka się trzoda,  
A więc po chatach świecono gromadnie,  
Przez całe noce—i co nocy szkoda  
I nikt nie wiedział, co na kogo padnie?

Bo we dnie nawet długim sznurem cieką  
Wilki od lasu, co był nie daleko;  
A przez noc całą wyją straszdem stadem!  
W koło obory i za dworskim sadem.  
Nikt się nie ważył ruszyć nawet we dnie  
Ani w sąsiedztwo, ani do kościoła,  
Więc sołtys zebrał ze wsi ludzie przednie  
I spędzić kazał statek do okoła.

Niemają było pracy i mozołu,  
Boć podawano aż przez strzechę dzieci  
I dzień się minął, zanim do okoła  
Spędzono bydło ze wsi po zamieci;  
Z dymników tylko lud się nawoływał.

Ja byłem w on czas nieletnim chłopczyzną,  
A więc w babieńcu na zapieckum bywał  
I z trwogą słuchał o tem wszystkim ino.

Moja Sufczyzna, co rządziła dworem  
Po śmierci matki zawdy jednym torem,  
Była niewiastą rządzą i spokojną  
I wiodła rządy ręką bogobojną  
I na krok nigdy już mnie nie odbiegła,  
Lecz i maleństwa i sieroctwa strzegła  
Mego tak wiernie, niby rodzicielka.  
I była dla mnie miłością tak wielką,  
Że i dziś jeszcze na jej upominek  
Ze łzami mówię „Wieczny odpoczynek.“

Po śmierci matki, jakoś rok dochodził,  
Rodzic w żałości zamknął się po stracie,  
I tak czarnemi myślami się wodził,  
Że całe noce chodzi po komnacie.

Z pokoju wybić dał drzwi do piwnicy,  
Mnie tylko czasem wolno stać na boku,  
A on co chwila leje do szklanicy  
I mówi sobie: „nie przeżyję roku!...“  
A jak go trunek z północka rozbierze,  
W stołowej izbie do obrazów gada,  
Płacze i wzdycha i mówi pacierze  
I krzyżem leży, lub bez zmysłów pada,  
A potem w łożu przez dzień cały chory,  
I poszły szeptem przez sąsiednie dwory...

Nie jeden wstąpił, jadąc niby drogą,  
Lecz rodzic widzieć nie pragnął nikogo...  
Więc krótko tylko gość zazwyczaj bawi  
I tylko moja Sufczyzna go wita;  
Zwykle już tylko o mnie się zapyta,  
Pogłaszcze, westchnie i sam się odprawi.  
Każdy uciekał, tak się dwór osmucił...

Kwiatki porosły już na matki grobie,  
Płacze Sufczyzna i ja płacę sobie,  
Lecz rodzic z żalu swego się nie cucił...

Tak nas nareszcie i zima zapadła,  
I twarz rodzica co dzień więcej bladła,  
I mówił co dzień strapionej Sufczyni:  
Że na rocznicę to i on się minie!  
Tak sobie uprządkł, że skończy do roku  
I już z komnaty nie czynił i kroku.

Straszno przypomnieć czas tej zimy srogiej,  
One impety i żale rodzica,  
I one noce, gdzie od wilczej trwogi  
Pod zaspą drżała cała okolica:

Bo na gwałt trwoga wieś co nocy budzi,  
A matka moja w śmiertelnej koszuli  
Chodzi po dworze i nawiedza ludzi  
I we snach za mną wstawia się najczulej...

Był Grzelo Cywa, sołtys i wybraniec,  
Co miał Zarąbek i swój gaj od granic  
I sądy trzymał i rej we wsi wodził,  
Bo przy taborze pod Obertyn chodził.

Zarąbek trzymał z królewskiego daru,  
Rodzic z nim pijał z jednego puharu,  
Bo jako łucznik nosił zawdy zbroję  
I razem długo chodzili na boje.

On stary Cywa, choć w Zarąbku siedział  
Niby na stronie, dobrze wszystko wiedział,  
Co się tam działo we wsi i we dworze;  
Więc siadł na wołu, zawdy zbrojny wszystkim,  
Wziął siedmiu synów, wszystkie psy na stróżę  
I gnać przed sobą rozkazał dobytek.  
I wierzchem działu przy pomocy Boskiej  
Z bydłem i ludźmi spuścił się do wioski.  
Ludzie już we wsi ginęli od strachu,  
Lecz gdy głos Cywy ozwał się z nad dachu:  
„Ha tu gnaj bydło!“ przybyło otuchy;  
Duch znowu wstąpił w potrwożone duchy  
I każdy z statkiem kopał się do toru,  
A Cywa bydło kazał gnać do dworu,  
I gdy już wszystko stanęło w okole,  
To dał poczesne i rozkaz i radę.  
Z drągiem przy bydle postawił gromadę,  
A sam przed ganek zajechał na wole.



Kiedy Sufczyzna obaczyła Cywę,  
Aż zapłakała; ale Cywa do mnie:  
„A miłe moje! moje miłościwe!  
Kochaj mnie, kochaj! bo kocham potomnie,  
I wziął na ręce i cackał i kochał.  
Ot i jam szłochał i dwór cały szłochał.

„Gdzie Pan, Sufczyzno? ja idę do Pana,  
Hej zaknę jeszcze, zaknę na Hetmana,  
Toć może jeszcze do nas się przygarnie,  
Bo żal się Boże by tak ginąć marnie.“  
I szła Sufczyzna; Grzel niósł mię na rękę  
I drżało serce od płaczu i lęku.  
Gdyśmy wstąpili z cicha do komnaty,  
Było w komnacie ciemno niby w nocy,  
Bo wszystkie okna zakryte makaty,  
A rodzic łoże zalegał w niemocy.  
W kominie tylko tłała jeszcze kłoda,  
Cywa z makaty odarł jedno okno:  
„Panie! niech ludzie dłużej w łzach nie mokną  
I was mi szkoda i pisklęcia szkoda;  
Chłopy jak baby na zapiecku siedzą,  
Pan się opuścił i wilcy nas zjedzą.  
Otóż się świadczę, zem jest żywy w porę,  
I jak Bóg żywy, ja to pisklę biorę,  
A coby na to pan Hetman powiedział,  
Zem na Zarąbku niby gawron siedział?“

Rodzic się porwał od razu na nogi:  
„A cóż mi czynić?“ pytał Cywę dusznie,  
A Cywa do stóp skłonił się posłusznie  
I rzekł po chwili: „Wstańcie Panie drogi!“

I na to słowo rodzic się ukoił,  
I rozkazanie jakby wziął hetmańskie  
Rażno i zdrowo przy Cywie się zbroił;  
I rzekli ludzie: „Przemienienie Pańskie!“

Cywa przyjechał już jak łucznik zbrojny,  
Miał łuk po sobie i strzały w kołczanie,  
Jak zwykł był nosić przed laty do wojny;  
A miał i serce i sołtysie zdanie.  
Więc gdy rodzica uzbroił, powiada:  
„Wilków jest wielka pode wsią gromada,  
A co najgorsza, jeszcze przeszłej nocy  
Wpadł tu wilk wściekły, com go ubił z procy.  
Więc nam nie czekać, aż wilki przecieką,  
Lecz wybić wszystkie, nim się jeszcze wściekają,  
Na czystem polu nie damy im radę,  
Ale dziś w nocy z prosięciem objadę  
Po zagumienkach i tak im poradzę,  
Że je w dziedziniec zamknięty sprowadzę,  
A tu już legną na drągi i strzały.  
Otóż złagodzić idę samapaly“.

Jakoż w dziedzińcu kazał złożyć sęgi,  
Ludzi uzbroił i w strzelby i drągi  
I jak na twierdzy u wierzchu posadził,  
A potem sanie po myśliwsku zładził,  
Obił kosami i ogroził płotem  
I do tych sani wybrał stare klacze.  
A starsze syny (dęby i siłacze!),  
Aby nie poszło biedę i wywrotem,  
Pod wielką grozą na te klacze wsadził;  
I mrok już padał, kiedy wieprzy stado  
W dziedziniec spędził, a to na tę sprawę,  
By lupur z kłami miał sobie zabawę,  
Kiedy myśliwi już z powrotem zjadą.

I nastał wiater nad samym wieczorem  
I miesiąc w pełni podniósł się nad borem.

Biało i cicho, a widno jak we dnie  
I już na saniach stali strzelce przednie  
I już prosięta dano w wielkim miechu,  
Gdy rodzic wyszedł i do Grzeli rzecze:  
„Trzynastu pono wilkom nie uciecze,  
Więc i ja jadę” i skoczył w pośpiechu  
W myśliwskie sanie, co już były w biegu;  
I zaiskrzyło się tylko po śniegu.

Moja Sufeczyna w wielkiej bardzo trwodze  
Zebrała białą czeladź do modlitwy:  
I klęczym w oknach i patrzym po drodze,  
Kiedy tam wrócą sanie z tej gonitwy?

Jakoż po chwili padł najprzód strzał głuchy.  
Jeden i drugi i już strzały częstsze  
I coraz bliższe i coraz to gęstsze,  
Że nam aż w piersi zapierało duchy,  
Bo ledwo wioskę opędziły sanie  
I na kołowrot miały się z powrotem,  
Zawyły wilki straszno po za płotem  
I za waderą rzuciły się na nie.  
A gdy je Cywa podrażnił prosięciem  
I po jednemu wilkom z miecha ciskał,  
Z takim za sańmi sadzą się zawzięciem,  
Że ogień niby ze ślepi im pryskał..  
A rodzic krzyknął: „Nuż co siły w konie!  
I pał w waderę!” i wadera siadła  
I miotły strzały i kosy po stronie.  
Poczem czerniawa tak się już rozjadła,  
Że równo z sańmi na dziedziniec wpadła

I tu dopiero rozpoczął się taniec:  
„Pędź w koło sągów! pędź!“ krzyknął wybranie

Za bramą skryci stają chłopcy z drągi,  
A sanie w koło objeżdżają sągi;  
Wilki za saniami sadzą się gromadą,  
Grzmią gęste strzały z sani i z nad sągów  
I gwałt i tartas; fuka wieprzy stado  
I legły wilki od kłów i od drągów,  
I w ciemne płyty po śniegu posoka,  
A miesiąc temu przyświecał z wysoka.

Cała gromada była nocy onej  
Z dziećmi i z bydłem we dworze zebrana,  
I lud był głodny i bardzo strwożony.  
Więc rodzic kazał strzymać lud do rana,  
A starszych gazdów prosił na podkurek.  
Z ludzi służyłych był Cywa i Nurek,  
Obaj łucznicy: Cywa z nami bawił  
A Nurek kotły w dziedzińcu zastawił  
I krupnik ludziom uwarzył do świtu  
I upiekł wołu i było do sytu...

Od śmierci matki nie było we dworze  
Jeszcze tak ludno i dusznie wesoło,  
Rodzic nie myślał nawet iść na łożo,  
Lecz zdrowo czynił i rozsepił czoło  
I z Cywą tylko o starej wojence.  
I ogień strzelał ochoczo w kominie  
I stare gazdy brali mnie na ręce  
I miło wspomnieć sercu jeszcze ninie  
I tę noc gwarną i miłość ogniska,  
Co takie światło po dziś w duszę ciska.

Nikt ani spostrzegł, jako noc się migła,  
Taka to radość była i ochota.  
Gdy z tych opałów gromada wystygła,  
A słońce znowu zeszło w nasze wrota.  
Cywa już po dniu dał wilki obielić.  
Ej byłóż padła i do kwasu skóry  
I szubienicę wilczą czem obdzielić,  
Bo jak jałówki, takie tam łupury  
Leżą w dziedzińcu i po krwawym szlaku  
I całe gniazda wybite do znaku!

Rodzie tak nabrał serca przy gromadzie,  
Że po śniadaniu do Nurka powiada:  
„A niech-no waszeć jeszcze ogień kładzie  
I niech ze dworu nie idzie gromada,  
Za nim się przetrą bydłem trochę szlaki,  
Bo to nie każdy pono już zuch taki,  
By jako łucznic brodził po zamieci.  
Szkoda mi niewiast i tych drobnych dzieci,  
Otóż przytulić i pożywić trzeba,  
A pono jeszcze nie braknie tu chleba.  
Więc wszystkich ludzi proszę na gościnę,  
Niech się weselą i starsi i młodzi;  
Rocznica śmierci pani mej nadchodzi,  
A na rocznicę to i ja się minę!  
I Bóg wie tylko, czy kto ludzi sprawi  
I ludziom stypę pocziwie wyprawil  
To dzień dzisiejszy niech za stypę staje;  
A rad i woły i barany dają.“  
Rzekł rodzic w żalu bardzo żalościwy  
I znów pić począł do Nurka i Cywy.

Cywa, choć nigdy nie kochał mitregi,  
Pił co w najlepsze, lecz miał rozum tęgi;

Dodatek do Kur. Codz.—„Pachole Hetmańskie“. 2

Otóż gdy widział, że się pan obaczył  
Z żalu tej nocy, pchnął do stryja syna,  
Aby z sąsiady w przedce zjechać raczył,  
Póki poradna jest jeszcze godzina.

Jakoż bez bawy, w same posła ślady  
Zjechał stryj starszy z kilkoma sąsiady.  
I rodzic w wielkiej rozlał się żałości,  
Gdy przyszło witać i uraczyć gości.

„Bracie, ja ginę! Zbliża się rocznica  
Śmierci nieboszczki: i w rocznicę samą  
Każ robić trumnę i podaj gromnicę  
I czekaj gości na stypę przed bramą...”

Stryj wzdłuż komnaty chodził długo sumnie  
I rzekł nareszcie: „Kiedy już w tym progu  
Z żywymi radzić przychodzi o trumnie,  
Czyby nie lepiej pamiętać o Bogu?  
Wszak w rodzie naszym i żyli i marli,  
Lecz nie po kufiu do trumny się darli.  
A na Bóg żywy! Panie Bracie! hoła!  
Gdzie Bóg i wiara i sława i wola?  
Precz dziś to jeszcze razem tu zabawim,  
Lecz my samego z kufiem nie zostawim;  
Nie wolno ginąć w żalu i z nałogu.  
Bacz się w narodzie i obacz się w Bogu!  
Przyjaciół szukać, kiedy boli rana,  
Radzę wyjechać: jedź brat do Hetmana,  
Bo z łaską zawdy o brata mię pyta”.

Rodzic nieboszczyk nie miał serca z głazu,  
Więc na te słowa rękę stryja chwytą  
I niby cudem wytrzeźwiał do razu;  
I do tej drogi w punkcie wszystko ładził,  
A na pół drogi stryj nas odprowadził.

---

Gdyśmy na zamku stanęli w Tarnowie,  
Witał pan Hetman miłościwie w Bogu,  
Rodzic mnie w łaskę zalecił już w progu  
I ręka w rękę odeszli w rozmowie,  
A mię do razu zdano pokojowym;  
I rozglądałem się na miejscu nowem...  
Później, w lat wiele rodzic mi powiadał,  
Jako się z panem w tej rozmowie składał,  
Gdy go do swojej komnaty sprowadził  
I oko w oko przed sobą osadził,  
Rzekł mu z czułością:

„Coś mi Waszmość smutny  
I jakiś tępy, dziwnie zastarzały?...“  
A rodzic w szlochach rozplynał się cały  
I rzekł: „Na duszę padł mi żal okrutny!“  
Na to pan Hetman:

„Ze smutkiem i wieści  
I straty onej wzięliśmy boleści;  
Ale Bóg wielki i on was pocieszył  
Jednak ja jeszcze coś więcej tu widzę!“  
— „Panie: rzekł rodzic, kiedy człowiek grzeszy  
Nie ma pociechy! — ja się sobą brzydzę!  
Bo po mej stracie dusza ma upadła,  
I boleść grzeszna sępem ją przysiadła,  
Ani nadziei już w ratunku dzielnym.  
Jam odpadł panie! — jam w grzechu śmiertelnym...“

Na to pan Hetman przebódl go oczyma:  
„Co? — grzech śmiertelny? i poprawy nie ma?...“  
— „Nie ma... i potępi! a lżej będzie duszy,  
Gdy mnie buława tu w tym prochu skruszy!  
Potępi mnie panie, nim mię Bóg potępi  
I nim się niebo na wieki zasępi!  
Rozum i wolę wszystką zabrał trunek,  
Upadłem panie, piję na frasunek...“

I padł na ziemię i całował nogi  
I biedną głową tłukł żal do podłogi,  
Aż Hetman w końcu:

„Co słyszysz?! — o Chryste!

Ramię tak wiernie! imię takie czyste!  
I syn jedynak i drobna sierota  
I skrzywić drogę pod koniec żywota?  
Czyż to Zbawiciel nie do końca z nami?!  
To wiary bronim, a do piekła sami!  
Niech serce z żalu w miłości nie stygnie,  
Więc wstawaj z grzechu, a Bóg z żalu dźwignie.  
Ja upaść nie dam! i dość tego szloch!“  
I ujął silnie i dźwignął z podłogi  
I taką wolą postawił na nogi,  
Że rodzic cudem, jak się dźwignął z prochu,  
Tak znał do razu, że się dźwignął w Bogu  
I z żalu swego i swego nałogu.  
I przeszedł wolno się pan po komnacie  
I rzekł po chwili:

„Słuchaj panie bracie!

Syn tu zostanie; sam trzeźwo do pola!  
Jak zdawna zwyczaj, zaciężno i ładnie.  
Kto nie niósł krzyża, ten pewno nie padnie,  
Wracasz do służby i taka ma wola:  
Chorągwie stoją dziś u Tarnopola,  
Jutro o świcie dam list do rotmistrzy,  
I stanowiska nie opuścić za nic  
I taka będzie tam służba od granic,  
Ze czuwać trzeba będzie co najbystrzej:  
Czy nie czas opleć pszenicę z kąkolą?  
Jaki tam wiaterek od Wołoszy wieje?  
I ślać mi gońce, bym znał co się dzieje  
I na Pokuciu i w całym Podolu“.



Kiedy nazajutrz przyszło do odprawy,  
Rodzic bez żalu w sercu i obawy,  
Wziąwszy mnie z sobą słowa nie powiedział;  
Przeżegnał tylko i zdał mnie w kolana  
Panu, co w delii przy kominie siedział.  
I rzekł pan tylko: „Jedź spokojnie bracie,  
Jakoś tu w Bogu dziecię to wyrośnie“,  
I mnie przygarnął ku sobie miłośnie;  
A gdym się podniósł od kolan hetmana,  
To już rodzica nie było w komnacie...

Jeszcze dnia tego, już wieczorną dobą  
Wziął mnie pan hetman do pani ze sobą  
I rzekł łaskawie: „One to pachole  
Zalecam w łaskę: ma być w naszej szkole,  
Ze mną spać będzie, przy Ojcu Melchiorze  
Będzie i jadał i miewał ćwiczenie,  
Po wale będzie biegał przy Irenie,  
Ale się z nikiem nie zetknie we dworze“.

Pani mnie wolno zmierzyla oczyma,  
Ale nie rzekła do mnie ani słowa;  
I oraz znałem, że wola surowa  
Wszystko na wodzy w onym dworze trzyma.

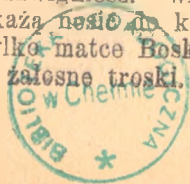
Lęk mnie ogarnął, co się ze mną stanie?  
Jak być potrafię przy surowym panie?  
Ale po chwili pan mnie z sobą bierze,  
I kazał klęknąć przed świętym obrazem,  
A i sam ukląkł i rzekł: „Zmówim razem,  
Pachole moje, nieszporne pacierze.  
Czy umiesz czytać?“ klęcząc już zapytał.  
Rzekłem strwożony: „Ojcum trochę czytał“.

— „To czytaj!” rzekł mi, i podał do ręki  
Brewiarz okuty, i otworzył księgę  
I wiersz pokazał, i zdjęły mię leki;  
A od tych lęków taką wziął potęgę,  
Żem lepiej czytał przed tym wizerunkiem  
Na rozkaz pański, niż umiałem czytać.  
Znać Matka Boża przybyła z ratunkiem  
Cudem sierocie w onej ciężkiej chwili;  
To już Jej tylko począłem się chwycać  
W tej mocnej wierze, że ona posili.

Pan w każdym wierszu prawie mnie  
[poprawiał,

Com nie domówił, z pamięci domawiał;  
Ale że byłem chłopak jeszcze nikły  
I do klęczenia w on czas nie nawykły,  
Że brewiarz ciężki był bardzo w mym ręku  
Ścierpły kolana i krzyże od lęku  
I w pół pacierzy zrobiło się ciemno;  
Ba już i liter nie widziałem prawie  
I już nie znałem, co się dzieje ze mną.

„Co ci to dziecko?” spytał pan łaskawie.  
— „Panie! nie mogę udźwignąć tej księgi!”  
„Toś, widzę, jeszcze pacholek nie tęgi,  
Lecz gdy nie dźwigniesz dziś Bożego słowa,  
Jakże krzyż dźwigniesz?” I sam księgę bierze  
I w głos dokończył kapłańskie pacierze.  
Jam w on czas nie znał, co znaczy ta mowa:  
„Jakże krzyż dźwigniesz?” więc myślałem zgoła,  
Że krzyż mi każą nosić do kościoła  
I polecałem tylko matce Boskiej  
Obawy moje i zalesne troski.



Wszedł pokojowy i rozebrał pana,  
Nałożył na noc i ognisko duże  
I odszedł z cicha, a u stóp hetmana  
I ja też ległem na niedźwiedziej skórce,  
Całując ziemię jeszcze z rozkazania.  
Ot i noc pierwszą przespalem do rana.

Lecz drugiej nocy już mnie hetman budzi  
I wstawać każe i wybiedz w kruzganek,  
Czy nie podbiegła jutrzienka na ranek?  
I czy już może nie czas budzić ludzi?

W kruzganku było i straszno i ciemno,  
Żadnegom nie znał niebieskiego znaku.  
Jakiś pies duży zjawił się przedemną  
I ledwom w powrót dobił się po émaku.

„A co?“ łaskawie hetman mię zapyta.  
„Zeszła jutrzienka? czy może już świta?“  
— „Ja nie wiem panie!“ odrzekłem nieśmiele,  
„Bo ja gwiazd nie znam“.

— „To ja ci pokażę,  
I poznasz gwiazdy o czasu nie wiele  
I znać się trzeba także na zegarze,  
„Bo Pan Bóg znaczy, a człek czasy liczy...“  
I powstał z łoża i wziął szaty na się  
I niebo nocne okazał w swej krasie  
I znałem w sercu, że pan w łasce życzy.

„Widzisz tę gwiazdę, co tak jasno mruga?  
To jest jutrzienka, wdzięczna Boża służa,  
Co noc rozpędza i świat wszystkim budzi  
I hajnał niebios zwiastuje dla ludzi;

Na dzień się bierze, gdy z nad baszty wita;  
A kiedy blednie i nad wieżę bywa,  
To już po chwili na świat wszystek świta.  
I sokół kwili, a i chart się zrywa  
I cenny kamień w sygnecie potnieje  
I czas krzyż zrobić i wstawać, bo dnieje“.

I mnie przeżegnał i przeżegnał siebie,  
Bo gwiazdy bladły na porannem niebie.

Gdyśmy wrócili, wziął mnie Iren stary  
Do pańskiej łaźni, obmył i dał szaty  
I dał kołpaczek, upiął pas do miary  
I tak do pańskiej puścił mnie komnaty.

Już przed obrazem stał pulpitek mały,  
A na nim leżał już brewiarz otwarty,  
I pan mi kazał czytać pacierz cały  
A klęcząc obok sam przewracał karty  
I w każdym wierszu prawie mnie poprawiał  
I kiedym chybił, z pamięci domawiał.

Ksiądz Melchior miewał codziennie Mszę  
[świętą.

Przede Mszą żadnej sprawy nie dotknięto  
I kiedy dzwonek znać z nad wieży dawał,  
Najprzód w kaplicy dwór wraz z panem stawał,  
A potem pani wchodzi z białogłowy;  
I drzwi na ościerz w kaplicy zamkowej  
I w całym zamku nie brzęknie już mucha,  
Bo Mszy w dziedzińcu naród nawet słucha.  
A po Mszy w izbie stołowej śniadanie  
I zobaczyłem tu księdza Melchiora  
(Którego odtąd miałem za mentora).  
Raz pierwszy stojąc za stolkiem przy panie,

Jako mnie Iren nauczył był z rana:  
„Pachole stawa za plecyma pana“.

Kiedy mnie hetman zdawał mentorowi,  
To krótko tylko do księdza przemówi:  
„Wielebny Ojczy, owo jest pachole,  
Co ma się dobrze ćwiczyć w naszej szkole;  
Słuchać i milczeć niech się naprzód uczy;  
To i dobierze do mądrości kluczy,  
Do tej mądrości, co człeku jedynie  
Z bojaźni Bożej w tej ojczyźnie płynie“

Na to ksiądz Melchior skłonił tylko głowę  
I wziął za rękę ze sobą do celi,  
I skorom wstąpił za te progi nowe,  
Znałem, że wolę tak pod władzę wzięli,  
Żem tylko w oczy patrzył ciągle z trwogą,  
Coby mi czynić? i gdzie stąpić nogą?

Myslałem sobie, że się szkoła zacznie,  
Ale ksiądz Melchior przezegnał pachole,  
Kazał mi słuchać, ba i patrzeć bacznie.  
I obok siebie posadził przy stole.

Pośrodku stołu bardzo okazały  
Stał zegar rzymski roboty misternej,  
W drobne koronki wydziergany cały,  
A wiary świętej wizerunek wierny;  
Bo całe dzieje starego zakonu  
I całe dzieje zakonu nowego  
Przedły się kołem z kołowrotu tego  
Koleją godzin, a za głosem dzwonu.

Tarczę dzierżyły złote lwy i ptaki,  
Dzielna na godzin dwadzieścia i cztery  
Była opięta niebieskimi znaki  
I opisana w tajne charaktery.  
Pośrodku tarczy miłościwie stała  
Królowa niebios bez zmayı poczęta;  
Bo w dopełnieniu czasów niebios chwala,  
A w Jej obliczu każda doba święta.  
Więc i godzina, której panowanie  
Kiedy dochodzi, przed królową stanie  
I znak zwierzyńca, co z kolei władnie,  
U stóp królowej w wiernej służbie padnie.

W obłoku złotym była niebios brama,  
Co się w znak dzwonu otwierała sama  
I z tej to bramy idą dzieje one,  
Co w dopełnieniu czasów są spełnione.

Więc, gdy jest biwszy jeden na zegarze,  
Anioł z tej bramy puszcza pierwsze strażę:  
I w żywe oczy patriarchów dzieje  
I pędzą trzody skotarze, Hebreje,  
I praszczur ludu, on Abraham stary.  
Gdy pierwsza doba domierza już miary,  
Z wszystkim taborem w ziemi obiecanej  
Przed oblicznością tej królowej staje,  
I Matce Bożej od wieków przejrzaney  
Z byłem i z ludem wielki pokłon daje.  
A Melchizedek, z którego kapłaństwo  
W zakonie poszło na ochrzczoną wiarę,  
Chlebem i winem wprowadza na państwo  
I pierwszą czyni bezkrwawą ofiarę...  
Więc kiedy druga bije na zegarze,  
To anioł niebios puszcza drugie strażę:

I ciągnie Izaak: co był duchem karny,  
Bo dan był z młodu na on stos ofiarny;  
Więc, gdy się z synem przed Maryą stawia,  
To pokoleniu jego błogosławi;  
Poczem z Jakóbem na kolana pada  
I Pani Niebios wielki pokłon składa.

Więc kiedy trzecia bije na zegarze,  
To anioł niebios puszcza trzecie strażę:  
I ciągną trzody, idą białogłowy  
Zaczerpnąć wody z studni Jakóbowej;  
I idzie Jakób, Patryarcha dzietny,  
Wielki przed Panem sprzymierzeniec Pański,  
A za nim kroczy synów poczet świetny,  
Z których dwunastu poszedł lud hetmański;  
A kiedy wszyscy przed Maryą stają,  
To wielki pokłon Pani Niebios dają.

Więc kiedy czwarta bije na zegarze,  
To anioł niebios puszcza czwarte strażę:  
I kroczy Mojżesz, co to Panu gwoli,  
Cudem lud wywiódł z egipskiej niewoli,  
I bracia Judy czoło opuklerza,  
I niosą arkę starego przymierza.  
A niby woda lud wybrany płynie  
Do obiecanaj ziemi przez pustynie;  
Lecz gdy w obliczu Pani Niebios staje,  
To Mojżesz łaską, Aron kadzielnicą,  
Królowej Nieba wielki pokłon daje  
I mir się korzy przed Bogarodzią.

Więc co godzinę po lasce Mojżesza  
Idą proroki, których sam Pan wskrzesza,  
By wolę Jego głosili po stule,  
By się lud baczył i baczyli króle,

By słowo Pańskie nie poszło na nice,  
A lud wybrany na służbę w stworzeniu,  
W rękę proroków, w czasów dopełnieniu,  
Przed wieki daną ziścił obietnicę.

Więc szli z kolei od niebios przysłani  
Sędziowie ludu i arcykapłani  
I Boże raby, widzące proroki,  
Zwiastując przyjście Zbawiciela Pana,  
Próstrując ścieżki i prowadząc kroki,  
By się spełniła obietnica dana  
Przez usta Pańskie po upadku człeka,  
W lilii Jessego przejrzaney od wieka...

I jedenastą gdy już dzwon uderza,  
Kończą się dzieje starego przymierza:  
W połowie czasów gwiazda świata wschodzi  
I chwala Panu bądź na wysokości,  
Bo słowo ciałem, bo nam się Bóg rodzi,  
A chór aniołów i ludkowie prości  
I wół i osioł święcą dzień wesela  
I na świat wszystkim głoszą Zbawiciela.

Kiedym raz pierwszy tę szopkę zobaczył,  
To tak mnie mocno ten żłobek ucieszył,  
Żem aż śmiał błagać (gdybym tam nie zgrzeszył),  
Żeby ksiądz mentor pozwolić mi raczył  
Uściskać stopy Dzieciny Najświętszej.  
W onej miłości sercu najgorętszej;

Jakoż zezwolił na to bez urazy.  
I Boży żłobek przeszedł kołowrotem  
I dzwon uderzył po dwanaście razy,  
A mentor uczył liczyć mnie za młotem.



W połowie doby na całym zegarze  
Ustąpił anioł, a niebieskie strażę  
Wziął po aniele u bramy Jan Chrzyciel  
I do chrztu przykląkł w Jordanie Zbawiciel.

A gdy trzynasta biwszy jest godzina,  
To apostołów pochód się poczyna:  
I naprzód idzie drogą Chrystusową  
Piotr, co jest skałą i widomą głową,  
Jako w kościele klucze nieba trzyma;  
Wyższego nadeń na ziemi już nie ma.  
Za nim dopiero w ślad ewangeliści,  
Bożego słowa szafarzowie czyści:  
A więc Jan z orłem, a Mateusz z wołem,  
Marek z lwem w skrzydła, a Łukasz z Aniołem.

Więc też z kolei biła siedemnasta  
I poczt wybranych co godzina wzrasta.  
I idzie reszta uczniów Pana Chrysta,  
I wiara święta w narodach się szerzy.  
I za krzyż Pański płynie krew przeczysta,  
I są ochrzczone i świat mocno wierzy.

I osiemnasta bije na zegarze  
I idą Chrysta wybrani na strażę:  
I z różnych krain i z różnych języków  
Poczt purpurowy ciągnie Męczenników.  
I patrzy w niebo bez skargi i trwogi,  
A srodzy kaci i dzikie zwierzęta  
Stają w połowie Chrystusowej drogi,  
I w ziarno wiary krew się zmienia święta.

I dziewiętnasta bije na zegarze  
I w ślad Jan Chrzyciel nowe puszcza strażę:

Ciągnie sług Bożych i wyznawców grono,  
Idą z kolei Pańscy pracownicy  
I spracowani na Pańskiej winnicy,  
Których Pan służby nagrodził koroną.  
W ślad Męczenników poczt się wiernych kupi-  
I idą wielcy patroni, biskupi,  
Co szli w narody z Bożego przejrzenia,  
Niosąc i światło i moc utwierdzenia:

I na zegarze bije już dwudziesta  
I nowem światłem świeci niebios cesta:  
Święta Helena niesie krzyż na przedzie  
I poczt wybranych niewiast z sobą wiedzie;  
Orszak w pół śnieżny, a w pół purpurowy,  
Przeczyste panny i przeświète wdowy  
Idą w ślad wielki pierwszych apostołów,  
Drogą Chrystusa pod strażą Aniołów;  
I gdy w światłości przed Maryją stają,  
To wielki pokłon gwiaździe morza dają.

I na zegarze dwudziesta i pierwsza,  
I w dzikich puszczech Pan Bóg cuda czyni  
I ciągnie bracia w pokucie najszczersza:  
Z góry Karmelu i z wielkiej pustyni,  
Idą przy bestyach święci pustelnicy,  
Dojrzałe grona z tej Pańskiej winnicy,  
Jaką Zbawiciel szczepił po nad drogą,  
Po której niegdyś przeszedł świętą nogą.

I na zegarze dwudziesta i druga,  
I ciągnie wiara od miecza i pługa  
W krzyżowe drogi i przez krajów wiela  
Do ziemi świętej tłumnie i potężno,  
Aby grób zdobyć Pana Zbawiciela  
I z mocą pogan łamać się orężno.

A za rycerstwem w ślad onych zagonów  
Ciągną z pokorą apostołskie męże,  
Założyciele świątyń i zakonów,  
Na krzyż i rydel zmieniając oręże.

I jest dwudziesta i trzecia na czasie,  
I stają dzieje Boże w pełnej krasie,  
I kroczą z wielką powagą do koła  
W Bożej mądrości Ojcowie Kościoła.

I bije w końcu dwudziesta i czwarta,  
I brama niebios przez chwilę otwarta,  
Bo nowa doba to i łaska nowa,  
I wolno stoi droga Chrystusowa.  
I naprzód długo sam kołowrot warczy.  
Aż znów widzenia łaskawe się jawią,  
I po kolei idą po tej tarczy  
I pobok siebie na tarczy się stawiają.

Więc patryarchy wybranego ludu,  
Więc i proroki zwiastunowie cudu,  
I sędzie stare i męże hetmańskie  
I Apostoły, Chrysta wysłannicy,  
I w imię Chrysta święci Męczennicy;  
Więc i wyznawcy, jako sługi Pańskie.  
Więc i oddane niebu białogłowy,  
Przeczyste panny i przeświète wdowy,  
Zakonodawcy i krzyża rycerze  
Stają tu społem do wielkiego koła,  
W wielkiej nadziei, miłości i wierze,  
A poczt zamknęli Ojcowie kościoła.

W niebieskiej bramie i u jasnej góry  
Stają Aniołów nieprzejrzane chóry,

I jasność świeci już wszelkiemu oku.  
Bo Trójca Święta staje na obłoku  
I Bóg w wielkości swojej niepojęty  
I Pan Zastępów: Święty! Święty! Święty!

---

Kiedy zjawienie miłościwe znikło,  
To jał się zamęt biednej mojej głowy,  
Bo ani dusza, ni oko nie zwykło  
Do tyłu skarbów, ni zrozumieć mowy,  
Jaką ksiądz Melchior drogę czasu znaczy  
I na zegarze wszystko mi tłómaczy.

Znał to ksiądz mentor—i rzekł mi: „Pachole!  
Dziś pokazałem cały zegar tobie,  
Byś znał, jak czasy mierzy w całej dobie,  
Ale na przyszłość nie tak będzie w szkole:  
Po jednej tylko weźmiemy godzinie,  
A jak łaskawe zjawienie się minie,  
To czytać z księgi będziem, co to znaczy,  
Bo pismo święte ten zegar tłómaczy.  
Za czasem poznasz i jedno i drugie,  
Jako przystało na pańskiego sługę,  
Na dzisiaj dosyć”—rzekł mi i zadzwonił.

Wszedł Iren stary i czekał na wolę  
I rzekł ksiądz Melchior:—„Hetmańskie pachole  
Będzie codziennie bywać przy sokole,  
A i pobiegać nie będziesz mu bronil;  
W kruzganku pańskim wolno bawić skromnie,  
A jak zadzwonią, to powracać do mnie.“  
I skłonił Iren i kazał, bym skłonił. —

W długim krążanku, co wiódł w progi pańskie,  
 Na berlach rzędem sokoly hetmańskie  
 Siedziały sobie i stał sokolniczy,  
 Co im żer dawa i do łowów ćwiczy.  
 I zdjął z każdego kapturek do żeru  
 I pierś pogłaskał każdemu dla miru,  
 Aby ptak w ręku łowcy się nie płochał.  
 A gdy każdego ugładził, ukochał,  
 Dawał gwizdaniem hasło sokolnicze  
 I kawał mięsa ciskał mu w oblicze,  
 Jako na łowach daje się odprawa,  
 Kiedy sokolnik w polu w berłem stawa.  
 I żer w powietrzu pochwycił ptak chciwie,  
 Żem z miejsca pierzchał przed każdym trwożliwie.  
 Otóż sokolnik zlekka mnie pogładził,  
 Wziął mnie na ręce i cackał i laszył,  
 Owinął rękę, abym się nie straszyl,  
 I na niej pięści sokola posadził;  
 A kiedy sokół siedział już na pięści,  
 Rzekł mi od serca:— „Niech Bóg Wielki szczęści.  
 A patrzże w oczy miły mój sokołe!  
 Byś w polu poznał hetmańskie pachole.“

Wszystkie sokoly miały swe nazwiska.  
 Otóż gdym bawił przy nich codziem zbliska,  
 Uczył sokolnik, jako je nazywać,  
 „Bo ma znać o tem, kto ma z panem bywać“

Każdy inaczej miał szyty kapturek  
 I inszy dzwonek i stosowne miano:  
 I był tam „Kubus“ i „Piorun“ i „Nurek“,  
 A po hiszpańsku jeszcze inne zwano:  
 Był tam „Idalgo“, „Alkasar“, „Ewora“,  
 I „Rara Avis“ i „Wampir“ i „Zmora“.

Dodatek do Kur. Codz.—„Pacholę Hetmańskie“.

Na szyi mieli tabliczki spiżowe,  
Na nich pisania jakieś maurytańskie,  
Bo były wszystko zdobycze bojowe,  
A więc klejnoty i specyaly pańskie!  
Kiedy pan z młodu za przejrzeniem Bożem  
Królestwo maurów zwojował za morzem,  
Przywiózł je z sobą z bojów w ziemie nasze,  
A czołem wszystkich snać „królewskie ptasze“.

Był to „Aldabon“—miał tabliczkę złotą,  
Bo wszystkie ptaki przegórował cnotą.  
Po królu maurów niegdy spadkiem wzięty,  
Był i na czaple i łabędzie cięty,  
A na tabliczce onej złotoszczerej  
Królewskiej cyfry nosił charaktery...

Sokolnik bardzo mnie bawił życzliwie,  
Lecz gdy się wszemu, com tam widział, dziwię,  
Ozwał się dzwonek i już po zabawie,  
Boć to na obiad zadzwonili prawie.  
Więc stary Iren wiedzie mnie do celi,  
Gdzieśmy z mentorem pierwszy obiad mieli,  
A po obiedzie z Irenem na wały.  
A tutaj znowu wszystko rzeczy nowe:  
Mijamy strażę i strzelcy spiżowe  
I tak obchodzimy wkoło zamek cały,  
A stary Iren wszystko mi tłumaczy,  
Abym znał w sobie, co to wszystko znaczy.

I znowu oba wracamy do celi.  
I tak dzień po dniu dzielony się dzieli,  
Trochę nauki i zabawy w duchu,  
Trochę czytania na rzymskim zegarze,  
Trochę pobieżki na zamkowe strażę,  
Lecz wiecznie milczkiem i wiecznie w posłuchu,

Póki znów dzwonek nie ozwie się z wieży  
I do nieszpornych nie klęka pacierzy  
Ksiądz Melchior w celi, to ja przy nim bawię,  
Poczem z Irenem przed panem się stawię.

Tu znowu brewiarz i pan mię poprawia,  
Co nie domówię, z pamięci domawia.  
Wieczorem jadał już tylko sam jeden  
I choć nie byłem ganiony ni bity,  
Drżałem od trwogi w sercu bardzo bieden  
I cisnął duszę jakiś żal ukryty,

Ni się pożalić, ni pogłaskać komu,  
Nikt mnie Walusiem nie zwał w całym domu.  
Nikt nie zapytał: „czy czego nie życzę?“  
I pan i mentor miał groźne oblicze,  
I każdy sobie, nawet Iren stary  
Tak samo trzymał i do jednej miary;  
Bo kiedym pytał o jedno dwa razy,  
To chociaż bywał ku mnie bez urazy,  
Nie rzekł i słowa, więc sokolnik tylko  
Przypadł duszy i tą jedną chwilką  
Dusznej pociechy stałem w onym dworze  
I nieraz myślę: „O mój Wielki Boże!  
Czemu ja biedny nie jestem tym ptakiem,  
Czemu się nie ma tu pożalić komu?  
Gdyby sokołem: to powietrzny szlakiem  
Do mej Sufczyzny leciałbym i domu!“

Więc dzień przebywam, patrząc ludziom w  
Czym w czem nie krzywy? Lecz [oczy,  
kiedy się  
[mroczy,  
To na kominie po drzewku dokładam  
I płacząc sobie, na niedźwiedziu siadam,

Bom się znał sercem w takim chłodnym ręku,  
Żem ze snu nawet zrywał się od lęku,  
Bo mi się zdało, żem coś bardzo zbroił  
I nie raz nawet hetman trwogę koił.

Dobrze to mówią, że grubej żałoby  
Jest sześć tygodni i że żalność nocą  
Sercu najcięższa, jeżeli z pomocą  
Niebo nie będzie. —

Ha, liczyłem doby  
I przy mentorze na rzymskim zegarze  
I wał obchodząc z Irenem na straże;  
Lecz się godziny i dnię wolno wlekły  
I już od płaczu oczy nawet piekły.  
Tailem bardzo, że mnie gniecie żalność  
I wielką miałem w obec ludzi stałość;  
Lecz gdy wieczorem na niedźwiedziu siędę,  
To cały wieczór płacząc tylko sobie  
I pytam Maryi, jak ja to przebędę?  
Rodzic daleko, a matusia w grobie!

Raz gdym tak siedział i żalnością płakał,  
W rogu komnaty coś straszliwie trzasło  
I światło one przed obrazem zgasło,  
I rzekłem sobie: „Wielki będzie zakał,  
Bo na mnie zdane było światło one,  
I być nie miało z rozkazu zgaszone.“  
Więc gdym usłyszał że już hetman kroczy,  
Skoczyłem ku drzwiom i patrzę mu w oczy  
I czekam z trwogą strasznego wyroku,  
Lecz łaska była dla mnie w pańskim oku.



„Nie śpisz?“ zapytał—i do łoża zwrócił.  
Patrzę, a lampa znowu jasno płonie,  
Tom przed obrazem na ziemię się rzucił  
I wielkim płaczem zlałem mą pokorę,  
Bo Matka Boża stała w mej obronie  
I cudem lampa, co zagasła, gore!

Pan hetman zwolna podniósł mnie z podłogi  
I siadłszy sobie, postawił na nogi  
I spojrzął na mnie raz pierwszy wesoło,  
I przeżegnawszy, pocałował w czoło,

„Co ci to?“ pytał; więc zeznałem szczerze,  
Co mi się stało i że cud się zdarzył,  
I długo hetman myślami się ważył  
I rzekł: „Gdy wierzysz, to i ja w to wierzę,  
I miej na żywot stąd zadatek wielki,  
Byś łask nie zmarnił Bożej Rodzicielki“.

Znać i ksiądz Melchior zaraz o tem wiedział,  
Bo mnie nazajutrz długo w łasce badał,  
A gdym mu z duszy wszystko wypowiadał,  
To w końcu tylko tyle mi powiedział:  
„Będziesz do Bożej sposobił się służby,  
Abyś nie zmarnił tak łaskawej wróżby,“  
I odtąd co dzień uczył mnie z pamięci  
Słów Bożej służby, abym umiał służyć  
Mu do Mszy świętej; i poczęła pluć  
Nauka sercu i stałem się śmielszy  
I chociaż po dniu bywałem weselszy.

Nadszedł post wielki. Ksiądz Melchior był  
I wielkiej rzeczy światowych pogardy:  
[twardy

Kiedy suchoty—tylko chleba kawał,  
A w post powszedni—to grzyb i polewka,  
Łamaniec z makiem i suszona śliwka,  
A choć ksiądz Melchior co lepsze mi dawał,  
I chociaż nie raz i głód mi dokuczył,  
Tom do reguły przywykać się uczył,  
I trapić siebie dla jego przykładu  
I zwykle głodzien wstaję od obiadu  
I dreszcz mnie bierze, gdy wzdłuż wałów biegnę  
I dreszcz, gdy nocą na niedźwiedziu legnę.

Półki ognisko luczalo w kominie,  
Tom spał z wieczora, bo mi było ciepło,  
Ale jak zgasło i północ się minie,  
W komnacie pańskiej tak już nagle krzepło,  
Żem się z niedźwiedzia co noc prawie zrywał,  
A pan, co nawet we śnie czuwał bacznie,  
Niby sam senny delijkę nieznacznie,  
Zsuwał za siebie i mnie nią okrywał.  
Jakoż, gdy ze snu o świetle mnie budzi,  
To pierwsze słowo: „Co, delijka spadła!  
Podnieś delijkę i bież zbudzić ludzi,  
Jeśli jutrozenka już nad wieżą zbladła.“  
A czasem znowu, to się sam ubierze,  
I iść ze sobą każe mi na wieżę  
I on zwierzyniec (co go lwy i ptaki  
W mocy dzierżyły na rzymskim zegarze)  
Na nocnem niebie poznawać mi każe,  
I uczy szukać po niebie te znaki,  
Więc wóz i kwoczkę, więc i trzech kosarzy  
Każe pamiętać i nim one kosy  
Zaszły z wieczora na znak ciepłej rosy,  
Znałem już dobrze i cały zwierzyniec  
I wóz i kwoczkę i smoka i wieniec.

Mięsopust długi, zima była mroźna,  
A więc i wiosna i Wielkanoc późna.  
A gdy już gwiazdy doszły Wielkiejnocy,  
To już umiałem czytać na zegarze  
I odszukiwać w gwiazdach nocne strażę  
I służyć do mszy i dźwżyć się w mocy.

Pan z całym dworem w one dni załoby  
Obszedł po grodzie wszystkie Boże groby,  
W stroju pielgrzyma z patniczym kosturem,  
Jako po Ziemi Świętej nigdy chodził.  
A wszelki naród ciągnął długim sznurem,  
I w pamięci dróżki krzyżowe przywodził,  
Którymi chadzał przez oliwne sady  
Pan nasz Zbawiciel i po których z młodu  
Hetman naglądał za świętymi ślady,  
Gdy się gotował do służby narodu.

Chorągiew pańska straż miała przy grobie,  
A wszystek naród przypominał sobie,  
O jaką łaskę hetman Boga prosił,  
Kiedy grób Boży łzami swemi zrosił  
I że jest dana i w bojach nie sliźnie,  
Bo Bóg powagę i zwycięstwo dawa  
Onej buławie w szerokiej ojczyźnie,  
Kiedy do boju Bożogrobiec stawa.

Takie to głosy chodziły po dworze,  
I gdy pan ruszył na święte obchody,  
To czoło w farze ciągnie już na wschody,  
A koniec z zamku ruszyć się nie może,  
I aż z kościółka świętego Marcina  
Pobożna rzesza pochód rozpoczyna.

Nadeszła wreszcie doba Wielkiejnocy —  
Na rezurekcyę w dzwony uderzono  
I Bóg zmartwychwstał w wielkiej niebios  
[mocy,  
Więc i święcone w zamku zastawiono.

Była komnata od wielkiego dzwonu,  
Królewską zwana; otóż w tej komnacie  
Starszy jegomość Zygmunt patrzył z tronu,  
Na wielkim królów siadłszy majestacie,  
Jak gdyby żywy siedzi na tym tronie.

Święconem wielkie stoły zastawiono,  
A co przedniejszych było w tej Koronie  
Panów, żadnego niebrakło tam pono.  
Wszyscy zjechali z panem się weselić  
Ze Bóg zmartwychwstał i że żywi wzajem;  
I pan też z każdym obdzielił się jajem  
I wolno było każdemu się dzielić.  
I tu dwór cały ujrzałem w tej sprawie  
I goście takie — i raz wtóry panią.  
Jakieś pachole stało trochę za nią  
I patrzy na mnie życzliwie i żwawie.  
Więc gdy pan, życząc, zbliżył się do pani,  
I my też oba zbliżamy się w kole;  
„Ktoś ty jest?” pyta, kiedy przy mnie stanie,  
Więc rzekłem z cicha: „Hetmańskie pachole.”  
I pytam jęgo: „A ktoś ty jest taki?”  
— „Ja Hetmanowicz,” odpowiada wzajem.  
„Kiedy wiek jeden, to się dzielcie jajem”  
Rzekła nam pani, bacząc nasze znaki,  
I między nami miłościwie staje  
I z wielkiej misy białe raki daje,  
A potem obom włosy z czoła muska  
I darowała każdemu Agnuska

I przez dzień cały z sobąśmy bawili,  
W sercu druhowie od tej pierwszej chwili.

Na trzecie święto przed pańskim obliczem  
Raz pierwszym służył wraz z hetmanowiczem,  
Bardzo pobożnie do onej Mszy świętej,  
W jednakie szaty strojny i opięty.

I po śniadaniu rzekł hetman łaskawie:  
„Gdy się uczycie służyć Panu Bodze,  
To ja szabelką służby te nagrodzę,  
A służyć macie zawsze dobrej sławie!“  
I wziął nas z sobą na basztę, gdzie zbroje,  
I dał jednakich szaberek nam dwoje  
I uzbrojonych wiódł do Hetmanowej,  
I oglądały nas bardzo ciekawie  
Całego dworu wdzięczne białogłowy  
I wszystkie goście i wszystkie panięta,  
Gdyśmy stanęli oba w tej postawie,  
Jako rycerskie one pacholeta.

I znów dzień cały i łukiem i biczem  
Bawim się oba wraz z hetmanowiczem  
I zbiegły święta.

Później, już w lat wiele,  
Jadna z pań dworskich mówiła mi dużo,  
Jako mnie pani miała pod swą stróżą,  
I jako za mną przemówiła śmieie.  
Kiedy dnia tego już samym wieczorem  
Mówiła o mnie, to poczęła chwalić  
Mnie i przed panem i księdzem Melchiorem.  
A potem obum poczęła się żalić,  
Żem ludzkie dziecko i dziecko jedyne,  
Żem bardzo zmarniał i widocznie nikną,  
A nim do służby i postu przywyknę,  
To prędzej pono zamrę i zaginę.

„Dziecku potrzeba i dziecinnej strawy,  
Trochę miłości i trochę zabawy,  
Bóg widzi tylko, jako tem się trapię;  
W ręku ichmościów to małeństwo skapie.  
Komu to pościć i czuwać służebnie?  
I wstawać nocą do gwiazd niepotrzebnie?  
Czy świętym będzie—niewiem, ale wierzem,  
Ze jako idzie z rycerskiego rodu,  
Możeby kiedyś mógł sam być rycerzem;  
To sił potrzeba do tego zawodu“.

Na to pan hetman: „A świadczę się Bogiem,  
Ze mnie tak samo chował ksiądz kardynał,  
A młodszym byłem, gdym służby zaczynał  
I gdym się ujrzał już za cudzym progiem“.

I rzekł ksiądz Melchior. „Jeszcze złego  
[słowa

Nie słyszał pono—i rękę się chowa,  
Sam z siebie karny i bardzo spokojny,  
Pojętny bardzo, nawet bogobojny“.

A pani na to: Wszak znam łaskawości  
I pana mego i waszej miłości.  
Przecież wiem o tem, że po kątach płacze,  
Ze aż do nieba w żalości się garnie;  
Lecz nikt nie powie, że wesół i skacze,  
To mu folgować, gdy się trzyma karnie.  
Nie chcę ja w niczem onej woli zmienić,  
Lecz gdy me prośby raczą ichmość cenić,  
Proszę, by codzien choć raz u mnie bywał,  
A z synem naszym, by zabawy miewał.  
Sama uproszę u pana Maruszki,  
By pacholeta trzymał na swej pieczy,  
Bo sama stracham bardzo, w onej rzeczy,  
Aby w zabawie nie gorszyły służki“.

Był zwyczaj w domu, że hetman co rania  
Posyłał pani do ucałowania  
Relikwię Świętych, w znak pokoju stadła;  
Otóż ta służba odtąd na mnie siadła,  
I czekam chwili przy całym zegarze  
I trzymam słowo, co pan nieść mi każe.

I wielka była dla mnie pani łaska,  
Bo da śniadanie a czasem pogłaska,  
Albo zapyta i przemówi czule,  
Obejrzy głowę, ręce i koszule,  
A zdając słowo i relikwiarz pański.  
W powrót do łaski odsyła hetmańskiej.

Pan hetmanowicz miał swego mentora,  
I gdy nadchodzi podwieczery pora,  
To i zabawy chwila niedaleka,  
Bo pan Maruszka już nas obu czeka  
I z pokojowym hetmanowicz sady,  
A stary Iren do nich mnie prowadzi,  
Ha i odżyłem i świat mi się zmienił,  
Bo jakoś prawie o tym samym czasie,  
Młodą murawą wał się zazielenił,  
I niebo stało w całej Bożej krasie.

I pan Maruszka miał w obliczu grozę.  
Lecz dla nas obu to był miłościwy  
I rzekł: „Cyt dziatwa! wiosna jak Bóg żywy!  
To na fijołki dzisiaj was powiozę“.  
I zaszły konie i w milczeniu siedzim  
I tak na górę Świętego Marcina,  
Bardzo pod górę prosto z zamku jedziem;  
A pan Maruszka do mnie tak poczyna:

„Wszak to ty pono relikwiarzyk z rana  
Masz códzien nosić od pani do pana?  
To słysz co mówię! Są tam takie zgody  
Pomiędzy państwem, że kto z dwojga wprzódy  
Wiankiem fijołków relikwiarz ozdobi,  
To wygra sprawę, bo mu drugie zrobi  
Za tę przegraną aparat kościelny;  
Więc czas fijołków bardzo jest weselny  
Obojgu państwu i z dawna w tym dworze,  
A dziś na wianek uzbieramy może.  
„Komuż go złożym? rycerski nasz panie?“  
Spytałem chciwie i czekam na zdanie.  
„Komu?“ zapytał—„a jak cię dwór woła?“  
Rzekłem mu na to: „Pachole hetmański!“  
„To złożysz wianek, tylko w ręce pańskie,  
Bo i chleb jego i jego jest szkoła!“

Po za kościołkiem Świętego Marcina  
O kilka staj była tam pasieka,  
I zdawna siedział w niej stary Nowina  
I pan nawidził onego człowieka,  
Bo spinał wozy taborne łańcuchem  
I czeladź tuczną trzymał pod posłuchem.  
Otóż Nowina tak ochucił pszczołki  
I tak tam siedział pod słonecznym brzegiem,  
Ze w tej pasiece miewał już fijołki,  
Gdy indziej jeszcze bywały pod śniegiem.

Kiedy przed dworek zawiodła nas dróżka,  
To jeszcze z wozu woła pan Maruszka:  
„Czuisz Nowyna!“

A Nowina: „Czujul!“  
„A wesna cwite dla Boha Rodyci?“  
I rzekł Nowina: „Chodit do świetlyci,  
A precik jakoś ja za tym pantruju!“



I gdyśmy weszli, to Nowina czołem  
I ze czcią sadzi wszystkich po za stołem  
I weszła żona i córka i wnuka,  
I stół okryto w różne Boże dary  
I pan Maruszka sam już kubka szuka  
I pyta w łasce: „A de tu mid stary?“  
I w serdeczności do siebie wypili,  
I spytał gazda po niejkiej chwili:  
„Witeźny Pane! szczosz to za detyna?“  
Pytał wskazując na mnie pan Nowina;  
A pan Maruszka: „Wział ho pan jak syna,  
Ot i Bih znaje, szczo z ludyny bude,  
Może to wyjde kołyś i na lude.“  
— „To hostit dity! wod mid i orychy  
Ditońkisz moi a moi potichy!“  
Rzekł pan Nowina i obu nas gładził  
I co raz wyżej po za stołem sadził,  
Lecz gdy już trzeci kubek był wypity,  
Rzekł pan Maruszka: A chođim na ówity!  
To sia pokaże, cy nam bartnyk szczyry?  
I cy nachodyt do toj naszoj wiry?“

Bartnik był z młodu, jak to mówią, bity,  
Więc na te słowa tylko głowę gładził  
I gdy do swojej pasieki wprowadził,  
Rzekł dając króbkę: „No zberajte dity“.  
Pachu tam było! i w całym ostępie  
Fijołków wonnych kępa tuż przy kępie.  
I pan Maruszka tylko się usmiechał  
I kładąc głowę do tej wonnej krobi,  
Chwalił moc Bożą, co to wszystko robi,  
I wonią onych fijołków oddychał.

Pociechyz było, gdyśmy do świetlicy  
Krobieg przynieśli, a niewiasty z cicha  
Uwiły wieńce dla Boga Rodzicy  
Z onej wonności wdzięcznego kielicha.

Gdyśmy jechali już w powrót do domu,  
Rzekł pan Maruszka: „Nie mówić nikomu,  
Żeśmy fijołki zdobyli dla pana;  
I przyjdiesz do mnie z relikwiarzem zrana,  
Gdy się poczynać mają służby twoje,  
I sam w fijołki relikwiarz ustroję.“

I tak się stało, i kiedy zobaczy  
Pani relikwiarz, to klasnęła w dłonie:  
„Czemże te w łasce pan mię raczyć raczy?  
Jakież to wdzięczne! a jakże to wonie!“  
I była dla mnie pani łaska taka,  
Iż przyczyniła piórko do kołpaka.

I gdy usłyszał o tem pan bez bawy,  
Że o fijołki wygrana w tym roku,  
Zwołał dwór cały do swojego boku  
I na świadectwo wezwał do tej sprawy;  
I razem z panem ciągnął dwór weselny  
Do onych progów miłościwej pani,  
By dać raczyła aparat kościelny  
Za rok bieżący, dla Hetmana w dani,  
I rzekła Pani: „Nie dopiero wierzę,  
Że wygrał sprawę, kto wraca z kościołka;  
A gdy się porać znają tak rycerze,  
To mnie nie dostać na wiosnę fijołka  
I igłą tylko chyba służyć mogę,  
I gdy relikwiarz nie ja wianki wieńczę,  
To siostrę pańską zakonną niebogę  
Słęcząc przy igle na ten rok wyręcę.“

Był bowiem zwyczaj na hetmańskim dworze,  
Gdy o fijołki zakład pan przegrywa,  
To siostra pańska, co ksienią w klasztorze,  
Zakonną igłą ornaty odszywa.  
I zwykle w samą rocznicę wygranej,  
Kapa lub ornat leży rozesłany  
Na wielkim stole w królewskiej komnacie.  
I dwór się cały dziwi onej szacie.

Póki fijołki nie obeszły wonne,  
Szele pan Nowina mnie codziennie świeże,  
I co dzień świeżo w wianuszki zakonne  
Relikwiarz pański rankiem się ubierze.

Było z południa, i w dniu onym prawie,  
Gdy państwo sprawę miało o fijołek,  
Kiedy wszedł nagle do celi pacholek  
I w skok do pani zawezwał mnie żwawie.  
A więc szabelkę i kołpaczek biorę,  
Ale się bardzo zatrwożyłem w duchu,  
Bo pan u pani bawił pod tę porę,  
Więc przy oponie stanąłem w posłuchu.

I pani rzekła po chwili w czułości:  
„Wyjdź do przedsionka i wprowadź tu gości.“  
Idę z rozkazu, lecz nie wiem, co znaczy,  
A pan i pani za mną wyrzeć raczy,  
Więc jeszcze większe dziwo: co być może?  
I ledwom wierzył oczom.

„Wielki Boże!

Ta to Sufczyzna moja miłościwa  
I stary łucznik, poczciwy nasz Cywa,  
Niby anioły wyciągnęli ręce.“  
Więc już nie dbając na świadki panięce,

Padłem im do nóg! i tak bardzom sżłochał,  
Że choć mię z ziemi Sufczyzna podniosła,  
Choć i Pan cieszył i Cywa ukochał:  
To żalność w duszy coraz większa rosła,  
Bo to dopiero i Sufczyzna sobie  
Wywodzić żale poczęła w żalobie:

„A dziecię moje! a któż ci opieką?  
Pan Bóg wysoko, a rodzic daleko,  
I dwór nasz pusty, matuleńka w grobie,  
A ja się kąpię co dzień w łzach po tobie,  
Komuż to jeszcze, dobrzy ludzie, komu  
Być już na służbie i w hetmańskim domu?“

Hetman znał Cywę już od Obertyna,  
Więc gdy lamenty rozwiodła Sufczyzna,  
To wziął lucznika z przedsionka za sobą,  
A nas zostawił z płaczną żalobą.  
I pani, kojąc żal dobrymi słowy,  
Jak czynić lubią święte białogłowy,  
Tak bardzo sercem Sufczyzny zawładła,  
Że łzy otarła i na ziemi siadła  
Tuż przy stołeczku miłościwej pani,  
Tak była dobrą i dla mnie i dla niej.

Sufczyzna miała przy sobie kobiele,  
A więc po chwili do kobielei wstaje,  
Pod srebrną misę drogi rańtuch ściele  
I trzy pisanki ze czcią mi podaje,  
I rzekła: „Panie! ja, jak wierna sługa,  
Święcone jaje niosę w wasze ślady:  
Jedna od ojca, a za matkę druga,  
Trzecia pisanka będzie od gromady.“

Gdym ujrzał mię dobrze sercu znaną  
Wizerukami Świętych opisaną,  
Na której tylko oplatki się daje  
Raz na rok w domu lub pisane jaje,  
To jużciż było rozczulić się nad czem  
I wielkim znowu zalałem się płaczem.

I wstała pani, i po chwili małej  
Wniosła na tacce bardzo okazałej  
Zaś trzy pisanki Sufeczynie nawzajem:  
„Gdy w domu naszym to dziecię ostaje,  
To my za niego dzielimy się jajem  
I niech ta tacka w kościele zostaje  
Na tę intencję i waszą i moją,  
Aby Bóg wielki był mirowi zbroją,  
Aby o ludziach i sierocie radził  
I do gromady dziedzica sprowadził.“

Lepiej znał Cywa, niż sądziłem zrazu,  
Pana hetmana; bo to na podsłuchy  
Chadzał do Węgier z pańskiego rozkazu  
I nieraz służył panu w sprawie kruchej;  
Toż i poznałem, jak to trzeba ważyć  
Służbę maluczkich i przetarł mi oczy  
On łucznik Cywa, jak pan umie zażyć  
Wszelkiego człeka, gdy się sprawa toczy...

Jakoż i teraz była pańska wola,  
By Cywa listy wziął do Tarnopola  
I bućim mego rodzica odwiedził;  
A w rzeczy samej kazał pan, by śledził  
Między ormiany od strony Pokucia,  
Czy z Carogrodu niema tam pocucia?

I rzekł mi Cywa: „Czasem człowiek marny  
Z ormian lub z Greków, z Węgier lub z Wołoszy  
Będzie się prosił, to służba junoszy  
Niech da znać panu bez bawy, bo zdarny  
Człowiek być może i bardzo służebny,  
Choć się na oko wyda niepotrzebny.“

W stołowej izbie podano śniadanie,  
Tu i Sufczynę pożegnałem w drogę,  
A kiedy z Cywą przyszło pożegnanie,  
Rzekł mu pan hetman: „Tak puścić nie mogę,  
Cóż ty za łucznik, gdy moje pachole  
Bez łuku chodzi? Wybierz łuk z cięciwą,  
Niechaj od łuku poczyna w tej szkole  
I pierwszą strzałę napnij mu życziwo!“

A więc do baszty, gdzie chowano zbroje,  
Powiódł nas hetman i łuk obrał Cywa  
I pierwsza strzała była tak szczęśliwa,  
Że utrafiła w same czarne kroje.

I pan dać kazał dla Cywy stępaka,  
A sam przeżegnał do tego pochodu,  
I była dla mnie pańska łaska taka,  
Żem odprowadził Cywę aż do zводу.

Z zieloną wiosną była i pociecha,  
Bo pan Maruszka brał nas przy sokole,  
A w samą wiliję Świętego Wojciecha  
Raz pierwszy wyszła i chorągiew w pole.

Więc i dwór cały, więc i pan i pani  
Stają w dniu onym na zamkowym wale  
I gdy chorągiew przesunie wspaniale,  
To pan Maruszka nawet jej nie gani,

Lecz do Czeszejki na ucho powiada:  
„Cóż, panie bracie? nie lada! nie lada!”

Poza chorągwią gnał Soroka stary  
Tabor wielbłądów ze swemi tatarzy  
I w żywe oczy jest pogańska turma  
I w dzikie głosy ozwała się surma.

Ksiądz Melchior wyszedł i w komży i w stule  
I gdy pod wałem rotmistrz ludzi zchopił,  
Świeconą wodą chorągiew pokropił  
I do obecnych rzekł słów kilka czule.

Stary Czeszejko był to rycerz stary,  
A wielkiej cnoty i rycerskiej wiary!  
Przez całą zimę nikt o nim nie wiedział,  
A latem w stołku na wał noszon bywał  
I przy słonecznej baszcie zwykle siedział  
I w dzień pogodny w słońcu się wygrzewał...  
Wielkie ksiądz Melchior miał z nim zachowanie,  
I kiedy słońce nad zachodem stanie,  
To i ksiądz Melchior z swej celi wychodzi,  
I z wałów okiem za chorągwią wodzi,  
A pan Czeszejko mówi, jaka sprawa?  
Na jakie szyki rotmistrz rozkaz dawa?  
A kiedy ciągnie w powrót po pod wały  
Z ćwiczeń wojennych on poczt okazały,  
To stary rycerz pomstuje i sławi  
I choć niechętnie ksiądz Melchior go słucha,  
To pan Czeszejko przecież swoje prawi  
I co dzień jedno powiada do ucha:  
„Ej, będziez mięsa, gdy posuną w dzicze  
Za sprawą pańską skrzydlate orlicze”.

Na dworze pańskim nikt nie uczył prawie,  
Lecz na co spojrzeć, to wszystkó uczyło,  
Otóż czem dłużej i patrzę i bawię,  
Tem też z dniem każdym milej sercu było,  
Bo służba szkołą, szkoła była służbą,  
A pan Maruszka był życzliwym družbą  
I wodził sercem po drodze służebnej  
I zawdy trącił do luki potrzebnej.

Do pola z nami brał tylko Maisze,  
Bo pierwsze—mawiał—pole na pachole,  
To niech i pierwsze będzie na sokole,  
Więc i ptak taki, jacy towarzysze.

I pan Maruszka puszcza z konia ptasze  
Na płochę zdobyć, a my patrzymy na to,  
Siedząc na wózku, jak bije zatrata  
Sokół z wysoka na pociechy nasze.

Raz jadąc z nami, wziął z sobą do pola  
Cwika starego, Aldabona króla,  
I jadąc, ptasze kołysał na pięści  
I ufał w sercu, że Pan Bóg poszczęści.

Jakoż zaledwie u jeziorka staniem,  
Ujrzał kaczora pan Maruszka na niem,  
I puścił ptaka; więc strzelił i mierzy,  
Ważąc się w miejscu, a potem uderzył  
Z góry tak silnie, że kaczor się zwinął  
Na jedno cięcie i ubity spłynął.  
I siadł Aldabon znów na pięści strojnie  
I niby gołąb, trzymał się spokojnie  
I była dla nas w dniu tym łaska taka,  
Że pan Maruszka dłużej w polu bawił  
I sławne dzieje królewskiego ptaka,  
Ducha ogrzawszy, z miłością nam prawił,



I słońce miało się już do zachodu,  
Gdyśmy stanęli u wielkiego zwołu.

Zamek hetmański był bardzo budowny,  
Dobremi baszty i mury warowny,  
Szedł od rodzica nieboszczyka pana,  
Odbudowany znowu za hetmana,  
Miał trzy dziedzińce, baszt dziewięć i wieżę.  
W dziedzińcu pierwszym cały dwór się bierze,  
Brama wspaniała przed wielkimi zwody  
I wnijsięcie główne na krakowskie wschody.  
Wschodów tych było tylko dziewięcioro  
I Mojżesz trzymał w przedsionku tablicę  
W świadectwie onem, że domu dziedzice  
Od dziesięciorga początek tu biorą.

Na wprost tych schodów i kaplica zamkowa  
Drogości wiele i piękności chowa  
I wiecznie lampy w tej kaplicy świecą  
Przed Sakramentem i Bogarodzicą,  
I wszelkie serce i wszelkie kolano,  
Czy wchodzi drogą znaną czy nieznaną,  
Wszedłszy na schody, bardzo się ukorzy  
I daje pokłon Rodzicielce Bożej;  
A stąd już obchód w koło niby wiankiem  
Po czarnej tafli panięskim krużgankiem.

W drugim dziedzińcu, niby oko w głowie  
Stała chorągiew, więc i rotmistrzowie  
I pułkownicy gdy na zaciąg zjadą,  
I towarzysze mieszczą się gromadą;  
A szara czeladź z wielbłądy, z tatarzy,  
Na którą chodził tam Soroka stary,

W trzecim dziedzińcu miała stanowisko  
I na tatarską furtkę chodzi nisko;  
Tam już i łowcy i psiarnia i sieci,  
Ot i nie jedno czem dwór pański świeci  
I co karane bywa i obite,  
Przed okiem ludzkim bywało zakryte.  
Pan w gniewie swoim zwał to „smoczą jamą“  
I smok Soroka, kiedy się już parał  
I po turecku z tatarzy wykarął,  
Nie było żartu pod tatarską bramą;  
I kogo z zamku wyświecił Soroka  
Temu już ludziom nie pokazać oka,  
Bo pan raz tylko, kiedy się rozgniewał,  
To wykarany w progę już nie bywał.

Nigdy z dziedzińca jednego na drugi  
Nie wolno było chodzić i posłuchem  
W dziedzińcu swoim trzymały się sługi  
I bramy po dniu zamknięte łańcuchem.

Rycerską była hetmańska komnata,  
W sprzęty uboga, lecz z ducha bogata,

Łoże żelazne, po niem łoś się dawał,  
Przed łożem leżał czarny niedźwiedź duży,  
Za łożem kostur z pątnicznej podróży.

Stół marmurowy w środku izby stawał,  
Na nim krucyfiks, z prawej puhar turzy,  
Z lewej był brewiarz złotem okowany,  
Przed krucyfiksem leżała buława,  
A Matka Boża patrzyła ze ściany.  
W głowach tarcz złota, jasna domu sława,

I szyszak złoty, pancierz i koszula:  
Był to dar wdzięczny węgierskiego króla:  
Zresztą fałdysterz, pułka i pulpitek,  
Stoczek i pieczęć i owo sprzęt wszystek.

Pieca nie było, tylko komin duży  
Zimą i latem ku ogrzaniu służy.  
Sam hetman palił, a kiedym się nadał,  
To mi pozwalał, abym ja dokładał,  
I gdy się rzuca do tego paliwa,  
Hetman łaskawie mówi mi: „Ej basta!  
Bo waść mi suchą buczynę wyszasta;  
A czy nie widzisz, że gore Leliwa?”

Komin był tarczą wyłożony zdarną,  
A gdy płomienie węzem ją ogarną,  
Ogniem wychodzi on klejnót panięcy  
I znak to bywał, by nie palić więcej...

Drzwi osłania opona szkarłatna  
I przed komnatą był mały przedsionek,  
Po prawej była tam komora szatna,  
Po lewej były balnea.

#### I bieży

W górę ukryty rzemień aż do wieży,  
Gdzie był od wielkiej trwogi pański dzwonek;  
Głos jego znała zamkowa załoga,  
I gdy się ozwał, znać już wielka trwoga,  
I że sam hetman czyni trwogę pełną,  
Bo go pod gardłem tknąć nie było wolno.

Każdy miał służbą zdane stanowisko  
I czem narabiał, bywał przy tem blisko,  
A kiedy dzwonek na trwogę zadzwoni  
We dnie, czy w nocy; to już bez rozkazu  
Każdy za swoje, do koni i broni,  
Głosu nie słychać, lecz służba do razu.

I straż podwójna na wały i zwody  
I straż do skarbcza i warta przed wschody,  
A już i rumak przed wschodyma rwie się  
I znak hetmański pan Maruszka niesie.

Od skarbcza swego dał mi pan po roku  
Klucz co miał dzwonek i klucz ten u boku  
Z rozkazu pana nosiłem za pasem,  
A więc i skarbiec poznałem za czasem  
I nigdy wprzód i nigdy już potem  
Takich jam skarbów w oczy nie widywał,  
Boć to w trzech sklepach on skarb chowan  
[bywał,

A wszystko było srebrem albo złotem;  
Szafy i skrzynie, skrzynki i skrzyneczki  
Różnego stroju i różnej wielkości,  
Z dołu do góry półki i półeczki,  
A wszystkie pełne przedziwnych drogości.

Bo tu chowano i najdroższe zbroje,  
Więc i klejuoty i dziedziczne stroje  
I wszystkie srebrne i złote zastawy  
I z pokolenia niewieście wyprawy.

Od jednych schowków sam pan miewał klucze,  
Od drugich pani, od trzecich marszałek,  
A pan Maruszka znał każdy kawałek;  
Ot i znać wszystko od niego się ucze.

O nowem lecie zawdy skarb się mnożył,  
Boć z duchownego, z świeckiego senatu,  
Každy coś w darze tej buławie złożył,  
Co tak zwyczajko przeświadczała światu.  
I każdy pragnął z panem się weselić  
Przy tym ołtarzu kochanej ojczyzny,  
I myślał o tem by miał czem obdzielić  
Hetman rycerstwo i poczciwe bliźny.

I była wdzięczność wszystkiego zawodu  
O nowem lecie sercu bardzo jawna:  
I niesie naprzód w darze od narodu  
Kalendy panu Akademia sławna,  
Za nią dopiero posły i prałaty  
Od senatorów i księży pasterzy,  
Niosą i dary i wdzięczne obiady  
Na ręce pańskie dla polskich rycerzy,  
A więc sygnety w kosztownym puharze  
Oprawne szable, drogie buzdygany,  
Wdzięcznie oddawał każdy poseł w darze  
I pan odbierał każdy on dar dany.

Kiedym raz pierwszy patrzył na te blaski,  
Rzekł od biskupa on prałat Kujawski  
Na srebrnej tacy podawając złoto:  
„To na podkowy składa biskup oto!“  
I pan Maruszka, co tam stał na stronie  
I nawet świadczyć nie lubiał mamonie,  
Gdy się ksiądz prałat ozwał w one słowa,  
Wystąpił w kole i wszystkim powiada:  
„Ja o głos prosię! — Nie lada! nie lada!  
To pasterz Boży! podkowa... podkowa“...

Trzy jak mówilem były w skarbcu sklepy:  
A w pierwszym sklepie składano te dary,  
Co się godziły, niby na traf ślepy,  
Z rozkazu pana dla rycerskiej wiary  
I kiedy hetman sam upatrzy porę,  
Szle mnie do skarbcu i w on czas do razu  
Sygnet, czy szable, czy buzdygan biorę  
I pierwszy lepszy podaję z rozkazu.  
A różnej ceny były tam drogości:  
Więc sam pan hetman czasem kroki prości,

Lub pan Maruszka koło tego chodzi,  
Że to lub owo dla człeka się godzi,  
I sam nareszcie daje ręką szczerą,  
Coby być mogło służałemu mirą.

Gdzie się Dunajec z Białą zeszedł bujnie,  
Hetmańskie stado pasalo się czujnie,  
W gaistych wiklach i w cieniu jarzębi.  
Kiedy ruszyło, aż kamieniec dzwoni.  
A gdy je pławią w Dunajcowej głębi,  
Aż piana leci na brzeg i od koni,  
Tak wysokiego żłobu były źrebcy,  
Więc i przy stadzie ludzie byli krzepcy.

Stary Zaręba był pańskim stadniczym  
A gdy podpędzić dał na błoniu stado,  
Aby stanęło przed pańskim obliczem,  
To w miejscu wryte jest za jego radą  
I już z daleka patrzy źrebiec w oczy  
I ani pierzchnie, ani bokiem skoczy,  
Kiedy go hetman objeżdża do koła.  
Klacz mrozowata, nazwana „Dróżbiną“,  
Kiedy pan hetman pokazał się ino,  
Rżąc, niby źrebiec, witała od czoła.  
Za nią poważnie stary koziół kroczy,  
Którego zwano na zamku „Przeorem“  
I aż na strzemie do pana wyskoczy  
I całe stado patrzy za ich wzorem...

Hetman „Dróżbinę“ witał dobrą wolą,  
Oklepał w koło i dał chleba z solą,  
A potem kozła wytargał za brodę,  
Bo lubiał jego służby i urodę,  
I po „Dróżbinie“ najwięcej mu sprzyjał,  
Więc dać mu kazał gorzalki (bo pijał).

A kiedy krzyknął:

„Na morze Przeorzel!”  
To wplaw mój kozioł, a za nim w bezdroże  
Z szumem zatapia się stado i płynie  
I stać już tylko przy panu „Drożbinie,”  
Co dobrze znała, że nie o nią chodzi,  
Kiedy pan stado po Dunajcu brodzi...

W on czas pan zwykle stawał sam na brzegu,  
Wskazując zdatne źrebie do szeregu:  
„Miły Zarebo! proszę tu do boku,  
Bo kiedy spłyną, miejmy je na oku;  
To same wydry! i bacz no jak dążą.  
A to jelenie, bo obłędem krążą,  
Te do orczyka będą w sam raz dobre,  
Te do chorągwi, bo znaczą na chrobre.”

A potem jeszcze radząc się dokładał:  
„Jakież mój bracie Zarebo twe zdanie?”  
— „Rzekłeś! za zwyczaj stary odpowiadał  
Nie ma co radzić, z rozkazu się staniesz!”

A dodać tutaj jeszcze i to muszę,  
Że do pławienia stada hetman kusze,  
Kiedy te górskie przybierały wody,  
Bo znać chciał zdatne źrebce do przygody,  
I gdy co słabszy czasem z wodą spłynie,  
To kiwnął ręką: „Niech co marne ginie!”

Kiedy pojono konie, a koń wrażał  
Łeb wyżej chrapów i poił się chciwie,  
To już koń taki panu się nadarzał,  
I pan Zareba patrzył go stróżliwie.

Kiedy wracamy bywało od stada,  
„Dróżbina“ z nami, ale zawsze z przodu,  
A gdy już blisko rzy i pędzi rada  
I staje pierwsza u wielkiego zводу  
A kiedy łańcuch zwodowy opada,  
Pierwsza w dziedziniec przed wschody i basta!  
I stoi karnie i strojnie i zręcznie,  
Chociaż dwór cały do koła się szasta,  
Póki jej pani nie powita wdzięcznie.

Przez lat dwadzieścia siadał Hetman na nią  
I z wojskiem wszystkim znała się i z panią,  
Przed gankiem w żłobku stał pośrótowany  
Jęczmień, i kubeł z miedzi wykowany,  
I sama pani pilnowała wody,  
Żeby „Dróżbinie“ była na ochłody,  
Gdyby się chciała w dziedzińcu napić.  
A gdy wróciła z panem znów od stada,  
Nuż wszyscy w zamku i pieścić i stroić  
W pióra, czapraczki, i bywała rada,  
Jakby „Dróżbinę“ ukochać, ugościć,  
Jakie posłanie na nocleg wymościć?

Prosto z dziedzińca szła izba stołowa,  
Więc gdy po dzwonku drużyna zamkowa  
Na dary Boże zbierze się pospołu,  
Słysząc stuk w sieni, drzwi na ościerz stają,  
I jak goście wielką radę dają;  
A tu „Dróżbina“ przychodzi do stołu  
I pan ją chlebem, pani raczy gruszką  
I każdy głaszcze i pieści od stoła,  
A ona idzie powoli do koła  
Aż gdy się spotka już z panem Maruszką,  
To na ramieniu jego łeb pokłada:  
I naprzód długa bywa ich tam rada,



A potem klęka „Drózbina“ po radzie  
I za Maruszką na ziemi się kładzie,  
I on ją głaszcze po moroziej grzywie  
A służba w około obchodzi stróżliwie...

Gdy wszyscy wstają — „Drózbina“ nie  
[wstaje,

Lecz leży sobie i klepać się daje,  
Aż gdy już próżno na izbie stołowej  
Dopiero wraca w dziedziniec zamkowy  
I tam już daje sam pan jej odprawę:  
„Hej szła, a sama!“ i jak kłaśnie w dłonie,  
To już do razu uderza z kopyta  
I prosto w bramę, ziemi brzuchem chwytą  
I rzy i buja i wraca na błonie,  
A tam dopiero w stadzie jaka rżawa,  
Kiedy szerść wszelka odzew matce dawa,  
Co tam radości i co wrzawy w stadzie,  
Jak się tam każde i niesie i stroi?!  
Nawet Zaręba i kozioł na zadzie  
Zanim się stado trochę uspokoi...

Dzielne rumaki chował pan z Tarnowa.  
W koło dziedzińców szły wałowe stajnie,  
Maszternia pańska, wszystkiej sprawy głowa,  
Była od wnijścia, a wielbłądy skrajnie  
W trzecim dziedzińcu chowano z Tatary,  
Chodził nad niemi tam Soroka stary  
(Bo Sorok miewał wielbłądów pod sobą),  
Do stajni była wpuszczona piekarnia  
(Boć palić trzeba im zimową dobą);  
A za Tatarem była tylko psiarnia.

Osobna była na wielbłądy surma,  
Soroka czynił: i tatarska turma.

Kiedy się wali przez dziedziniec pański,  
To w żywe oczy jest tabor pogański.  
Boć on Soroka, co mu chadzał z przodu,  
Chociaż był chrzczony i Wołoszyn z rodu,  
Był przez lat wiele w tatarskiej niewoli,  
Otóż i jego wielbłądy one  
Rycerskiej sprawie trzymał Hetman gwoli,  
Aby rumaki nie były płoszone,  
Gdy się zejść przyjdzie z taborem pogańskim.  
Więc je chowano tam przy stadzie pańskim,  
Więc i pędzono pod chorągiew w turmie  
Razem z Tatary przy pogańskiej surmie,  
Aby już strachy nie poszły na lachy,  
Gdy dobyć przyjdzie w boju onej płachy,...

W trzecim dziedzińcu, na tatarskim wale,  
Dawano z zamku hasło do obroku,  
I ta już służba padła na mnie stale  
Z rozkazu pana po upływie roku.  
I gdy dochodzą na całym zegarze  
Czasy obroku, to biegnę z komnaty  
Razem z Irenem na wałowe straże,  
I palić daję na wale z harmaty  
I wszystka stajnia odzew rzeniem dawa  
I w trzech dziedzińcach oraz straszna rżawa..

Kuźnie hetmańskie, gdzie zbroje kowano,  
Miał pan Maruszka oddawna pod sobą  
I nie raz bierze mnie do kuźni rano,  
A nieraz nawet już i nocną dobą,  
Kiedy się ważna ukończa robota,  
W płatnerskiej kuźni od hartu lub młota,  
Bo nikt się nie znał tak na harcie stali,  
Jak pan Maruszka; i w rycerskiej kuźni,  
Gdzie byli ludzie i zdatni i różni,  
On wszystkich uczy i sam młotem wali:

A kiedy hartu siódmego dobierze,  
To pancernicy i wszyscy płatnerze  
I sam pan hetman i dobrzy rycerze,  
Aż się wydziwić staleni nie mogą  
I broń choć nowa, ceni się już drogo.

Żalił się na to, że mu bardzo z laty  
Ręka cięższe; otóż co raz cięższe,  
Otóż urabiał tak ważne bułaty,  
Że im nie radzą chłopcy i najteższe.  
A pan Maruszka gdy wagę poczuje,  
Mówi, że siła dopiero się bierze  
I że dopiero ręka się prostuje  
I jakby Bóg kazał, chodzi w samej mierze.

Mawiał, że sprawa rycerza ozdabia,  
Więc rząd i zbroja, a kto czem narabia  
Znać się powinien z rzemiosła i z sądu  
I z nakorynku i z samego rządu  
Na tem, co dobre i na tem co zdatne  
I co rycerstwu wszemu jest popłatne?

To też pan hetman mawiał żartobliwie:  
„Maruszkę tylko staw przy końskiej grzywie  
I byczą skórę daj mu z dziś na jutro  
I szynę stali i chłopca bez sęka,  
A już tam oni do doby ci utrą  
Konia i chłopca, i w rząd to obszyją,  
Więc i broń dadzą i pancierz z Maryją,  
Tak tam szczęśliwa i sposobna ręka!“

O koło koni wysokiego żłobu  
Rotmistrz Kulesza zwykle się obierał,  
Bo był do koui wielkiego sposobu,  
I kalwakaty i koła otwierał.

Wprost okien pańskich przed izbą hetmana,  
Gdzie pierwsze słońce uderzało z rana,  
Był do tej sprawy porządny dziedziniec  
I tam rumaki najeżdżano w wieniec  
Już utargane i ostatniej ręki,  
Ażeby jaki źrebiec, co zabijał,  
Był tu już karny i czuły i miękki  
I niby panna w tańcu się przewijał,  
I gdy go zażył przed panem koniuszy,  
To i samopał kładź mu między uszy  
I rów przesadzi i przez płot przeskoczy  
I jak gadzina wielbłądowi w oczy  
I już nie lęka proporca, ni zbroi,  
Trąby, ni strzału, lecz jako mur stoi!

Czy to bywało zima, czy też lato,  
W otwartym oknie patrzy hetman na to,  
I tylko czasem słóweczkiem doradza,  
A pan koniuszy czyni i dosadza...

W tym to dziedzińcu pod hetmańskim okiem  
I jam się uczył jeździć naprzód krokiem,  
W słotę, pogodę zarówno, co ranka,  
A klacz srokata zwała się „Pisanka“,  
Lecz nie koniuszy bywał, kiedym siadał,  
Tylko sam hetman do konia układał;  
A w kole bywał pan porucznik Gruszka  
A bronią czynić uczył pan Maruszka:

Więc sprawą naoczną,  
Więc sprawą zasiebną,  
Na nogę wyskoczną  
I na nogę grzebną,  
Na kord i na drzewiec,  
Po kotle i trąbie,  
Na prawiec i lewiec,  
Nie skłuje, to zrabie!

I pókim nie znał się z wszelaką bronią,  
Pókim nie umiał wszystko czynić konią,  
Póty mnie hetman w tem kole niewolił  
I w świat wyjechać nigdy nie dozwolił,  
Bo mawiał: „Młody ma się ćwiczyć w ciszy!“  
Ztąd też nie mały był dziw towarzyszy,  
Gdy mnie ujrzano na wyskocznym koniu,  
Kiedym za panem raz pierwszy po błoniu  
Jako hetmański giermek sunął sprawnie.  
Było we dworze i dziwno i sławnie,  
I sama pani świadczy nie poślednio,  
Bo mi pan wszystko kazał czynić przed nią,

I sprawą naoczną,  
I sprawą zasiebną,  
Na nogę wyskoczną  
I na nogę grzebną...

I trzy okładem ubiegły już lata  
Wszelkiej nauki na hetmańskim dworze,  
A jeszcze miałem na niedźwiedziu łożo,  
Choć już po trosze brałem się do świata,  
Choć ni w czytaniu, ni w służbiem nie zmylił  
I czynić konią i bronią się silił  
Jako najlepiej; wprawdzie i ta zbroja  
Nie wielką była i „Pisanka“ moja,  
I na te lata tępo jakoś rosłem,  
Przecież przy panu na giermka się nosłem  
I nie raz slysze, jak w rycerskim kole  
Z cicha mówiono: „Sposobne pachole!“

Nie darmo mówią, że pana po dworze  
Poznasz do razu i po jego stole,  
A gospodarza to poznasz po wole  
I kiedy zagon wołem swoim orze.

Miał też pan także powolnych włodarzy,  
Bo czterecz Łyczków wielkiego sumienia  
Okolo roli pańskiej gospodarzy,  
I tak zabiega koło tego mienia,  
Że i bez krzywdy ludzkiej się pomnożył  
Majątek pański prawie w tyło troje;  
A i kmieć porósł i sługa odłożył  
I było o czem chadzać na te boje;  
A więcej hetman o swem groszu chodził  
Niż o królewskim, abo o daninie,  
Zwłaszcza gdy harce z tatarami zwodził.  
Tedy ksiądz Marcin, co był w tej rodzinie  
Głową i starszy między swymi braty,  
Dziekan Tarnowskiej onej kollegiaty,  
Zawsze i grosza przed czasem naładził,  
Ludzi i chleba wcześniej przysposobił,  
I aż na szlaki to wszystko wysadził;  
A przy pomocy Bożej hetman pobił!  
Nie raz to nawet ksiądz dziekan dać musi  
Pod wszystko wojsko podwody w prędkości.  
Kiedy już tatar rządzi się po Rusi,  
A śpieszno padnie poczęstować gości,  
Tedy pan hetman biegał z tą odsieczą  
Aż na podwodziech, a hurt luźnych koni  
Każdej chorągwi na potrzebę goni,  
Niby tabuny na półdolskie szlaki,  
Gdy na podwodziech ludzie i kulbaki,  
Aby co prędzej wziąć tatarą z przodu  
I odbić łupy i ludzi z jasyru  
I oddać wszystko poczciwie do miru  
I pomścić krzywdy króla i narodu.

Pan hetman mawiał: „Tatarska potrzeba  
Więcej biegania, niżli tego boju.  
Gdyby ksiądz Łyczko nie ratował w znoju  
I podwód nie dał i nie napięł chleba

Do Tarnopola i od Tarnopola,  
Z hańbą by przyszło powracać do króla;  
A że się hańbie człek opędzić musi,  
Przyszłoby głową nałożyć na Rusi...<sup>4</sup>

Otóż ksiądz dziekan, choć tak wielkiej sprawy  
A ja biedota, bywał mi łaskawy!  
I kędy spotka, podtyka pierniczki,  
Jabłka i gruszki i jarzące świeczki,  
Bym mógł od siebie ofiarę zapalić,  
Gdy przyjdzie sercem Maryę pochwalić.  
Wiedział pan hetman o tem i powiadał:  
„Ksiądz dziekan psuje mi one chłopięta,  
Możem ja chłopcu dziś pokutę zadał?  
A tu potucha. Niech Bóg nie pamiętał!”  
Więc dziekan na to: „Już ja się nie boję  
W chłopcu zgorzenia, najdzie to na swoje!  
Byle tam takie bywało zgorzenie,  
Jakie Łyczkowie w domu pańskim dają,  
Wezmę je jeszcze na moje sumienie!...”  
I z śmiechem zwykle z sobą się rozstają.

A jam znał w sercu, że z dniem każdym prawie  
Lepiej stawałem w służbie i w zabawie.  
Raz się był tylko na mnie pan rozgniewał:  
Dzielny tam harcerz w towarzyszach bywał,  
Więc pan Kulesza, co im gospodynił,  
Kazał mu siadać na godniejsze źrebce  
I nawet w kole przed panem rzecz czynił,  
Chociaż pan mawiał: „Coś mi tam źle szeptę  
O tym harcerzu!”

Otóż raz gdy toczył  
W kole niewielkiem, tak trzy płoty skoczył,  
Że pan Kulesza aż się podniósł dumnie,  
A pan mu klasnął:

„Masz waść łaskę u mnie.”

Znano we dworze, co to słowo znaczy,  
Że pan go pewnie sygnetem uraczy.  
Otóż gdy z wyżłem pan wyszedł na pole,  
A jam przy pańskim bawił się sokole,  
On to towarzysz podchodzi z nienacka,  
Naprzód sokoły, a potem mnie cacka,  
Potem do stajni z sobą uprowadza,  
Pozwala głaskać konie i podsadza,  
Potem mnie wywiódł aż na skrajne skrzydło  
I chciał mi srebrne darować wędzidło,  
Gdybym do skarbeca poszedł i naładził  
Sygnet co droższy, a jak pan rozkaże  
Dać sygnet jemu, abym on podsadził,  
To mu godniejsze dostanie się w darze.

Mówił, że panu mało o to chodzi,  
A i chudzinie przecież się coś godzi.  
Bardzo namawiał i upraszał szczerze  
I wziął na ręce i wyniósł na wieże.

Tu mu przyrzekłem, że sygnet upatrzę,  
Ale wędzidła nie chcę i w tem stoję,  
Że choćby było wędzidło najgładsze,  
To go nie wezmę, bo się Boga boję!  
Więc na tem stało.

Zniósł mię z górnej wieży  
I jako prosił, jam sygnet nagodził.  
Lecz gdym ze skarbeca cichaczem wychodził,  
A wyżeł pański do nogi mi bieży,  
To przed oczyma stało mi się ciemno,  
Bo w wielkim gniewie stał już pan przedemną.

Już on towarzysz był w kruzganku schwytan  
I coby czynił na wieży, wypytan;



Bo wzrok sokoli hetmana nas zoczył  
 Z dalekiej łąki, więc porzucił łowy  
 I jako piorun, prędko i gotowy,  
 Już był i w zamku i w krużganki kroczył,  
 I iskry z oczu i jak lew się zjeżył;  
 „Gdzie klucz od skarbcza? klucz, którym zawierzył?“  
 Klucz mi padł z ręki, skarbiec się otworzył,  
 Pan wyniósł sygnet, którym był odłożył:  
 „Co to ma znaczyć?!“

I rzekł do marszałka:  
 „Wszak zawszem mówił, że to skurczypałka  
 Ten rudy harcerz! Więc skończyć z nim trzeba,  
 Nie będzie dłużej psuł tu mego chleba,  
 Bo kiedy gorszy dziecię przy mym boku,  
 Czego nie zrobi on po szarym tłoku?!  
 O, dziękuj Bogu, żem nie w polu stał,  
 Bo jak tatara ściąćbym ciebie dał!“  
 I rzucił ręką:

„Won tego oberwę!  
 Dać go Soroce tam na Smoczą jamę  
 I precz wyświecić za Tatarską bramę!“

A na mnie krzyknął:

„Pójdź sam! Nequam serve!“

I w całym zamku postrzyżone słuchy,  
 Krużganki drżały i strapione duchy  
 I wszystkich boli, że się stało szpetnie.

„Klęknij tu w środku!“ —

Rzekł pan do mnie gniewnie.

Więc już myślałem, że mnie hetman pewnie  
 Na gardle skarże i sam mieczem zetnie,

Bo sacra ira pono nie pogróżka.  
Spojrzałem, klęcząc, aż tu pan Maruszka  
Stoi przy panie, ale bardzo sumny.  
Jakby znał w sercu, że mnie już do trumny.

— O, Chryste Panie!—krzyknę jak z pod noża,  
A hetman na to:

„Znaj co wola Boża!  
Co wiara, chłopcze, co Bóg i co cudzel!”

I Ewangelię o niewiernym słudze  
Czytać mi kazał aż po siedm razy,  
By słowo Boże nie poszło na płazy...

Czytałem tedy z wielkiem utrapieniem,  
A kiedym skończył, pyta pan:  
„Czy boli?”

Padłem mu do nóg duszą i sumieniem  
I rzekł łagodnie:

„Chodź po Bożej woli!  
I znaj, że szatan umie stawiać sidła,  
Bóg wielki strzegł cię, żeś nie wziął wędzidla!  
Wstań i chodź w Panu! gdyś się duchem zbożył  
I już na żywot miej sobie pogróżkę...”

I klucz od skarbca przy buławie złożył  
I zdał już resztę na pana Maruszkę...

I pod buławą leżał klucz dzwoneczny  
Całe dwa lata i z trwogą go mierzył  
I aż dopiero znałem się bezpieczny,  
Gdy mi pan skarbiec nanowo powierzył...

Był to dzień dla mnie wielki i szczęśliwy,  
Bo i pan hetman był mi miłościwy

I pan Maruszka wziął nas obu w pole,  
Obu już jezdnych, obu przy sokole,  
A gdy po myśli poszły one łowy,  
O Aldabonie opowiadał dziwy  
I dziwnie brało to się młodej głowy.

„W ziemi hiszpańskiej i w bitwie ostatniej,  
Kiedy już wzięto do śmiertelnej matni  
Wszystkie rycerstwo one maurytańskie,  
Przypadł do pana na rękę z sokolem  
Giermek nieletni i uderzył czołem  
I rzekł:

„Gdy wszystko ginie, co jest nasze,  
Uderz w te piersi, lecz szanuj to ptasze!”

„Pan się żałości jego ulitował,  
Więc mu i konia i zbroję zostawił,  
I jak człek wolny przy orszaku bawił  
I w wielkiej pieczy one ptasze chował.  
Nie chciał z giermkami jeść z jednego kotła,  
Bo, jak mówiono, był wielkiego rodu.  
Więc po upadku swojego narodu,  
Nawet i laska hetmańska go gnioła  
I sechł i czerniał w czułości gorącej,  
I oczy świecą jak węgiel jarzący.  
Zrozumiał Hetman, co go w duszy piecze,  
Więc puszczał wolno, czy może uciecze,  
Lecz on jak sokół wracał do niewoli;  
Bo na niewolę zdał się w dobrej woli,  
I jadał tylko nietknięte owoce,  
A w gwiazdy patrząc jęczał całe noce.  
„Ve victis!” mawiał pan Hetman żałośnie.  
„Biedna chlopczyna w tej niewoli skostnie.”

Otóż gdy jeńców przepędzano tłumnie,  
Chłopcu się z oczu opuściły strugi.  
I rzekł mu Hetman: „Gdy chcesz zostać u mnie,  
To wybierz z jeńców, kogo chcesz na sługi.“  
I na te słowa łaskawe Hetmana  
Wyskoczył naprzód i krzyknął donośnie:  
„Kto tu żyw jeszcze z sług mojego pana?“  
I siedmiu jeńców stanęło żałośnie:  
„Z wszystkich sług wiernych my już tylko  
[żywi!“  
— „Więc do mej służby ja was odtąd wzywam,  
Co przy sokole tu za giermka bywam;  
Widzę, że każdy z was się temu dziwi?  
Otóż da każdy gardło po mej woli,  
Kto po imieniu nazwie mnie w niewoli.

„I czuł to każdy, że mu było z rodu  
Władnąć nad ludźmi i słowem i duchem,  
I one jeńce szły wielkim posłuchem;  
A kiedy Hetman miał się do pochodu,  
To aby one pachole ukoił,  
Dał dzielne konie i jeńców uzbroił  
I pacholęciu dodał do orszaku,  
I tuż przy panu stawał wedle znaku  
Dla onych Maurów namiotek osobny  
I poczt chłopięcia był bardzo ozdobny,  
Kiedy za panem w tym pochodzie ruszy,  
Choć wielka żalność była w jego duszy,

„Gdyśmy przez morze przebrnęli okręty,  
To w ziemi włoskiej, mówił pan Maruszka,  
Wysłał galary pod nas Ojciec Święty.  
Więc z Rzymu prosto znaczyła się dróżka  
Łądem do Polski, ale że to z boju  
I koń i człowiek zapragnął po znoju

I trochę wczasu i trochę spoczynku,  
Że ziemia ona wielka z upominku,  
Więc w onej ziemi miło było bawić  
I dzieje sławne za drugimi sławić.  
Toć i z rycerstwem, co się do nas garnie,  
Czynim wycieczki w rycerskim szeregu  
I łowim ptaszki sokołami zdarnie  
Po skałach onych i po morskim brzegu.

„Raz więc, gdy ruszył taki orszak dworski  
Wzdłóż brzegów morza, patrzym zadziwieni:  
Z łabędziem w walce zjął się orzeł morski,  
Aż fala morska pod niemi się pieni  
I orzeł bije, a łabędź się broni,  
Więc i raz po raz orzeł w górę pędzi  
I bije z góry, choć łabędź się chroni  
I wpił już szpony do szyi łabędziej,  
I patrzym wszyscy, stojąc morza blisko,  
Jako się skończy to ptasie igrzysko?  
Aż on Maur młody, co szedł z nami w pole,  
Pomknął do brzegu i puścił sokole.  
Zmieszał się Hetman, bo sądził że żarty,  
I kiedy w górze odezwał się dzwonek,  
Zawisł Aldabon jak drobny skowronek  
W obliczu walki niczego nie warty!  
I długo z góry walkę królów mierzył  
A potem nagle jak piorun uderzył  
I tak się szpony łba orlego czepił,  
Że go i szpony i dziobem oślepił,  
Kiedy w łabędzia wpił się już zaciekle.  
I sokół z orłem rzucił się tak wściekle,  
Że oba w górę unieśli się lotem:  
I padł na morze orzeł oślepiiony,  
Jakby był nagle strzałem ugodzony,  
A sokół w górę poszedł wielkim zwrotem:

I po trzech cięciach i łabędź się zwinął  
I z falą morską ku brzegowi spłynął....

„Tedy on giermek: „Ha patrzcie psy giaury!  
Jacy to byli na królestwie Maury,  
Jacy tam króle, gdzie takie sokoły!  
I jam syn książąt i orle tej szkoły!“  
I koniem jeszcze po brzegu potoczył,  
I razem z koniem z brzega w morze skoczył,  
I nad bezednią tylko wir się kręci,  
Ale co dzielne nie ginie w pamięci!

„Jako on giermek chciał to mieć z rozkazu,  
Nikt go po rodzie nie nazwał i razu  
I na dnie morskiem była tajemnica  
I rodu jego i losów rodzica,  
Bo żaden z jeńców nie zeznał nikomu,  
Kto był on giermek i jakiego domu?

„Długo się jeszcze on Aldabon płochał  
I wszystkich ni by o pachole pytał,  
A gdy go w końcu pan Maruszka schwycił,  
Jego już tylko za czasem ukochał;  
I gdy wracali z wojen w ziemie nasze,  
Na jego pięści kołyszę się ptasze  
Po onym giermku zabrane w puściźnie,  
Sławne za morzem i w polskiej ojczyźnie!“

---

## KSIĘGI WTÓRE.

# HETMAN I ŚMIERĆ JEGO.

---

*A. D. 1548 die Resurrectionis Domini.*

Działo się w święta samej Wielkanocy  
I Chrystus powstał w wielkiej niebios mocy,  
Lecz po ulicach i rynkach Krakowa  
Kupi się naród i milczenie chowa,  
A dzwon królewski na lament uderzył,  
I wielka żalność, bo król Zygmunt nie żył.

Było ztąd wróżby i żaloby wiele,  
Że nam nie padło w święta się weselić,  
Ale się przyszło żalobą obdzielić,  
Kiedy Bóg ojca na mary nam ściele,  
Co wypiastrował całe pokolenie  
I wobec swoich i wobec postronnych  
Stał w tak wysokiej miłości i cenie,  
Jako pan z panów po Bogu zakonnych!

Hetman królowi przymknął miłościwie  
Strudzone oczy na wieczne pokoje,  
I bram zamkowych kazał strzedz stróżliwie  
I sam królewskie opatrzył podwoje;  
Poczem na zamku przywdział szaty czarne,  
A gdy je wdziewał, znał że wszystko marne,  
I czarnej delii nakrył się kapturem  
I siadł na konia i okiem ponurem  
Spuszczał się z zamku powoli do miasta.  
Więc tłum narodu z każdą chwilą wzrasta,  
I na Podzamczu zaroił się rynek  
I musiał stanąć i podniósł buławę,  
I choć tłok wielki, uciszono wrzawę;  
A hetman z konia:

„Wieczny odpoczynek!“  
I upadł naród wszystek na kolana,  
Kolo kościołka świętego Idziego,  
I pierwszy pacierz żałobny za pana  
Odmówił z cicha klęcząc pod buławą,  
Bardzo żałośny po stracie onego..

Z kilką dworzany jechałem w orszaku  
I było bardzo mi na duszy łzawo,  
Pan choć nie jeździł za zwyczaj przy znaku  
I przy buławie (co w zawiści rani),  
Kazał hetmański znak ponieść przed sobą  
I jął buławę, by znał, że hetmani  
Naród okryty po królu żałobą...

Tłum wszelkich stanów hetmana otoczył  
W onym pochodzie i koń w miejscu kroczy  
I pełno zewsząd pytań żałobliwych:  
„Jakże król skończył?“

— „Smiercią sprawiedliwych“



Hetman każdemu mówi miłościwie.

„A jakże długo w ojczyźnie panował?“

— „Przez lat czterdzieści i dwa nam królował“

Powtarza hetman co chwila cierpliwie.

Inni wołali: „A wiele żywota?“

— „Siedemdziesiąty i drugi rok skończył“.

I znowu żale: „A miłość! a cnota!..“

„I na Wielkanoc z nami się rozłączył!..“

Całą godzinę, a może i więcej  
Z zamku do rynku, gdzie jest dom hetmański,  
Jechał pan wolno przez ciżbę tysięcy  
I o tej śmierci opowiadał pańskiej  
I o żywocie nieboszczyka króla!  
I płakał naród na te opowiedzi,  
Ale sam hetman nic się nie rozczuła,  
Lecz jak okuty na tym koniu siedzi.

W bramie hetmańskiej onej kamienicy  
Czekała pani bardzo żalobliwa,  
I wielu panów ze lżą na żrenicy  
I jest splakana u rumaka grzywa  
Gdym z siodła skoczył i ujął za strzemię  
I gdy pan w końcu spuścił się na ziemię,  
Bo aż na konia kładł się lud płaczący,  
Po wielkiej stracie bardzo bolejący.

I ledwo wytchnął, już w kolebkę siada  
I do biskupa jedzie dzielić troski,  
A był biskupem Samuel Maciejowski.  
I już zebrana była wierna rada  
Ku służbie swojej, w biskupiej stolicy.

Ze słowem Bożem i żalem w żrenicy,  
Powitał biskup hetmana u progu:  
„Tak się hetmanie podobało Bogu!“

Hetman uchylił mu głowę z pokorą,  
I przystąpili do tej rady skoro:  
Więc i skok posły do Litwy wysłano,  
Aby Zygmunta Augusta zaprosić,  
Co miał majestat po rodzicu nosić;  
Boć go na króla w narodzie obrano  
Zgodnemi głosy za zeszęłego króla,  
Więc tylko k'niemu naród się przytula.

Jakoż i zjechał szczęśliwie do ziemi:  
I wyjechali na ono witanie  
Koronne panny poczty ozdobnemi  
Przed króla swego, co przy Litwie stanie;  
I po kozacku było ich najwięcej!  
I tak tam stanął nawet huf panięcy.  
Bo się to Litwie najlepiej podoba,  
Gdy równo strojne są narody oba.  
A krzywo patrzy, kiedy armaturą  
I pancernymi jest Korona górą.

Więc i hetmański poczt wystąpił z gracka,  
I pan Maruszka, co jako chorąży  
Znak niósł przed panem, ubrał się z kozacka  
I na czerkiesie przodem hufu dąży,  
A i nam nawet kazał dać kołpaki,  
Jakie przy królu nosiły chłopaki.  
Kiedy dwór wszystek po kozacku stawał,  
Hetman sam tylko przywdział zbroję złotą,  
I nikt w dniu onym żałoby nie dawał  
Poznać królowi, lecz czynił z ochotą!

Bardzo poczeiwe było powitanie  
I wjazd na państwo stał się u Krakowa,  
Lecz kiedy w zamku wyszła na spotkanie  
Matka królewska i po królu wdowa,

Z trzema córami a siostrami króla,  
Kirem nakryta, z córami lkająca,  
Tedy dopiero i król się rozczuła,  
Więc i łza padła żalności gorąca  
I podniósł matkę i te siostry swoje  
I ciesząc sercem wiódł je na pokoje.

Oprócz świeczników Litwy i Korony  
Nikogo tedy niepuszczano w bramy,  
Ustał huk harmat i ucichły dzwony,  
A z żalem swoim pozostał dwór samy;  
I było bardzo cicho w całym mieście,  
Gdym znowu wrócił do księdza Melchiora]  
I do pacierzy przyszło klęknąć wreszcie,  
Bośmy już późno wrócili ze dwora.

Tedy ksiądz Melchior w łasce mi powiada:  
„Po dniu tak wielkim czuwać nam wypada,  
Z Jagiellów krzewu różyczka to ostatnia,  
Co się skłoniła do cedrów Libanu.

. . . . .  
. . . . .  
. . . . .  
. . . . .  
. . . . .  
. . . . .

„Dzień przesuszylem, to mi przynieś miodu  
I zaprosz pana Maruszkę tu do mnie,  
Wszakże należę także do narodu,  
To i pocieszyć chciałbym się dziś skromnie.”

Węborek miodu wziąłem od szafarza,  
A kiedym pana Maruszkę zaprosił,  
Widzę, że prośba bardzo się nadarza,  
Bo po kozacku myślami się nosił

I wielkim krokiem po masztarni chodził  
I po swojemu dumki już zawodził.

Kiedym na stole postawił węborek,  
Tedy do ojca pan Maruszka powie:  
„Niema co mówić, pięknie tu w Krakowie,  
Lecz to dla serca ciasny jakiś dworek!  
Czy im tak dobrze, czy tak źle tu było,  
Że się to w mury i na kupę zbiło?  
Tu nie ma nawet kędy puścić oka,  
A przecież ziemia pod nami szeroka?“

Na to ksiądz Melchior: „Coś bardzo z junacka  
Waszmość poczyna i kozackim strojem,  
Odkąd was Litwa ubrała z kozacka.  
A po Krakowie wypada pokojem,  
Boć tu kościoły i tu nasze dzwony  
I Świętych Pańskich na ołtarzach kości  
I wszystkie one klejnoty korony  
I wszystkie one narodów miłości;  
Więc kubek z sobą wypijmy w Krakowie“.  
Jakoż wypili za królewskie zdrowie.

Przy trzecim kubku rzekł mi pan Maruszka:  
„Na że i tobie! bo cię znam za zuszka;  
Dobrześ dziś czynił i konia i bronią,  
Na tarcz i drzewiec, tak zawsze wypada:  
Korona z Orłem, a Litwa z Pogonią...  
Ależ i dzwony, dzwony tu nie lada!  
Jeszcze mi w głowie i wyje i huczy.  
Jakby po bitwie, lub stepowej tuczy!

„Prawda, że dawno nie byłem w Krakowie,  
Bo raz ostatni po pamiętnej bitwie

U Obertyn, i czy to po Litwie,  
Czy po tych dzwonach, dość, że huczy w gło  
[wie! "

— „Tedy nie było królewskiego dzwonu,“  
Rzekł mu ksiądz Melchior — „zeszły król go  
ulał

Gdy nad upadkiem wiary się rozczulał  
I dać świadectwo chciał wierze od tronu.

„Żył sługa Boży w tynieckim klasztorze,  
Co więcej wieku przeżył na pustyni,  
Niżeli z bracią, do niego w pokorze,  
Król się uciekał, kiedy vota czyni.  
Więc gdy odpadać począł od kościoła  
Naród w niełasce, tedy król zawoła  
Z leśnej pustyni widzącego człeka  
I na rozdarcie narodu narzeka  
I pyta jako odwrócić złe tropy  
I naprowadzić znów na Boże stopy?“

„Tedy pustelnik powiedział królowi:  
„Każesz dzwon ułać, jakiego nie było,  
I dasz na wieżę w twojej stolicy,  
A gdy uderzy w duszę Bożą siłą,  
Ockną się jeszcze tej ziemi dziedzicy,  
I choćby wszystko poszło nawet marno,  
To się do Boga i jedności zgarną  
I błogosławić jeszcze i w żałobie  
Będą ci królu na tym twoim grobie.  
Ale wielkiego trzeba bardzo dzwonu,  
Aby upomniał w Panu do posłuchu  
I zgarnął znowu do Boga i tronu,  
Boć lud twój broi, choć potężny w duchu!

Dodatek do „Kur. Codz.“—Pachołę Hetmańskie. 5

Ja ócz nie zamknę i nie spocznę w Panu,  
Aż nie usłyszę głosu w mej pustyni  
Onego dzwonu z chwałą Twego stanu...“

„Więc jako radził, tak też i król czyni,  
I wielkim głosem dzwon królewski woła  
W imię narodu, w jedności kościoła!

„Do chrztu dzwon podał bardzo uroczyście  
Sam król z narodem i „Zygmunt“ mu dzieja,  
Krakowscy cieśle uczynili czyście  
Wspaniałą ławę i z dobrą nadzieją.

Po onej ławie ciągnięto na wieżę  
Dzwon najwspanialszy w Rzeczypospolitej  
I król z królową sam się za to bierze.  
Przez ślubny pierścień i przez powróż lity  
Ciągną z narodem dzwon ów do dzwonnicy,  
A ława brała początek wspaniały  
Od samych węglów biskupiej stolicy,  
I zawisł z chwałą on dzwon okazały  
Na wielką chwałę królewską i Boską,  
I większym głosem, niż dotąd słyszany  
Bywał w tej Polsce, odezwał się troską;  
Płacząc żałośnie na Chrystusa rany,  
I król się w onej żałości ukoił,  
Bo znał, że naród puklerzem uzbroił  
I że głos wielki onego puklerza  
Odnowi w ziemi i z niebem przymierza.

: : : : :  
: : : : :  
: : : : :  
: : : : :  
: : : : :

„Więc też usłyszał także w swej pustyni  
Głos tego dzwonu on to sługa Boży,  
Co panu radził i ofiarę czyni  
Bogu na chwałę, powstawszy z rogoży,  
Gdy się dzwon ozwał nigdy niesłyszany,  
Płacząc żałośnie na Chrystusa rany“.

Skończył ksiądz Melchior, ale bardzo sumny  
Był pan Maruszka, i znowu powiada:  
„Ha, mówię Ojcu! nie lada, nie lada!  
Możnaby nawet złożyć się do trumny,  
Bo straszno w głowie i wyje i huczy,  
Jakby po bitwie, lub stepowej tuczy!“

Ksiądz Melchior zmówił modlitewkę krótką,  
Gdy pan Maruszka odszedł na spoczynek,  
Rzekł do mnie w łasce: „Idź spać moja rutko!  
A po dniu wielkim chowaj upominek“...

Król był na Litwie, poślubił w skrytości  
Bardzo mu miłą po Gasztołdzie wdowę,  
I w tajemnicy były związki owe,  
Póki król rodzic był jeszcze przy życiu!  
Lecz gdy postąpił po Jego Miłości,  
Trudno tam było to chować w ukryciu,  
Że wziął Barbarę z domu Radziwiłłów,  
Bo Zygmunt August chciał ją koronować  
I przy swym boku jak królowę chować.  
Na to powstały wichry szalawików,  
A czołem wicherów zdawna w tej Koronie  
Był on Piotr Kmita, człek bardzo obrotny,  
Lecz i zły bardzo i bardzo przewrotny,  
Więc się na burzę zanosło przy tronie.

Król był na Litwie panem i dziedzicem,  
A choć małżeństwo tał przed rodzicem,

Jawnie już czynił po rodzica zgonie  
I w obec Litwy postawił na tronie  
Basienkę swoją, jak polską królowę;  
Lecz było nad czem zakłopotać głowę,  
Kiedy z małżonką zjechał do Korony  
Bo inne prawa tej Polski a Litwy,  
I kiedy Bona poostrzyła brzytwy,  
To złość uderzy tak na gwałt we dzwony,  
Jakby dom stary i dziedzictwo Piasta  
Pogrzebać miała królewska niewiasta?...

Bo Bona z Kmitą, a Kmita z biskupy  
Tak się tam związał w tym sojuszu gniewnym,  
I takie złości ziały z pod skorupy,  
Że król na tronie nie znał się już pewnym  
I tylko tyle było jeszcze miru,  
Że nie przystało zrywać tego kiru,  
Jaki wziął świeżo naród w swej żalobie,  
Że nie przystało biedz za pędem wiru,  
Bo król na marach leżał w wielkiej chwale  
I być miał złożon wprzódę jeszcze w grobie,  
Nim na potomka szarpną się zuchwale...

Król po królewsku trwać w zamiarze raczył  
I jak następnik i dziedzic pogrobny  
Wilię świętego Jakóba wyznaczył  
Na dzień pogrzebu i na chleb żałobny.  
I już o świecie ozwały się dzwony  
I wyruszyły cechy i zakony  
I dzwon królewski na lament okrutny  
Po panu swoim z nad zamku uderzy,  
Zwiastując żale Litwy i Korony:  
I wszystkim w kirze stanął naród smutny  
I każdy zalem stratę ziemi mierzy,  
Aż już wyruszył orszak pogrzebowy.



Tedy niesiono przodem mar trzydzieści,  
Suto okrytych w barwne złotogłowy,  
Strojne herbami ku narodowi cześci.

Chorągwie nieśli dopiero za niemi  
Jadąc w kirysach chorążowie ziemi,  
A już na czele onego orszaku  
Z orłem koronnym Chorąży nadworny  
Na białym koniu wiódł poczet wyborny,  
I wszystkie znaki szły po onym znaku.

Chorąży pański niósł zaś w onej dobie  
Miecz goły, ostrzem zwrócony ku sobie.

Tutaj dopiero wszystkich ziem posłowie  
Szli po kolei, jak się ziemia zowie,  
Kiedy z kolei w boju, czy na radzie  
Chorągwie stawi, albo vota kładzie.  
Za nimi jechał w zupełnym kirysie  
Jan Tarło, dzierżąc goły miecz w swym ręku  
I siedział bardzo okazale w łęku,  
Bo i koń w zbroi, a skóry tygrysie  
Opięły barki i pańskie siedzenie  
(Król od cesarza był dostał tę zbroję),  
A za rycerzem jechał na skinienie  
Giermek królewski, niosąc drzewo swoje.

Tedy dopiero szedł już przed marami  
Senat koronny, pełen wielkiej troski,  
I miecz niósł Wolski, Kmita szedł z szeptami,  
Tęczyński z jabłkiem, a mój pan Tarnowski  
Jako w ojczyźnie trzymał jej obronę,  
Z buławą w pasie poniósł tę koronę.  
Ja niosłem w on czas wraz z małym Bobolą  
Kraj szaty pańskiej za tą pańską wolą.

I już za nami szły królewskie mary,  
A na tych marach leżał Zygmunt Stary!  
Za onych panów kołem dygnitarskiem  
Szedł orszak dworzan z wielkością świec lanych,  
W żałobnym kirze po panu odzianych.

Pomiędzy posłem czeskim a cesarskim  
Szedł król pośrodku za trumną rodzica,  
I szła królowa zapłakawszy lica,  
I książę pruskie, hołdownik Korony,  
Wiódł ją po jednej, a od drugiej strony  
Służył margrabie pani w tym pochodzie,  
I książę prymas z biskupy pospołu  
Prowadził kondukt — i był płacz w narodzie,  
Że przyszło ojca złożyć już do dołu.

Mszę miał ksiądz Prymas i wszyscy pasterze  
Całej Korony służyli mu do niej;  
Poczem w kazaniu dał świadectwo w wierze  
Ksiądz biskup Samuel, więc i każde słowo  
Solą mądrości i kadzidłem woni,  
Co mu z ust wyszło nad deską grobową,  
Wszystkim obenym wydało się prawie!  
A kiedy pacierz śpiewano w odprawie:  
Tedy obrządkiem tych zwyczajów starych  
Wjechał kiryśnik i giermek w podwoje,  
Otkawszy hełmy i tę całą zbroję,  
Jako jest zwyczaj, wielością świec jarych.

Na Agnus Dei wiernie poskładali  
Koronne pany na ołtarzu w cześci  
Sceptra królewskie, tedy hełm od stali  
Król o ziem rzucił w serdecznej boleści

I miecz, margrabie, książę pruskie, tarczę,  
Cieszyńskie, drzewo, i lud się rozżalił,  
Bo przed oltarzem drzewo już złomano,  
Więc i kiryśnik w żałości się karcze  
I sam przy marach z konia się powalił,  
I tu pieczęcie potłukli kanclerze  
Starego króla, a nowe im dano  
Wznak, że nastąpiło nowe już przymierze...  
Poczem przed kościół wyszli wszyscy razem  
I postawiono mary przed kościołem,  
Kędy jest wnijscie do onego dołu,  
Gdzie Jagiellowie spoczęli pospołu.

Tedy po polsku rzecz bardzo żalobną  
Miał do narodu biskup Maciejowski.  
I biskup Kromer oracyę osobną  
Miał po łacinie—i książdż Orzechowski...  
Króla złożono w Jagiellońskim grobie,  
Który uczynił za żywota sobie,  
A przez rok cały nawet ludzie prości  
Kirowe szaty nosili w żałości  
I z dobrej woli naród sobie zbrania  
Wesołych śpiewów i tańców i grania,  
Tak wielka żałosc i w sercu i w licu  
Była po panu i królu rodzicu.

Gdyśmy z pogrzebu wrócili do domu,  
To wejść do pana nie wolno nikomu  
Było dnia tego i tego wieczora,  
Tak się z żałością cicho w sercu nosił;  
Aż pan Mielecki późno się już wprosił,  
Więc i Maruszkę i księdza Melchiora  
Kazał pan jeszcze zaprosić do siebie,  
I milcząc siedli przy żalobnym chlebie.

Sama im pani służyła przy stole,  
Wziąwszy mię tylko i Jasia Bobołę  
Do tej usługi sobie do pomocy,  
Więc nie zmróżyłem ni oka tej nocy.

Gdy po wieczerzy odeszła już pani,  
Rzekł pan do gości: „I już spoczął sobie  
Pan mój sędziwy i leży już w grobie!  
Kto pokróluje i kto pohetmani?  
Kiedy zaledwo grób jeszcze zawarty,  
A tu już senat i naród rozdarty  
Rwie się na króla, za co? że wziął żonę?  
I w Bogu daną chce odjąć koronę?  
I znam i czuję, że mnie to pochowa“.

Poczem rzekł krótko panu Mieleckiemu:  
„Kiedy zostanie buława i wdowa,  
Jak cię uczyłem będziesz radził temu.  
Tyle po pana mego dziś pogrzebie  
Daję ci synu przy żalobnym chlebie“.

„Gdy noc bezsenna tak nam razem padła,  
Pokrzepmy ducha słowy Apostoła“.

Przyniosłem księgę, co się zawsze kładła  
Na noc przy panie, i nie wstając zgoła  
Noc przesiedzieli w pobożnem czuwaniu  
I listów Pawła Świętego czytaniu.  
Aż kiedy w zamku na jutrznię zadzwonią,  
Zmienił pan szaty i do Tyńca konią,  
I miał ksiądz Melchior przed najświętszą Panną  
Tedy na Tyńcu pierwszą mszę poranną.  
A ja świętością tej nocy przejęty  
Służyłem ojcu do onej mszy świętej.

Król trzymał pana hetmana przy sobie,  
Bo gdy rodzica pochował już w grobie,  
Bardzo się z razu w tej koronie trworzył,  
A znał to dobrze, że jedno Tarnowski  
I jeden biskup Samuel Maciejowski  
Był mu podporą, więc kiedy sejm złożył  
Na Święty Łukasz listy do Piotrkowa,  
I pan przy królu zjechał tam z Krakowa.

Rzecz się poczęła w sejmie od witania:  
Jan Sierakowski, mąż wielkiego zdania,  
Miał rzecz od posłów piękną i wymowną  
I przypominał: jako w łasce Boskiej  
Królował Polsce on dom Jagiełłowski,  
Tedy bywała wolną i warowną,  
Więc i upomniał króla miłościwie,  
Ażeby stąpał w przodków swoich strzemię  
I tak sam sądził i rządził te ziemie,  
Jako mu podał koronę szczęśliwie  
Naród z miłości za króla rodzica,  
Darząc koroną jeszcze królewica  
Za dni królewskich wielkich oną chwałą,  
Czego wprzód w dziejach nigdy nie bywało...

Na majestacie pełen wielkiej troski  
Bardzo wzruszony Zygmunt August siedział,  
I na tę mowę biskup Maciejowski  
W imieniu króla posłom odpowiedział.

Po powitaniu, gdy król kanclerzowi  
Kazał od tronu czynić rzecz potoczną,  
Koło poselskie służby swej odmówi,  
I występuje z niechęcią widoczną:

Że Piotr Boratyński powstał tu od koła,  
sejm spraw żadnych nie tknie owo zgoła,

Aż stan królewski jako mu przystoi  
Opatrzon będzie, bo król pojął żonę  
Bez wiadomości i tej rady swojej.  
Więc praw narodu podjęto obronę,  
I z wielkim żalem i wielkiej pokorze  
(Czego za ludzkiej pamięci nie znano)  
Posły przed królem ugięli kolano,  
Że mu Barbara żoną być nie może!

Król poruszony (i nie tyle groźbą,  
Ile wylaną wolnych głosów prośbą)  
I z tronu powstał, i zdjął czapkę z głowy  
I prosił posłów serdecznemi słowy  
W tak wielkiej sprawie o namysłu chwilę,  
A po namyśle, rzekł im tylko tyle,<sup>2</sup>  
Nie przez kanclerza, ale sam od siebie:  
„Co tutaj powiem, widzi Pan Bóg w niebie,  
Rzeczpospolitą nad żywot przekładam,  
Lecz ona jedno na mej wierze stoi,  
A jeśli wiarę złamię żonie mojej,  
Gdzie będzie pewność, że szwanku nie zadam  
Prawom narodu? i wiary nie złamię  
Wobec korony? jeśli żonie skłamię?“

Tedy Dzierzgowski biskup nie pochwalił  
Onych słów króla, gdy przyszło na vota,  
Mówiąc, że insza jest dla króla cnota,  
A gdyby w sprawie król o grzech się zalił,  
To on podzieli grzech tego rozvodu  
Na cały naród, a praw tej korony  
Nie da pogwałcić, gdy podjął obrony  
Jako senator wolności narodu,  
I poszli wszyscy biskupi za Kmitą,  
I cały senat świecki i duchowny  
Stał wbrew królowi w onej sprawie słownej.

Za królem tylko stał hetman Tarnowski,  
Broniąc małżeństwa i biskup krakowski.

I była jeszcze schadzka posłów z radą  
I wicherzył Górka i dokuczał Kmita,  
Lecz gdy napróżno wstępy panu kładą  
I gdy ujrzeli, że wola niezbita,  
To się ta sprawa przesilać poczęła  
I z innej strony na króla uderzą:  
Bo wskok do pactów od onego dzieła  
I tak się posły z radami sprzymierzą,  
Iż zażądali: by król do Korony,  
Litwę i Prusy i Zator przysądził,  
I nie przez siebie w Rzeczypospolitej,  
Lecz przez nią samą w tej Koronie rządził,  
I w rzeczach sądów i w rzeczach obrony.

Tedy Tarnowski, gdy tak sobie zaczęną,  
Bardzo wymownie rzecz uczynił baczną:  
„To naprzód żony a teraz korony  
Przeczycie panu?” Ale złości Kmity  
Większe niż cnota Rzeczypospolitej.  
Więc odparł bardzo ostro i gorąco  
I poszli posły za tą radą wrzającą.  
Jakby nie było króla, ni senatu.

Tedy dał znaki swego majestatu  
Król, za dekretem koniec sprawie dawszy,  
Posłom odprawę i wicherzom Kmity.  
Votum hetmana od tronu uznawszy  
Za zdrową radę Rzeczypospolitej,  
Obwołać kazał te królewskie sądy;  
I gdy tak skończył swawolne nierządy.  
Z sprawiedliwością wielką tego roku  
Sądy odprawiał, idąc w dobre ślady,  
Pana hetmana wezwawszy do boku,  
I krakowskiego biskupa do rady.

Co widząc posły, a i ci panowie,  
Co przeciw panu w onym sejmie stali,  
Precz się do domów swoich rozjechali,  
I tak się skończył pierwszy sejm w Piotrkowie.

---

Królowa Bona nie chciała synowej  
Widzieć na oczy, lecz królowna Anna  
Pełna mądrości onej Jagiełkowej,  
Choć młoda jeszcze i cicha i panna,  
Rzekła do króla, w czas, bardzo nieśmiele:  
„A zapchaj gardło złotem temu Kmicie,  
To wszystko zmieni o czasu nie wiele,  
I lżejsze będzie panu memu życie.  
Dopóki rodzic władał w tej Koronie,  
Był już ochelznał z laty tego Kmitę,  
Lecz podniósł głowę dziś po jego zgonie  
I wniwecz puszcza tę Rzeczpospolitę;  
Pana nowego próbują stałości,  
Więc baczyć trzeba tu Waszej Miłości!  
Szczęście, że hetman stoi wam przy boku,  
I jak go znamy, nie sfolguje kroku,  
Pani Kmicina, niewiasta pobożna  
I krewna Basi, a Kmita jest dumny,  
Toć przez Kmicinę zbliżyćby się można  
I miasto wichrów dojść sprawy rozumnej.“

(O tej to radzie pani hetmanowa  
Raz mi mówiła, kiedy od królowny  
List odebrała życzliwy i rzewny,  
Bawiąc w Wielowski natenczas jak wdowa).



Król poszedł tedy za królowy radą:  
I kiedy Kmitę z małżonką zaprosił  
Do Niepołomic, to oboje zjadą  
I nie tak wcale już się Kmita nosił,  
Ale był panu tak bardzo powolny,  
Iż kiedy Zygmunt przez swój list okólny  
Wszemu rycerstwu sprawę był ogłosił  
Małżeństwa swego, nie było już mowy,  
By dłużej kozły królowi już stawić:  
Lecz przecie w sercu każdy był gotowy  
Małżonkę pańską jak panią w koronie  
I koronację Barbary odprawić  
I obok króla posadzić na tronie.

Kmita królowi musiał pofolgować,  
Lecz radom onym, co przy tronie stali,  
Pragnął w swej złości wszystko odwetować,  
Więc gdy na drugi sejm znowu zjechali,

*A. D. 1550.*

Tedy w Piotrkowie tak się rozparł Kmita  
I radzie pańskiej począł się nadymać,  
Iż biskupowi z tej pieczęci kwita,  
Którejby nie miał dłużej jeszcze trzymać  
Przy tem biskupstwie, jakie dzisiaj trzyma,  
A po hetmanie żądał, aby zwrotem  
Dał sandomierskie starostwo na potem,  
Bo w dożywocie dawane być nie ma,  
I biskup Samuel, widząc te niechęci,  
Bardzo szczęśliwy złożyć te pieczęci,  
I Jan Tarnowski zdał starostwo skoro,  
Choć już wysłużył tyle dziesięcioro.

Król był odesłał swe uniwersały  
I rady swoje wszem wobec przekładał.  
Przeciw tym listom powstawał sejm cały,  
Więc i uchwałą to królowi zadał,  
Aby nowemi listy sam złągodził  
Te rady swoje dane narodowi,  
Bo sejm chce chodzić, a i będzie chodził  
Okolo dobra Rzeczypospolitej.  
Bo król przez siebie rady nie stanowi,  
Lecz radą stanów miałby być powity.

Tedy wbrew wszystkim powstał Jan z Tarnowa:  
„Kiedy nie serce, to ma radzić głowa!“  
I one listy królewskie pochwalił,  
Bo król onemi błędną wolę stalił,  
Więc i lekarstwam uznał zdanie stałe,  
Na animusy ludzkie rozbieżale  
I na te rany Rzeczypospolitej,  
A jeśli prawem ma być król spowity,  
To i swawolę spętaćby potrzeba,  
Bo za swawolą pójdzie kara nieba.“

Tedy posłowie ostro przełożyli:  
Przeczby u króla władzę swą zgubili  
Radni panowie? I tak dopuszczali  
Wszystkiego panu? bez rady? po woli?  
Więc i na nowo żądania podali  
Sejmu przyszełego, jakoż onym gwoli  
Król nie przez siebie miał w Koronie rządzić,  
Lecz Litwę, Prusy i Zator przysadzić  
Polsce, na własność Rzeczypospolitej  
I miał jej prawem być tylko spowity.

Tedy był poszedł w onej rzeczy słownej  
I senat świecki i wszystek duchowny

W sporze z posłami za zdaniem hetmana,  
Więc też niezego posłom nie przyznali,  
Ale bronili bardzo mocno pana,  
By z mocy króla sądów tych nie brali,  
Sprawiedliwości nie tamując toku,  
Bo bez tych sądów ludzie być nie mogą  
I królewskiego na ten czas wyroku,  
W prawach i krzywdach uciśnięci srogo.

Posły powstawszy na radę i króla,  
Niezego sprawić nie mogli w tym sejmie  
I nowa sprawa jeszcze się roztula  
I obie strony stanęły w rozejmie:  
Bo już i u nas podnosiły głowę  
Owe nowinki w wierze i w kościele  
I sejm zatrudnił Orzechowski śmieie  
I bardzo skory na praktyki nowe:  
Choć był kapłanem, chciał brać sobie żonę;  
Tedy Dziaduski, ksiądz biskup przemyski,  
Między biskupy pozbierawszy kreski,  
Chciał mieć te sprawy srodze pokarcone.  
A i te wichry poszły znów od Kmity,  
Bo w Leskim zamku siadywał ukryty  
Ksiądz Orzechowski, kiedy kłątwe rzucił  
Biskup na niego i w Kmitowym domu  
Była ta panna, ku której się zwrócił  
I wziąć za żonę umyślał bez sromu.  
Gdy Orzechowski chciał za sobą czule  
Rzecz mieć do króla, biskupi powstawszy,  
Wzbronili tego surowo po stule:  
„Nie będziesz słuchał królu najłaskawszy  
Mowy człowieka, który błądzi zgola  
I od karności odbiega kościoła.“  
A choć za księdzem Kmita prośby wnosił,  
Król rzecz rozwiązał i sądy ogłosił...  
Tak się skończył on synod piotrkowski.

Chociaż się w radzie zaburzyło srodze,  
Król z dobrem sercem powracał do żony,  
Wielu mu panów służyło w tej drodze  
I nikt nie bronił Barbarze korony;  
Ale oddali należną pocziwość  
Jako królowej; toż także i Bona  
Przez godne posły okazała tkliwość,  
Jako synowej, wcale rozbrojona;  
A on Piotr Kmita, co mówił, że łaski  
Przenigdy w życiu przed nią nie podniesie,  
Z hołdem najpierwszy do królowej rwie się  
I Radziwiłła szuka nawet łaski  
I sam, co żony tak królowi bronił,  
Koło tej sprawy najzarliwiej gonił:  
Jakby koronę podać tej królowej?  
Bo gdy nie było w sejmie o tem mowy,  
Doradził panu, by ją koronował,  
Gdy książę pruskie będzie mu hołdował.  
I tak się stało jeszcze tego roku,  
Że król koronę włożył na jej skronie  
I jak królowę trzymał ją u boku,  
Przyjmując hołdy powinne koronie.

Ale nie długo Barbara koroną,  
A król się cieszył ukochaną żoną:  
W kilka miesięcy piękna pani zmarła,  
A z takim żalem śmierć mu ją wydarła,  
Ze go pocieszyć nie było sposobu,  
I sam na Litwę jechał za jej ciałem  
I w żalu bardzo po stracie wytrzymał  
Sam Radziwiłłom oddał ją do grobu.

---

Kiedyśmy z panem wracali z Krakowa,  
Rzekł pan z nienacka panu Mieleckiemu;  
„Wojna się ponoż znaczy po staremu  
I pójdzie ręką, bo się modłę senny,  
A gdy się zbudzę, to nie zgubię słowa,  
Ale bez przerwy ciągnę pacierz dzienny  
I patrzę tylko ciągle po klepsydrze  
Jak w czasie wojny, czy już nie docieka?  
Więc pewnie bieda gdzieś tatarą wydrze  
I może na nas już coś doma czeka?”

Jakoż mi kazał dobyć na noclegu  
Pan tę klepsydrę: był to pierścień duży,  
Co niby zegar znaczył czasy w biegu,  
Więc też na wojnach zawdy panu służy...  
W nim to klepsydra z dwóch pereł złożoną,  
Pyłkiem rubinu w środku napelniona,  
Mierzyła czasy na kościelne strażę  
I pan przełożyć zawdy pierścień każe,  
Gdy jedna perła cała już zbieleje.  
Wielkie z pierścieniem wiązały się dzieje:  
Pan Szydłowiecki dał go w upominek  
Panu za młodu i kiedy docieka  
Nocą klepsydra, pan się zawsze budzi:  
„Więc zmieniać strażel!” powiada do ludzi  
A sam odmawia „Wieczny odpoczynek“  
Za duszę niegdyś pana Kasztelana  
I po klepsydrze mierzy noc do rana.

### *A. D. 1551.*

O nowem lecie przybyli ormianie,  
Rybę i ikrę wioząc od Limanu  
I na podzamczu zajęli kurzenie,  
A więc znać zaraz dają o tem panu,

Dodatek do Kur. Codz.—„Pacholę Hetmańskie“.

Pomny na ono przykazanie Cywy,  
Że być tam może człek bardzo służebny,  
Chociaż na oko zda się nie potrzebny.

Jakoż wiódł tabor człek już dobrze siwy,  
Który rok rocznie z panem prawie bywał  
I dobre siochy o tatarach miewał;  
Tento powiadał, że się Orda burzy  
I że na wiosnę w zagony się zbierze  
I wszystko najazd bardzo wielki wróży,  
Bo odnowili wszędy złe przymierze.

Więc pan wyprawił na nowe podśluchy  
I kazał trzymać w gotowości duchy  
I dał znać o tem do rady i króla,  
Że już i wojsko jest u Tarnopola.  
Więc i po ziemi wici zatyczono,  
By w całej ziemi dać ogniste znaki,  
Kiedy już wpadną Tatarzy na szlaki.  
Jakoż i wpadli—i z wiosną zieloną  
Ruszył pan hetman z Tatarami w taniec,  
Gdy z listy przypadł od granic wybraniec.

Na dwa tygodnie przed onym pochodem  
Pan Starzechowski przybył z pocztem swoim:  
Wszystko tam było bardzo wielkim strojem  
Wcale gotowe, więc do Lwowa przodem  
Pan go wyprawił, a sam z Sieniawskiem,  
Z panem Mieleckim i z chorągwią swoją  
W odwodzie ciągnąć miał do ruskiej ziemi.

Hufy Sieniawskich stały dobrą zbroją,  
A już o panu Mieleckim nie gadać,  
Bo był od młodu sam w hetmańskiej szkole,  
To się tam wszystko musiało mu nadać  
I w dzień, czy w nocy, zawdy gotów w pole  
Ludźmi i sobą.

Więc się miasto roi  
I dniem i nocą Leliwitów sprawą,  
Co jedną drogą i za wspólną sławą  
Chadzać lubili przy buławie swojej.

Na tę potrzebę szli także dworzanie.  
Co już bywali do oręża zdadni,  
A że być mieli na rozkaz przy panie,  
Jedni przy koniach, a drudzy przy szatni,  
To też im dano oprawne pancerze  
I bardzo hardo z nich się każdy bierze;  
I kiedy pytam: „Cóż się ze mną stanie?  
Czyż ja bez zbroi mam bywać przy panie?“  
Jeden ze wzgardą w ucho mi powiedział:  
„Będziesz z babami tu za piecem siedział!“  
I bardzom rzewnie na niedźwiedziu szłochał,  
Bom już i pana i służbę ukochał,  
I trudno było przełknąć tego sromu;  
Gdy wszyscy idą, bym ja został w domu.

Spostrzegł to hetman, że ja spać nie mogę,  
I ognia kazał w kominie poprawić:  
„Czegoś to płakał?“

Musiałem się sprawić,  
— „Bo nie mam pono jechać w oną drogę,  
I starsi śmieją się ze mnie dworzanie,  
Że na zapiecku ma mię pan zostawić!“

„A ty byś jechał? wszak to na spotkanie?“  
Rzekł pan łaskawie, widząc że ja płaczę:  
„A jeśli zginiesz?“

— „To zginę przy paniei  
Ale przed śmiercią rodzica zobaczę?“  
— „Młodyś mi jeszcze!“

— „Wytrwam panie w znoju  
Wszak pan Maruszka sam mi to powiadał,  
Ze pan Mielecki młodszym szedł do boju  
Przy boku pańskim, a czy się nie nadał?“  
— „Niech i tak będzie!“ rzekł mi pan po chwili,  
„Czy z siebie mówisz! czy cię podmówili?“  
— „Z siebie!“ powiadam.

— „Więc miej się do drogi!“  
Z wielką radością uściskałem nogi,  
I pan mi znowu po chwili powiada:  
„Kiedy do boju, to spać nie wypada  
Bo lada chwila wpadnie może goniec  
A niebaczniemu przychodzi na koniec  
Wołaj Irena, proś pana Kuleszę,  
To jeszcze może, nim w Panu oświtnie,  
Z potrzebną sprawą dla ciebie wyspieszę  
I staniesz w kole orężno i bitnie“...

Chciałem na słowo lecieć oraz w pędy,  
Ale pan hetman: „Powoli! rozsądnie!  
Festina lente, bo nie chodzi tędy!  
Zmów krótki pacierz, ubierz się porządnie“.

Na rozkaz pański wszedł naprzód koniuszy  
I pan go spytał: „Jak tam waszmość *tuszy*  
O onym perskim cisawym koniku,  
Co to w junoszej stajni z kraju bywa,  
Pręg ma po krzyżu, kary chwost i grzywa  
I rzekł koniuszy: „Za mały do szyku,  
Lecz dzielny bardzo!“

— „Chcę wsadzić *pachole*  
Na tego konia“.

— „Pachole? a które?  
To koń wyskoczny, sadi bardzo w *górze*“.  
— „Zawdy takiego ja do boju wolę





A owo rycerz, co na niego siędzie“.  
I wskazał na mnie—i z uśmiechem oba  
Spojrzeli po mnie.

„Więc z koniem od żłoba“  
Rzekł hetman w końcu.

— „Ha, niech i tak będzie“  
Rzekł pan Kulesza; „Na świt będzie w kole,  
Zobaczmy, jako znajdzie się pachole?“

Więc hetman na to:

„Nie o to mi chodzi,  
Lecz po dniach całych niech cisawy brodzi,  
A stępo tylko, w mądrej bardzo ręce,  
W poprzek zagonów, na góry i jary,  
To dojdzie jeszcze rozumu i miary  
I zdatny będzie na służby chłopięce.  
Pachole będzie bywać przy mym boku,  
Więc i namiotek wypada mieć w troku,  
A pod te juki dać hiszpańskie muły,  
Na nie też pójdą szaty i kociołki  
I kuchnia moja, a do mej szkatuły  
Straż już osobną pan Maruszka doda  
I da starszego nad one pacholki,  
By rząd był wszystek od góry do spodu.  
Więc jako luźne ma wyruszyć w pole,  
Niech się o świcie na oczy mi stawi,  
Czyn waszmość proszę i prośbę i wolę,  
A pan Maruszka już tam resztę sprawi“.

Kiedy z rozkazem odszedł pan koniuszy,  
Rzekł do Irena: „Przybywasz mi w porę,  
Bo ja do boju to pachole biorę,  
To i mój stary jeszcze w pole ruszy“.

„A na czem panie“ spytał Iren stary,  
„Klacz przy źrebięciu, co podemną chodzi“.  
Rozśmiał się hetman: „Rzecz ledwo do wiary,  
Ze nie ma na czem? Deresz się złagodzi,  
Co wiernie nosił nam księdza Melchiora,  
A kiedy w boju nie nauka uczy,  
To Deresz będzie odtąd za mentora,  
I w jego ślady niech pachole tuczy“.

Wiosną to było, i Boże skowronki,  
Wzbiły się chórem w pogodne niebiosy,  
I woń ciągnęła od kwitnącej łąki  
I w słońcu ciepła zagrała już rosa,  
Gdy cały tabor z luzaki i z muły,  
Gotów pod juki i pańskie szkatuły,  
Staął porządnie przy straży od czoła  
I pan go obszedł powoli do koła  
I rzekł, widocznie rad z wyprawy całej:  
„Mułom powody wypada przytroczyć,  
By paść nie mogły, to się będą znały  
Same do służby i nie zejda w stronę,  
Ale za końmi będą sporo kroczyć  
I strzedz się będą, nawet niestrzeżone“.

Gdy pan to mówił, pomknął się po błoniu  
Sam pan Kulesza na cisawym koniu,  
I w troje tyle serce mi urosło,  
Boć się cisawe tak po persku niosło,  
Ze choć nie wielkie, wydało się rosłe,  
Tak osadzone i przodem wyniosłe.

Gdy pan Kulesza dobrze go rozhułał,  
Zwróciwszy ku nam, nagle rzucił wodze  
A choć był niby rozhułany srodze,  
Staął, jak gdyby ze spiżu go ułał...

I pan zrozumiał, że koń dobrze uczny,  
Choć miał krew wielką, jako pers buńczuczny.  
Oprócz szabelki, luka i kołczana  
Nie miałem zbroi, a więc pan mnie bierze,  
Gdzie się na baszcie chowały pancerze,  
Bo jakaś zbroja miała być mi dana.

„Wszystko za ciężkie i wszystko za duże“,  
Patrząc po ścianach, pan hetman powiada:  
„A znaj to chłopcze, że to bój nie płuże,  
Kiedy się zbroja do człeka nie nada“.  
Szczęściem znalazła się jakaś kołczuga  
I bardzo lekka i nie bardzo długa,  
Znać udziergana na chłopięce służby;  
Toć ją dać raczył mi pan z dobrej wróżby,  
I kiedy z kuźni wyszła po odnowie,  
W złote gwiazdeczki osiana po głowie,  
To mi ją dano po łosim kaftanie,  
I w tej koszulce bywałem przy panie.

Nadeszły gońce, na które pan czekał,  
Więc i wyprawy dłużej nie odwlekał,  
Lecz po litanii w kaplicy zamkowej,  
Bez pożegnania i wszelakiej mowy,  
Siadłszy na konia, co w dziedzińcu zuszyl,  
Stępo i mileząc na wyprawę ruszył.

I wszystkie wojsko na podwody siadło:  
Każdy przy sobie miał i rząd i zbroję,  
A konie luzem pędzić tylko padło,  
Niby tabuny idące na boje.

Bo śpieszno było przy hetmańskim znaku:  
Hetman sto koni i ludzi bez braku  
Tylko przy sobie i panach zostawił,  
I pan Maruszka sam luzaki dławił;

I z konia na koń przez krótkie popasy  
I krótszą drogą na pola i lasy  
I dniem i nocą, nie kładąc ogniska,  
Wiedzie i trzyma i do ładu wciska,  
A choć to czynił powagą spokojną,  
I chociaż na mnie i pamiętać raczy,  
To tu dopiero znalazłem, co to znaczy  
Chodzić w ojczyźnie za Tatary wojną,

Tabor nas czekał już u Tarnopola.  
Okolo Glinian była wielka trwoga,  
Bo gdy tabunem pędzą konie w pola,  
Boczna tumany zakurzy się droga,  
I powstał okrzyk: „Tatary! Tatary!“  
I pan pod strażą odprawił luzaki  
I sprawił hufiec przedniej onej wiary  
I stanął w miejscu i patrzy na szlaki,  
A w tejże chwili tabun luznych koni,  
Co w trzecią stronę na bezpieczne goni,  
Spłoszył od czoła wilk nagle spłoszony,  
I w cztery wiatry pierzchnęły na strony.

Kiedy na szlaku opadły już chmury,  
Patrzy pan hetman, a to szlachta jedzie,  
Co aż do Brzeżan szła na Gołogóry,  
Słyszając, że hetman w pole wojsko wiedzie.  
Więc jak daleko zajrzeć tylko okiem,  
Na wszystkie strony po polu szerokiem  
Tabun luzaków w polach się rozprószył.  
I patrzą wszyscy: „To nie mamy koni!“  
Tedy pan hetman bardzo pojunoszył,  
Bo na wysoką mogiłę pogoni  
Na siwym ogrze, co bywał najtrwalszy  
I z wszystkich rżawnych koni najzuchwalszy.  
I zanim pojmiem, o co panu chodzi

Zesiadł pan nagle z hardego rumaka  
I już na ziemi kantar i kulbaka,  
A koń łeb zadarł do koła wodzi  
Okiem za stadem, w polach rozproszonem.  
Więc go przybyło, zda się, drugie tyle,  
Gdy z wiatry puścił grzywę na mogile  
I rżąc zuchwale nakrył się ogonem.

Hetman stał w miejscu i na krok [nie ruszył  
A Andaluza tak i rżał i zuszyl  
Rwąc się przy panie, iż każdy się zdumiał,  
Ze koń tak hardy pana wyrozumiał,  
Bo po mogile opędzał pierścieniem.  
I w pola dawał hasło wielkiem rzeniem.

Jakoż nie darmo, bo rzą i rumaki  
I stąd i zowąd po chwili niejakiej  
I dudni ziemia, tabun odzew dawa,  
I coraz bliższa i straszniejsza rzawa;  
Do hurtu lecą konie z każdej strony  
I w hurt je spędza koń nieunoszony  
Pana hetmana, co słał rzenie w okół,  
Jak kuropatwy spędza lotny sokół.

Strach było pojrzeć, jako krew się niosła  
I trwoga wszystkich z każdą chwilą rosła,  
Boć już nie widać pana w środku stada,  
A rumak pański niby ogniem pryska,  
I tabun cały co raz ciaśniej ścisła  
I rżąc zębami do okoła okłada!  
Tedy hurt wszystek stanął w miejscu sparty:  
Patrzym, aż z luki wychodzi otwartej  
Hetman bez szwanku kulbakę niosący,  
I powitany w miłości gorącej  
Od Leliwitów i rycerstwa wszego;  
Dać sobie kazał rumaka świeżego.

Kiedy pan znowu siadł przy nas na konia,  
Aż tu do hurtu rży i pędzi z błonia  
Jeszcze koń jakiś, co daleko bardzo  
Znać się gdzieś odbił i gdy już nadbiega,  
Hurtowe konie stają do szerega  
I rżą ku niemu i grzebią i hardzą.  
Był to bułanek, co ostatni sadił  
I andaluza na nim już wyjadził  
I grozy swoje i te swoje złości,  
Bo straszno zarży i pryska i grzebie  
I jednym cięciem tak go wziął pod siebie,  
Że tylko w skórze zatrzeszczały kości,  
Tak go zacięcie pod kopyta ściele,  
I złośnik wielki wygryzł mu gardziele  
I wszystkie konie jakby wziął do burtu,  
W trwodze skupione trzymały się hurtu,  
A andaluza do hurtu je wciskał  
I pokrwawiony niby ogniem pryskał.  
Na to Maruszka do pana powiada:  
„To mi to sprawa! nie lada... nie lada...  
Nowa rycerstwu przybyła nauka.  
Nie ma co mówić, to hetmańska sztuka!”

Już też u Glinian stanęły podwody  
Ze wszystkim wojskiem jadąc dniem i nocą  
I z hurtu konia brał każdy bez szkody,  
Bo andaluza trzymał je pod mocą  
I nie pierw zdołał być i sam ujęty,  
Aż już na kantar był hurt wszystek wzięty.

Nazajutrz świtem sprawił hetman szyki  
I pan Mielecki powiódł ochotniki.  
Przybył tam z nimi dobry rycerz Łaski.  
Hetman szedł z wojskiem, a już zadnie straże  
Trzymał na sobie starszy pan Sieniawski,

I pod Zborowem gdyśmy wyszli w pola,  
Nadbiegły gońce, że u Tarnopola,  
I jeńców wszystkich i odbito łupy  
I że już tatar rozbity jest z kupy,  
Lecz, że napowrót rzucił się do ziemi.  
Tedy pan hetman w miejscu stanąć każe  
I skrywszy wojsko w bardzo wielkim jarze,  
Czekał, aż tatar stanie już na szlaku,  
I tu dopiero poszedł w taniec z niemi.

Tatarzy byli z tyłu dobrze parci,  
A gdy ich z przodu pan hetman pokarci,  
To i wybici są w polach do znaku!

W chrustach ukryci stali tam luzaki  
I ja tam byłem także przy Irenie;  
Lecz gdy się bitwa przesunie pod krzaki,  
A pan od czoła sam tatarzy żenie,  
Tedy nie trwałem już na rozkazanie,  
Lecz spiąwszy konia, co rwał się szalenie,  
Po kilku susach byłem już przy panie.  
I pan mnie spostrzegł i zawołał:

„Czego?

Czy Iren zginął?”

Więc powiadam:

„Żyje!”

— „To precz! i konia dać mi tu świeżego!”  
Więc poskoczyłem i dać każę „Żmiję”.

Czuł to już Żmija, że z kolei ruszy,  
Bo przy luzaku wspina się i zuszy,  
I kiedym pomknął przodem i z luzakiem,  
Choć bitwa wrzała, przemknąłem się ptakiem  
Pomiędzy swymi i między tatarzy.  
Co na łeb parci, padały już w jary.

Pan stał spokojnie na wysokim brzegu  
I zbierał ludzi pod hetmańskim znakiem,  
Więc kiedyś z Zmiją popadł do szeregu,  
Skoczyłem z konia i podaje strzemię;  
Pan się uśmiechnął, bo już znał wygraną  
Bitwę pod on czas.

„A to co za siemię?!  
Poco się siejesz, gdzie cię nie posiano?—  
Rzekł do mnie z łaską—Poco mi tu ciebie?—  
Ścisnąłem pana ze czią za kolano:  
„Ta niech choć konia podam w tej potrzebie!“

A wtem od skrzydła nowa chmura parta,  
Na łeb lecąca do jaru i czarta,  
Lecz jak to lubią tatarzy i w locie  
Wypuszczą ku nam strzały na odwrocie.  
Zanim pan hetman siadł jeszcze na konia  
(Gorsza od bitwy za nimi pogonia)  
I zanim grzywy ręka pańska sięgła  
Strzała tatarska w mej piersi ustrzegła.  
Trzymając strzemię, patrzę się na pana,  
Bardzo coś boli. Hetman wyrwał strzałę,  
Lecz była tylko z ukosa nadziana,  
Bardzo szczęśliwie w żelaznej koszuli;  
Tedy pan hetman w łasce mnie przytuli:  
„To masz nagrodę za służby zuchwałę!“

Z tatarzy kończył sprawę pan Sieniawski,  
A jam już został odtąd przy hetmanie.  
I w niebogłose podniosły się wrzaski,  
Kiedy po bitwie wszystkie wojsko stanie  
Na wielkim szlaku, co od Tarnopola  
Parło tatarów i nagnało w matnię.  
I gdy ucichły już strzały ostatnie.



Tedy pan hetman siadł znowu na „Żmiję”  
Więc i chorągwie objechał powoli  
I znał, kto ranny i kto już nie żyje,  
Boć rozkaz bywał, aby temu gwoli  
Luki bywały w szeregu otwarte.  
I przejrzał hetman wojsko niby kartę,  
I znał o rannych i o wszelkiej stracie.  
Kiedy od hufu gravis armaturae,  
Jadąc za panem, dojedziem z kolei,  
Spojrzę na skrzydło, aż tu stoi z brzegu  
Rotmistrz na skrzydle, i proporce w górę:  
„W dobrej waszmości witam ja nadziei!” —  
Rzekł do rotmistrza hetman miłościwie —  
„Bo ci oddaję syna do szeregu!”

Jakoż w rotmistrzu poznałem rodzica:  
Skoczywszy z konia, rzuciłem się chciwie  
Mu do strzemia i łzami przyłbica  
Spłynęła ku mnie, kiedy mię zobaczył.  
I pan przy ojcu zostawić mię raczył.

Na onym szlaku, co szedł od Zborowa  
Ku Zbarażowi i Trębowli w dwoje,  
Leżał Tarnopol—wszystkiej sprawy głowa  
I stąd szedł hetman zazwyczaj na boje.

Były tam niegdyś piękne uroczyska  
I pustopasze, lecz nie było ludzi,  
Toć z młodu jeszcze zażył hetman trudu  
I mocny zamek wyniósł u urwiska  
Nad brzegiem rzeki—i rzekę zastawił,  
Założył miasto, cerkwie pomurował  
I lud po siołach koło pługa sprawił,  
A ku obronie wojsko w zamku chował,  
Aby nie ciągnąć z wojskiem aż do króla,

Gdy tatar z ordą wpadnie do Podola,  
Lecz w gotowości stać u Tarnopola.

Jakoż chorągwie gravis armaturae,  
Z harmatą wszystką i z całym taborem,  
Trzymał pan hetman zawsze pod tym dworem  
I stąd miał wielką nad tatarem górę  
I rad tu zawsze po potrzebie bawił,  
Nie żeby wytchnąć po rycerskim znoju,  
Ale do bliższych sam to nieraz prawik:  
„Ty! tam dobra dla duszy, co w boju!...  
Bo ani wichrów o władzę i wiarę!  
Tu szlaki stare i mogiły stare!  
A jako w ogniu czynią próbę złota,  
Tak się na wojnie prawdzi w Bogu cnota!  
Ha Kmita, Kmita! i za nim szalbierze,  
Wszyscy w ojczyźnie i w buntach i wierze  
Ciągną skupieni jak gdyby w najlepsze!  
Kmita nie poprze, lecz wszystko odeprze.  
Tu kmita niema! toć miło jak Bogu  
Służyć ojczyźnie, kiedy gniazdo węży  
I złość złej woli na duszy nie cięży!“.....

O bo też bardzo ciężył mu ów Kmita!  
I znała o tem i Rzeczpospolita,  
Znali królowie, lecz że był siostrzanem  
Pana hetmana, patrzył na te złości  
Przez cały żywot, pełen cierpliwości  
I nie chciał siłą łamać tego Kmitę,  
Lecz cnotą łamał złości nie użyte.  
Nie pomagało, bo Kmita do zgonu  
Zazdrościł panu rycerskiej ochoty  
I tej buławy i łaski u tronu;  
Zazdrościł sławy i mienia i cnoty,

A na wszem jeszcze spokoju i ducha,  
Ba kiedy w radzie piekło jadem kłębi,  
To hetman tylko i patrzy i słucha;  
Lecz gdy ostatni odezwie się w radzie  
I wielkie słowo dobędzie z tej głębi  
Samych prawd Bożych, to wszyscy po zadzie,  
A słowo jego, jak słowo zakonu,  
Stoi w narodzie i idzie do tronu.  
„W tobie za Kmitę Pau Bóg mnie nagrodził“  
Mawiał pan hetman nie raz Mieleckiemu,  
„I tyś siostrzanem tylko po staremu  
I będziesz śladem w tej ojczyźnie chodził...  
Rzeczpospolita — a pożał się Boże!  
Bo tylko cnota i Bogiem stać może,  
Lecz byle szalbierz zły ogień roznieci,  
I sama łacno ku przepaści leci;  
A gdyby nie szła, Kmita ją powiedzie,  
Lecz kiedy z wrogi przyjdzie gardłowanie,  
A któż w obronie biednej matki stanie?!  
I kto z wiernymi posunie na przedzie?“  
Tak to pan hetman jęknął sobie czasem  
Bardzo strudzony tych wichrów zapasem,  
I mówił nieraz do księdza Melchiora:  
„Gdyby nie Pan Bóg i serca pokora,  
Krzyżbym na piersi i buławie nosił,  
A na tym krzyżu wypisałbym „Kmita“!  
I niechaj sobie już wszystek świat czyta,  
Żem się u pana od buławy prosił!  
A kto rozumie, że mu lekką będzie,  
Niechaj ją bierze i niech nią uderzy  
W wielkiej ojczyźnie po granic krawędzie,  
A słowu memu i cnotcie zawierzył!

„To dawniej tylko na jedną wyprawę  
Biegał do boju Srogota ochotny,  
To i nie trudno było chwycić sławę;  
Lecz krzyż potrójny, hetman dożywotny!  
I podźwignąłem ciężkości troiste  
Z narodem własnym i z królem i z wrogil  
A ile razy przyszło wyjść na czyste,  
Przytarłem piekłu i najejdzcom rogi!...”

To też odcinał nie raz pan Mielecki  
Onemu Kmicie i perfidy greckiej:  
„To wszystko wolne, wszystko, prócz obrony?  
A tylko jeńcem obrońca Korony  
Ma być w narodzie? Jest jeszcze prócz Kmit'  
I z nas ktoś synem Rzeczypospolitej  
W onym zastępie, co chodzi do boju.  
I co krwią spotniał w tym pocziwym znoju.

„O czem wojuję, idąc na wyprawy?  
Chyba ksiądz Łyczko wie tylko sam jeden  
I ile razy odkupił zastawy?  
Więc bardzo biedny, kto za wszystkich bieden

„To Tatarowi wolno gdyby słońcu  
Iść wszędy ziemią i ogniem i mieczem,  
A kiedy za nim przyjdzie wojsku w końcu  
Ciągnąć i stawać po ziemi odsieczem,  
To jak dziadowi tylko przez wieś droga:  
I choć powietrzem wiedz wojsko koronne,  
Bo na szlacheckiem nie oprze się noga,  
A tu biskupie, a tutaj zakonne,  
A tu stołowe, więc istna sromota,  
I konia nawet nie upnij do płota,  
Bo każdy tylko o siebie się stara;  
A jeśli konie gdzie popasie wiara,

Lub tabor stoczy i stanie do doby,  
To zaraz w sejmie już o to żałoby:  
O praw zniewagę i wszelkich wolności  
Że wojsko w ziemi niby Tatar gości,  
Że pospolitem ruszeniem i konią,  
Jak potrzeb będzie sami się obronią,  
A nie chcą w ziemi znać ni twierdz obronnych,  
Ani daniny, ani wojsk koronnych!

„Żalu by w sercu, żalu by nie było,  
Gdybym nie patrzył, jaka w wojsku karność,  
Że hetman trzyma prawie Bożą siłą,  
I prócz tej służby wszystko ma za marność.

„Czy to kto słyszał, aby na podwodziech  
Biegać za Ordą? a konie wojskowe  
W hurcie gnać stadem? i nastawiać głowę,  
Kiedy nikt nie chce radzić o tych szkodziech?  
Kiedy rad każdy patrzy tylko siebie,  
A król i hetman tylko sam w potrzebie?  
Znamy cię Kmito! tyś w ojczyźnie wrogiem!  
Ha i odpowiesz za to tam przed Bogiem!  
Choć krwią mi blizki, nie mój Tyś jest duchem,  
Bo świętą wolę pętasz złym łańcuchem  
I w radzie pańskiej siedzisz wiarołomny,  
To i ześlizniesz w ziemi bezpotomny!“

Raz nawet porwał się do szabli Kmita,  
Gdy pan Mielecki wytknął mu na oczy  
Krzywą prywatą i on impet smoczy,  
Jakim pod siebie złe i dobre chwytą.  
Działo się wobec wielu ludzi godnych,  
Lecz pan Mielecki: „Szabli nie dobywam,  
Bo ja krew własną lub wroga przelewam;  
Więc i niczego nie mam dla wyrodnych.“

Dodatek do Kur. Codz. „Pachołę Hetmańskie“.

Czem więcej hetman schodził Kmicie  
z drogi,

Tem więcej bywał mu Mielecki srogi,  
I nie zasłonił Kmita fartuch Bony,  
Bo pan Mielecki był dzielny i młody  
I nie stał brodą w sprawach tej korony;  
To się go lękał Kmita siwobrody,  
O którym ludzie tak sobie mawiali:  
Ze ludzką krzywdą i tą brodą stoi,  
Gdy hetman wszystek jest kuty od stali  
A pan Mielecki brody się nie boi....

Mawiał mi o tem nie raz pan Maruszka,  
Ze do stron obu bywała pogródka,  
Kiedy zły wichur w sprawie bardzo krętej  
Jął w tej ojczyźnie kręcić z dyssydynty;  
Bo kiedy Kmita począł swatać księży,  
Chociaż sam wiary na oko nie mienił,  
To i sejm stawał wszystek kłębem węży,  
I z nowych złości jako wąż się lenił.

Na nic się nie zdał on synod piotrkowski,  
Bo wziął z swawoli żonę Orzechowski,  
A gdy król dekret wydał przez kanclerza,  
„Ze w sprawach wiary kościół trybunałem,”  
Tedy się koło poselskie sprzymierza  
I bije takim na księżą nawałem,  
Ze się nie ostać dalej kościołowi,  
Bo wszystkie głosy w jedno tylko godzą,  
Ze sejm w obronie nic nie postanowi,  
Póki w tym domu wroga nie uchodzą,  
A to duchowni mieli być tym wrogiem.  
Tedy pan hetman stał jeden przy tronie,  
Bo król w swej wierze łamał się przed Bo-  
giem,

Bardzo zwątpiały i party w koronie,

Ksiądz Orzechowski umiał sobie zyskać  
Łaskę niektórych biskupów w upadku.  
Więc przez biskupów jął Kmita w niestatku  
Za Orzechowskim na pana naciskać,  
Ażeby króla i synod złagodził,  
Bo cały naród od wiary odpadnie,  
A gdyby tedy był pana uchodził,  
Byłby go skarżył o niewiarę snadnie.

Pan bywał w on czas i w sercu posępny  
I dla nikogo prawie nieprzystępny.  
Znano o panu Mieleckim, że cięty  
I że nie poda ręki w sprawie krętej.  
Tedy nareszcie wniosek oczywisty:  
„Pana Maruszkę obeszlemy listy,  
To on przystąpi jakoś do hetmana.“  
Jakoż gdy listy był odebrał z rana,  
To pan Maruszka nie czekał i chwili  
Lecz złożył zaraz, co jemu złożyli,  
I słuchał hetman bardzo zadziwiony,  
Zkąd to Maruszcze brać księży w obrony?

„Panie! po chlebie i ziemi jest święte!  
Przecież i ja to Roxolanus gente,  
Toć i za swoją bracią stawać trzeba,  
Jak to tam stoi? osądzi Bóg z nieba,  
Lecz Orzechowski, chociaż zawierucha,  
Wziął coś z narodu i z Bożego ducha.  
Krewki i głupi, to się mógł i opić,  
Lecz go nie trzeba do ostatka stropić,  
Oto biskupi piszą do mnie listy,  
Bym mego pana dla niego złagodził,  
A że to dla mnie już wstyd oczywisty,  
Żebym gdzieś chyłkiem po tej sprawie chodził

A więc wszem wobec! w łaskę i niełaskę!  
Bo chyłkiem chodzić, to zaś niby szpetne...  
Każesz go obić? na to mam i łaskę!  
A jak ściąć każesz? to i łeb mu zetnę!  
Lecz jeśli pan mój będzie raczył raczyć,  
Możeby lepiej i jemu przebaczyć?“

— „Jakto?“ zawołał na to hetman w gniewie,  
„Czy i u serca mam już nosić węży?  
To pan Maruszka dziś już nawet nie wie,  
Co Bóg i wiara? i kędy to cięży?  
To się opuszczasz już i ty tak bardzo,  
Kiedy kacerze w nowej wierze hardzą?

Na to Maruszka wszystek w ogniu stanie:  
„Ja się opuszczam? jakto? ja hetmanie?“  
I tak się oba zmierzili oczyma,  
Że hetmanowi aż kark się odyma  
I iskry z oczu szły pana Maruszki  
Na te wymówki i na te pogróżki.  
Ale pan hetman zabiegł pierwszy złemu,  
Bo rzekł spokojnie: „Dajmy pokój temu!  
I raz ten pierwszy niech będzie ostatni,  
Przebacz mi, proszę, towarzyszu bratni!  
Nie o nas chodzi, my pójdziemy z sobą;  
Ksiądz Orzechowski okrył mi żałobą  
Serce na długo, lecz mów proszę dalej,  
Bo gdy żal w sercu, to niech się wyżali“.

Na to Maruszka: „Znam, że mógł się opić,  
Bo jest i krewki i głupi mem zdaniem,  
Lecz go nie trzeba do ostatka stropić.  
Bo zgrzeszył tylko sercem i kochaniem:  
Jakoż za chłopą wziął w zbożu straszydła,  
Pasał na cudzem i zgubił wędzidła,



Ot i samemu ochelznać się trudno.  
Lecz co do wiary wierzy nie obłudno“...

Na to pan hetman: „Słuchaj, mój Maruszko!  
Jak nie pogrozim, będzie Bóg z pogroźką,  
Lecz kiedy trzeba i hetman posłucha,  
Ale daj bracie księdzu twego ducha.  
To naprzód mięse na królewskim stole  
Podano w Środę i tak już na wolę  
I bunty wzięli, że ksiądz pojął żonę?  
Potem w katedrze nawet dyssydenty  
Już nie poczcili i Sakrament święty,  
Lecz czapki wdziawszy, patrzyli na stronę  
W czasie samego prawie Podniesienia!  
Toć Bóg i państwo będzie od zachcenia?  
Gorsza od złego jest złemu potucha  
I grzech nad grzechy, to swawola ducha!...  
To bacz Maruszko, szczo to złocho bude?  
I de bez Boha zajdut naszymi ludem?“

Zbory poczęli czynić różnowierce,  
Tedy pan hetman w to uderzył śmiało,  
By krom królewskich, zjazdów nie bywało  
I tak ugodził w sejmie w samo serce,  
Że Oleśnicki, co te zjazdy czynił,  
O przebaczenie królewskie się stara,  
I znalazł łaskę, kiedy się obwinil;  
A precz odprawić kazano Stankara.

Gdy hetman baczył, że w tej sprawie krętej  
Do nowej wiary co raz więcej śpieszy,  
To do chorągwi ściągał dyssydenty,  
Bo mu pod okiem nie lada kto zgrzeszy  
I nigdy z żadnym nie mówił o wierze,  
Lecz tych i onych jedną miarą bierze,

By w rychle zabiedz bardzo wielkiej szkodzie;  
I kiedy w wierze bracia się rozdarła,  
By się to samo nie stało w narodzie,  
I chuć rycerska w sercach nie zamaria...

Tedy to Kmita biskupy ostrzega,  
Że dyssydentów hetman pod się garnie  
I w wielkiej liczbie stawi do szerega,  
By mógł w Koronie zawładnąć bezkarnie.  
Jakoż żalili się biskupi na to,  
Lecz hetman twardo stał przy swoim prawie,  
Że ziem obrona nie ma być za stratą  
I że rycerstwo ma iść po buławie:  
„A choć się w wierze bractwo rozszczepiło,  
Nie moja sprawa! nie mnie ich spowiadać,  
Księża biskupi! ja hetman, mnie władać,  
I to rycerstwo, jakieby nie było,  
Po na buławie już je trzymać muszę,  
By choć ojczyźnie ratować te dusze!  
A jak je w ogniu ściśnie śmierć i trwoga,  
Może się jeszcze nawrócą do Boga!?...“

Gdyśmy z potrzeby wrócili do domu,  
Ksiądz Marcin Łyczko do pana powiada:  
„Mamy tu panie smutek i nie lada,  
Czeszejko oslepl — i kalectwa sromu  
Nie chciał już święcić na hetmańskim dworze,  
Bo tu i oko i ramię mieć trzeba.  
Mówił, że nie chce psuć tu darmo chleba,  
To i pod kościół przeniósł się w pokorze  
I siadł na górze świętego Marcina;  
Więc i jam prosił i prosił Nowina,  
By nie zadawał nam takiej boleści,  
I ledwo tyle mogliśmy uprosić,  
By się pozwolił pod kościołek nosić,  
I siadł przy księdzu, jakoż tam się mieści

I już do śmierci tylko się sposobi.  
Wnuczka Nowiny dobrze mu tam służy  
A on z modrzewia jakiś łańcuch robi  
Całych ogniwek z kłody bardzo dużej;  
Bywam u niego, bo mu wożę wino.  
Już kilka siągów jest tego łańcucha,  
Ale w robocie zatopiony ino,  
I tylko jeszcze Nowinianki słucha  
I każe piędzą kościołek jej mierzyć,  
Od drzwi wchodowych po ścianie do koła,  
I sam w to wierzy i każe nam wierzyć,  
Że go Bóg w lasce aż w ówczas powoła,  
Gdy łańcuch skończy, a żadne ogniwo  
Nie puści w słoju, lecz będzie tak całe,  
Jako w modrzewiu jest zrosnięte żywo.  
W on czas da łańcuch na tę Bożą chwałę  
I wezwie jeszcze hetmana do siebie“.

I rzekł pan hetman:

„Niech będzie po woli!  
Racście pamiętać o winie i chlebie,  
Bo mię niedola takiej duszy boli!  
A gdy mię wezwie we dnie, czy to w nocy.  
Będę się stawiał, boć jest rycerz mocy  
Wielkiej i Bożej on Czeszejko stary!“

I rósł on łańcuch całego ogniwa,  
A gdy po piędzi dorósł już do miary,  
Czeszejko pana do siebie przyzywa:  
I z całym dworem pan na górę ruszył,  
Bo znał Czeszejkę, więc i dobrze tuszył  
Dla wielkiej sprawy z onego wezwania.

Pogodne słońce zaszło nad górami  
I przed kościołkiem czekał powitania  
Czeszejko, w krześle siedząc przede drzwiami,

Znać, że o świecie jeszcze się spowiadał.  
Wyszła Msza święta: z wiarą najgorętszą  
Słuchał Mszy całej i sercem upadał,  
Gdy mu ksiądz podał Hostyę przenajświętszą;  
Potem wyciągnął ręce do hetmana:  
„A gdzież jest ręka? ręka mego pana?  
Bo i dziś stoję, jakom stał na straży!”  
I podał rękę pan hetman ciemnemu  
I lekko dotknął hetmana po twarzy  
I rzekł: „Ten ci jest! Ten sam po staremu,  
Jakiegom ujrzał raz pierwszy u Orszy,  
Kiedy do sławy krok uczynił sporszy!”

„Zrobiłem panie łańcuch modrzewiowy  
Na znak świadectwa z jednej tylko sztuki:  
Choć Bóg wziął oczy, to dał mi wzrok nowy,  
Więc go zostawiam w ziemi dla nauki:  
Każ go poświęcić i opnij dokoła  
Środkową ścianę całego kościoła  
Onym łańcuchem całego ogniwa,  
I niech tu po nas na świadectwo bywa.“

Jakoż poświęcił ksiądz wodą święconą  
Calisty łańcuch i gdy nim opięto  
W koło kościołek, rzekł Czeszejko: „Świątą  
Jest wiara ojców—i Bóg był z koroną,  
Dopóki naród wiarę ojców chował,  
A więc ślepemu kazał, by zgotował  
Łańcuch calisty na przestrożę ludzi;  
A jeśli naród w czas się nie obudzi,  
To Bóg łańcuchem i kościół opasze  
I naród cały łańcuchem z żelaza,  
Jeśli niewiary nie zatrze się zmaza  
I Bóg mi świadek, że nie darmo straszę.

„Gdyś pod Starodub wiódł znaki hetmanie,  
Toć ważyć raczył w tym boju me zdanie,  
I jakom mówił, tak się wszystko stało,  
Więc do senatu nieś to słowo cało.  
I kto jest krzywy niech się kaja w duchu,  
Łańcuch drewniany, lecz widomy w panu,  
Woła od grobu do wszelkiego stanu,  
Że na żelaznym siądziemy łańcuchu.“

Kiedy to mówił, hetman starca mierzył  
I przed się patrzył groźny i ponury  
I nad górami starły się dwie chmury  
I piorun z nieba na lasy uderzył  
I gdy grzmot ustał, już Czeszejko nie żył,  
A po piorunie znów cisza grobowa.  
Nikt w całym kole nie rzekł ani słowa,  
Hetman siadł na koń, więc i pojedynkiem  
Ruszył przez pola, dawszy nam odprawę  
I nie wiadomo, jaką miał zabawę,  
Znać się pasował z onym upominkiem,  
Bo bardzo późno w nocy już powrócił  
I suszył trzy dni o chlebie i wodzie  
I wszyscy znali, że się w duszy smucił,  
Tak nieszczęśliwą wróżbą o narodzie.

„Ha, ha, Starodub! i chluba i zguba,  
Wszak ci powrózył i do Staroduba!  
Ojczy Melchiorze! jedźmy do Krakowa  
Odnieść królowi wszystkie one słowa“.  
Jakoż trafili na war najgorętszy  
I dyssydenckiej sprawy kotłowanie,  
Kiedy kacermistrz bawił najzaciętszy  
I czynił w ziemi wielkie rozerwanie.

Wichry o wiarę zawichrzyły duchy,  
A niema zgody i w królewskiej radzie,  
Jakby przed wrogiem zdrady i podsłuchy,  
A więc buławę hetman w szale kładzie:  
„Kajać się królu, kajać postronnemi  
Masz się przykłady!“ Toż mówią biskupi,  
By wierze ojców stał na ojców ziemi,  
By się nie wahał, ale stawał mężnie,  
Lecz błąd się szerzy i w złościach się kupi  
I Kmita wichrzy, bunt grozi orężnie,  
A król strapiony i zewsząd naparty,  
Bo dyssydenci heretyckie karty  
Wolności swoich złożyli przed króla,  
By je podpisał: i rozum się mącił  
I już królewska ważyła się woła.  
Tedy ksiądz Melchior pióro mu wytrącił  
I bez odwołki wezwał do pokuty;  
Tak ksiądz Mościcki przeciął one buty  
I gdy przed królem w Bożym gniewie stał,  
To i król w duszy jakby przed lwem drżał.

Boć wielka była to w zakonie świeca!  
„Bóg cuda czyni przy Jackowym grobie!“  
Świadczył do Rzymu, a kiedy stolica,  
A kiedy mówił on diabolus rotae:  
„Czekać, bo jeszcze, jeszcze nie na dobie,“  
To sam Jackową jechał święcić cnotę,  
Więc i świadectwa i złożył przysięgi  
I listy króla i klasztorne księgi,  
A wiarą cudu i ludu przejęty,  
U grobu Piotra świętego modlący,  
I za przyczyną w Panu gorejący  
Wołał, że Jacek: „Jacek, polak święty!“

Dwa razy jeździł do Rzymu w potrzebie  
Sławiący cuda Jackowe na niebie;  
A kiedy święta sprawa się odwleka,  
To ksiądz Mościcki dłużej już nie czeka,  
Ale nad grobem Jacka, z jego celi  
Bardzo wspaniałą uczynił kaplicę,  
Aby się ludzie gdzie pomodlić mieli,  
I nową prośbą obsyła stolicę  
I o modlitwy prosi u kościoła,  
Jakiemi poczcic chwałę apostoła,  
Boć jako przeor nie widzi sposobu,  
Jakby miał ludzi odprawiać od grobu,  
Przy którym łaski i cuda Bóg czyni?

Więc póty prośby i żale zanosił  
I na świat wołał: „Jacek, polak święty!“  
Aż i litanię i lekcję wyprosił,  
Ba i Mszę świętą o Jacku polaku,  
Więc i przyznanie czci wszelkiej do znaku,  
Jaką świętemu Kościół święty daje,  
Kiedy już trumna na ołtarzu staje,  
I jest w narodzie Jacek polak czczony,  
Choć nie jest jeszcze uświętobliwiony,

Pan hetman mawiał o księdzu Melchiorze,  
Że kiedy wojsko kazaniem przeorze,  
I rzuci w duszę siewu Boże ziarna,  
To i buławę odłożyć już można,  
Bo po tem słowie wszelka wola karna  
I wszelka dusza wierzy w sądy Boże  
Tak bardzo mocno, że się jeno trzyma  
I wszystkie wojsko wiedzie już oczyma...

Raz, kiedy słowy w trąbę Archaniola  
Na sąd ostatni uderzył do ludu,  
Pierzchać lud począł od trwogi z kościoła,  
Jakby miał stawać na sąd ostateczny  
I po kazaniu wyznał się do cudu:  
Bo to żar żywy i ogień słoneczny  
Z ust tych wychodził na kościół widomie  
I grom na duszę uderzał po gromie,  
Iż kto nie uszedł, ten padał na ziemię,  
Tak straszne słowo paliło mu ciemię.

Wielkich Bóg chował mężów w swym Kościele  
Za mego czasu, i wielkich rycerzy!  
A chociaż złego było także wiele,  
To wszystkie konie hetman w rękę dzierży;  
I on to Polskę strzymał Kościołowi,  
On mądrej rady dodawał królowi  
I tę lubelską unię przygotował  
I wielką cnotą tak rzeczy miarkował,  
Że mimo wichrów, nie odbiegły toru,  
Bo tak się trzymał tych prawd Bożych wzoru,  
Że raz się tylko uniósł w gniewie swoim,  
Gdy dyssydenci wpisali go zdradnie  
W listy odstępców; tedy niepokojem  
Korda dobywszy, jak lew na nich wpadnie:  
„Kto z ręki mojej nie chce tu wziąć kary,  
Niech nie oskarża przed królem mej wiary!  
Jako? odstępcą miałby być mąż steryl?  
To aż już tędy chodzi złość zaciekła?  
Jam wierze ojców do skonania wierny!  
Wolno wam wicherzyć, lecz kto mnie znieważy,  
To mu leb utnę, bo stoję na straży,  
A na mił siedem pogonię do piekła  
Tę podłą duszę jak na konia siędę  
I cierpieć dłużej już tego nie będę!”



Tedy sfolgował już nawet i Kmita,  
Co z dyssydenty zawdy zdrady knował,  
Więc też poznała i Rzeczpospolita,  
Że hetman duszę w wierze ojców chował.

Wprędce też potem i Bóg ulżył panu  
I wszemu prawie rycerskiemu stanu,  
Co tej buławy podpierał i wiary,  
Bo Kmitę tego złożył Bóg na mary.

*A. D. 1553.*

W sam on dzień śmierci Kmity wichrzyciela  
Pan Bóg nawiedził ziemię znaki wiela:  
Bo taka burza po ziemi się sroży,  
Że wrywało krzyże u rozdroży,  
Rzeki wylały i zrywało dachy  
Nawet z kościołów z Bożego przejrzenia;  
Stuletnie dęby brało od korzenia,  
A w starych grobach i po zamkach strachy,  
Strachy i duchy jawią się pokutne...  
Więc i mówili ludzie w Polsce sobie  
Na one znaki straszne i okrutne:  
„Nie lekko spoczął Kmita w onym grobie;  
Jak za żywota dusza nie użyta,  
Tak i po śmierci broi jeszcze Kmita,  
A no, jak czarci biorą go ze światła  
Rozkapturzonych onych księży swata,  
Co krzywdą ludzką w ziemi się utoczył  
I kije ciskał hetmanom pod nogi  
I póty krzywo w złości swojej iuczył  
Póki mu stało w tej ojczyźnie drogi“.

Tak to mówili po ziemi dziedzicy  
I sami nawet Kmity poplecznicy,  
Co w chwili śmierci zdradzali już pana.  
A gdy człek lekki przypadł do hetmana  
I z wesołością przyniósł one wieści,  
Hetman zmieszany rzekł mu pełen cześci:  
„Jak mi to dajesz? wszakże był twym panem?  
I radą króla i moim siostrzanem?  
To wara błaznom od spraw senatora!“  
I precz w niełasce oddał go ze dwora,  
A w kollegiacie tarnowskiej uprosił  
I nabożeństwo po Kmicie wspaniałe  
I przez sześć niedziel sam żałobę nosił  
Na senatora i siostrzana chwałę.

---

Już też rok siódmy na niedźwiedziej skórze  
Spałem przy panu; a kiedy mentora  
Z hetmanowiczem wysłano w podróżę,  
Przyszło wyprawić już i mnie ze dwora  
Do akademii na wyższe ćwiczenia:  
I dał pan hetman do rektora listy  
I błogosławił sercem u podsienia  
I było to ranek jesienny i mglisty  
I w duszy mojej działa się tak samo,  
Kiedym się ujrzał za zamkową bramą.

„Wertaj a mudry, kołyś pański słuźka!“  
Krzyknął już z bramy za mną pan Maruszka,  
A mój sokolnik po przed kofni sadił  
Niosąc sokoła mojego na pięści  
I aż za Białę wiernie odprowadził  
I tu dopiero rzekł mi: „Niech Bóg szczęści!“

Bardzo mi smutna była ona droga,  
Ale w Krakowie było już weselej...  
Kiedy mnie młodzi między siebie wzięli,  
Tom i odtęsknił powoli od proga,  
Bo było młodych aż do dwóch tysięcy  
W tej głównej szkole różnego narodu  
A doktorowie czuli i goręcy  
Wiedli po Bogu do tego zawodu;  
Tedy poznałem łaski Almy Mater,  
Kędy Jan Kanty, patron i bohater.  
Ot i nie jedno przetarło się w głowie,  
Po starych księgach i po mądrym słowie  
I przez lat cztery, com był w onej szkole  
I Bożą wolę i świata swawolę  
Poznałem dobrze, lecz w łasce bez sromu,  
Jakim był wyszedł, wróciłem do domu.

Hetman odwołał mnie nagle z Krakowa,  
Bo świat się bardzo podał nowej wierze,  
Więc się obawiał, czy i moja głowa  
Śród burzy czasów szkody się ustrzeże?..

*A. D. 1558.*

Kiedym powrócił, był Jasio Bobola  
Na miejscu mojem, a archiwa stare  
Pan pod przysięgą zdał na moją wiarę  
I pisać kazał mi listy do króla,  
Do senatorów i księży prałatów,  
Więc i do dalszych słał nieraz powiatów  
Mnie z temi listy, a nieraz z językiem;  
I milczeć uczył i powiadał bacznie:  
„Słowo z ust posła łącno jest wybrykiem,  
I biada temu, kto złą sprawę zacznie!“

Tedym to poznał, jakie miał zabawy  
Okolo onej pospolitej sprawy;  
I więcej światła, więc i szerszą miarę  
Dały te listy i archiwa stare,  
Niżeli księgi i mowy doktorskie,  
Bom ci z nich poznał i te sprawy dworskie,  
Sprawy Kościoła i sprawy narodu  
I pana mego, jak mu było z rodu.

Tedym to począł pisać po kryjomu,  
Co się w ojczyźnie i hetmańskim domu  
Pod ten czas działo, bacząc, że to ważne  
I dla potomnych może być posażne.

Raz, kiedym siedział tą sprawą zajęty,  
Wszedł nagle hetman: „I co piszesz?” pyta;  
Więc na nic wszystkie już tutaj wykręty  
I rzecz nie mogła być dłużej ukryta,  
Bo na uczynku gorąco mnie schwytał  
I siadł w mem krześle, i wszystko odczytał,  
Więc i po chwili tak się ozwał do mnie:  
„Niema co mówić, i prosto i skromnie,  
Lecz kto nieświadom drogi i żywota,  
Temu nie pisać pono większa cnota!  
Siła się złego z pism w te czasy sieje:  
Kąkol w przenicy, a w skarbcu złodzieje...”  
Przejrzał książeczkę i rzekł mi łaskawie:  
„Ergo sit sibi! Siej się, moja rutko!  
Pozwalam pisać i pomogę w sprawie,  
Pisz, ale z Bogiem! ale w klar i krótko!”

I od tych czasów pisać ja począłem  
I nie przeczułem, że innym mozołem  
Wszystek mój żywot miał pójść po tym świecie,  
Że mną los dziwny jak liściem pomiecie

I że nie zaraz powrócę do sprawy  
I lat szczęśliwych, służby i zabawy...

Ledwo trzy lata na tej służbie zbiegły,  
W których me oczy pańskich skarbów strzegły,  
Aż tu raz rankiem hetman mi powiada:  
„Rodzic powrócił już do swego domu  
I chory, słyszę, więc jechać wypada,  
Bo tam posłużyć może niema komu?  
Z rozkazu mego bawił się wojskowo  
Przez wszystkie lata, co ty przy mnie bawisz,  
Lecz gdy ustąpił, bo mu już niezdrowo,  
To ty samego przecie nie zostawisz?”

Ha, zrozumiałem, co to wszystko znaczy,  
A pan do pani z sobą wziąć mnie raczy  
I poruszony, rzecze jej po chwili:  
„Potrzeba Walka do domu wyprawić,  
Choć go przy boku znać byłoby milej,  
Więc proszę sercem racz mu błogosławić!”  
Bardzo to sercu spadło niespodzianie  
I iza jak perła w oczach pani stanie.

Tedy pan do mnie:

„Coś to lat ubiegło  
I znasz, że żadnej nie było różnicy,  
Że cię to oko jako syna strzegło  
Pieczęją rodzicy i sercem rodzicy...  
Najmiłościwsza jejmość moja pani  
Jedną miłością chowała was obu,  
Toć czułą pamięć należy mieć dla niej  
I służby wierne, a wdzięczne do grobu!”

Obojgu do stóp padłem po kolei:  
I błogosławiąc mi w dobrej nadziei,

Dodatek do „Kur. Codz.”—Pacholę Hetmańskie.

Oboje razem uściskali głowę,  
Chciałem coś wyrzec—zaparło mi mowę...

I hetman podniósł i rzekł do mnie czule  
„Nie mocuj serca! my rozumiem ciebie!  
Kochać się będziem po Bogu i chlebie!  
Ja ci dam zbroję, pani da koszulę.“

Więc i trzy zbroje i trzy rzędy całe  
I trzy rumaki bardzo okazałe  
I trzy sokoły i trzech ludzi dwornych  
Dał mi pan hetman własną swoją ręką,  
A pan Maruszka trzy szabel wybornych,  
Mówiąc:

„Są ostre, a proszę nie miękko!“

Pani trzy wozy dała wyładować  
Zapasem wszelkim dla domu potrzebnym,  
I na odprawie rzekła do Irena:  
„Kiedys pachole umiał tu wychować,  
To bądźże jeszcze w tej drodze służebnym,  
Boć służb ostatnich najwyższa jest cena.  
A weź ze sobą i pisanę starą  
I cisawego, co służyli z tobą;  
Niechaj to za nim idzie pełną miarą  
I niechaj będzie wyprawy ozdobą!“

Do doby hetman wyprawił mnie zrania:  
Kiedy już przyszło do tego zegnania,  
Hetman przy stole wesoło mi mówi:  
„To na gościniec oddasz rodzicowi  
Sygnet cdemnie, a ten łuk z kołczanem  
Odniesiesz Cywie, więc niech dobrze tuczy,  
Czego potrzeba; Cywa cię nauczy  
Na ojcowiznie, kiedy bedziesz panem.“

Tedy znów pani:

„Kiedy pan dla Cywy  
I taki łaskaw i taki życzliwy,  
To o Sufeczynie ja pamiętać muszę,  
Proszę pozdrowić tę poczciwą duszę!“  
I dała jubkę futerkiem podbitą  
I złote czółko dla Sufeczyny w darze,  
A gdym w jej oku ujrzał łzę ukrytą,  
Padłem jej do nóg, żałośnie płaczący,  
Że pan Maruszka aż mi powstać każe  
(Co już od doby był bardzo gorący)  
I mówi wszystkim:

„Ta ne czyńcie bidu!  
Ta czoho płaczesz? ta ja z tobą idu,  
Hodisz do batka pustyty samoho:  
Bo skazut lude, że pustyły zloho.“

Jeszcze litanie w zamkowej kaplicy  
Zmówiła z nami do Bogarodzicy  
Pani w swej łasce; poczem już bez słowa  
Jak zwyczaj domu, pochylona głowa,  
Prosto w dziedziniec na krakowskie wschoo.  
Na koń i stępo, a na wielkie zwody,  
Z panem Maruszką i z całym orszakiem.  
Milcząc, jak zwyczaj, ruszyliśmy szlakiem.

Na działą prościł pochód pan Maruszka  
I bardzo krótką wydała się dróżka,  
Co w Bogu wiodła mię do ojcowizny.  
Z działów patrzymy na rzeki i dwory.  
Rodzica mego zmogły stare blizny  
I mówił Cywa, że naprawdę chory,  
Bo na Zarąbek Cywy szła nam droga,  
I już na działach Sufeczyna nieboga

Poznała sercem i mnie w tym orszaku,  
I z wieścią oną biegła do rodzica  
I powstał z łoża i rozjaśnił lica  
I w jednej chwili wyzdrowiał do znaku.

Do nóg mu padłem w progu, i łaskawie  
Wziął mnie do serca i serdecznie witał  
Pana Maruszkę, o hetmana pytał,  
I dzień nam zeszedł w szczęśliwej zabawie.

Lecz już do świtu pan Maruszka budzi  
I każe wołać do roboty ludzi  
I każe kuźnię na dziedzińcu stawić:  
„Czegom cię uczył, tem się masz i bawić!“  
Jakoż do tydnia był już ład w tej kuźni,  
Bo pan Maruszka i naczynie zładził  
I pancernika z Kańczugi sprowadził  
I po swojemu i kuje i bluźni  
I po dniach całych być każe przy sobie,  
Aż gdy już w końcu gładko mu odrobień  
Miecz z nowa kuty i podkowę całą!  
Mówił już o mnie do rodzica z chwałą,  
Żem człek rycerski i dobrze przetarty  
I gdzie Bóg rzuci, nie lada co warty.  
Jakoż zalecał, bym się w służbie chował  
I w polu boje, w domu młot miłował,  
Poczem się w drogę do Tarnowa zładził,  
A na pół drogi jam go odprowadził,  
Całując jeszcze przed koniem tę ziemię,  
A gdy siadł na koń i nogę i strzemień...

Iren pozostał z nami przy Sufczyni:  
Prosiłem o to i hetman się zgodził;  
Głaskał Pisanekę i koło pszczoł chodził  
I nie zatęsknił na nowej dziedzinie.



A. D. 1561.

Rok ten począłem w rodzicielskim domu,  
Boć już rodzica z mogły były blizny,  
I można było już i mnie bez sromu  
Za wolą jego patrzeć ojcowizny.

Jakoż nie było to bez odpowiedzi,  
Bo rodzic pisał do pana na dobie,  
Ze sam i chory w onym dworze siedzi  
I że rad będzie widział mnie przy sobie.

Tedy pan raczył końmi mnie obdarzyć  
I pisał do mnie: „Gdy masz gospodarzyć,  
To szlę ci konie mojego zawodu,  
A jest tam źrebiec i z Drózbiny rodu,  
Patrz go a pilnie, boć to sławna strzecha,  
Pod którą taka chowa się pociecha.  
Koni odemnie ma mieć me pachole!  
A niech Bóg szczęści, gdy poszło na rolę!“

Kiedy dworzanin hetmański nadjechał  
I na kolebę z rozkazu wyśpieszył,  
Rad bardzo rodzic z cicha się uśmiechał,  
A jam się łaską tak bardzo ucieszył,  
Zem aż zapłakał, bo chłopięce lata  
Stały mi w duszy—i rzekł mi dworzanin:  
„Ha szanuj bracie pamięć onych danin,  
Bo panu wkrótce już pono ze światła!“  
— „Jakto?“ pytałem.

— „Pan nasz bardzo chory,  
Kiedy w Wewiórcie siedzi do tej pory,  
Choć znać niemocy po sobie nie dawa.  
Nie dobra jakaś znaczy nam sie sprawa.

„Z Wielowksi jadąc zapadł na golenie.  
Straż tylko z panem całe dnie i noce  
Siedzi zamknięty, pisząc na skinienie,  
A wielkie muszą być one niemoce,  
Bo gdy hetmana chwycą wielkie bóle  
I zęby zetnie i oczy zamruży:  
To Straż powstaje, co przy piórze służy  
I tylko skinie na Jasia Bobolę  
I z za opony pani się wysuwa  
I patrzy z trwogą, czy nie skończył może?  
Lecz gdy się boleść straszliwa wysroże,  
Otwiera oczy i tak duchem czuwa,  
Że w pół urwane na boleści słowo  
Podaje dalej Strażowi do pióra  
I wobec pani czyni bardzo zdrowo,  
Choć boleść cięży na nim gdyby góra!  
A już najbardziej wszystkich to nie cieszy,  
Że pan na Straża w onej pracy śpieszy.“

Rodzie, co bardzo wierzył w prognostyki,  
Mocno się strapił, słysząc one wieści  
I przesilenia nastaly praktyki  
I zaległ także to łoże boleści...  
I skrzepić ducha nie było sposobu  
Bo i do Cywy i do mnie powiada:  
„Kiedy pan hetman waży się do grobu,  
To i mnie także zabrać się wypada!“

Mówił, że w marcu to i on się minie.  
„Ba też i bardzo!“ mówił Cywa na to,  
„Niech no się kości wygrzeją w pierzynie,  
Będziem żyć jeszcze, jak Pan Bóg da lato.“

Mnie wypadało jechać do hetmana,  
Lecz trudno było odstąpić rodzica,  
Bo rodzic patrzył mi ze trwogą w lica  
I stary Cywa chwycił za kolana:  
„Niech no paniczu! jechać nie wypada!  
Jak marzec minie, to się znajdzie rada.“

Jakoż i marzec minął się szczęśliwie,  
W kwietniowem słońcu wzbily się skowronki,  
Woń wiosenna ciągnęła od łąki  
I nadszedł goniec, że pan hetman żywe  
I w słońcu siada, bo ma się już lepiej.

Więc też i Cywa na ojca nastanie:  
„Hetman się dźwignął i w Bogu się krzepił  
To czas już wielki i wam powstać panie:  
Słoneczko świeci i aż pachą jarzec.  
Nic nam nie będzie, nie umorzył marzec,  
To wstańcie panie i zasiądźcie w ganku,  
Hetmańskie konie przejedziem po rauku.“  
I ubrał ojca i w ganku posadził,  
A jak rumaki przed ganek prowadził,  
Więc i z kolei na każdego siadał  
I już nie było choroby ni bólu  
I pytał rodzic, co się dzieje w polu  
I tak już dobrze całym sobą władał,  
Że zjadł śniadanie i kazał dać konia  
I ruszył z nami na pole przez błonia.

Na ozimynie pasły się gawrony,  
Ziemia aż pachła poruszona pługiem,  
W bliskiem miasteczku ozwały się dzwony  
I krążył bocian i w szeregu długim

Gdzieś na niebiesiech kruczały żurawie  
I rzekł nam rodzic: „A lepiej mi, lepiej.  
I gdy pan hetman z niemocy się krzepi,  
To rad tu jeszcze i ja z wami bawię.“

Jakoż nie było listu ani gońca,  
I minął kwiecień i początek maja,  
Aż tu o ranku, gdy spojrzę do słońca  
Pędzi posłaniec koniem od nahaja:  
Patrzę, kto taki? A to człek hetmański  
Co tchu przypadszy bez listu powiadu:  
„Macie się stawić w skok na rozkaz pański!  
Ale co prędzej jechać tam wypada,  
Bo pan Kulesza wierchy już rozstawił  
I co dwie mile koń na kresach czeka!“  
Chciałem coś lepiej wypytać człowieka,  
Ale i chwili dłużej już nie bawił,  
Lecz poparł konia na nowo ostrogą  
I niby strzała pomknął swoją drogą.

„Co się stać mogło?“

Nie czas było radzić!

Dopadłem konia i gdy pocznę sadzić!  
Na pierwszych kresach dopędziłem gońca.  
Dworzanin trzymał konia w gotowości:  
Pytam: „Co słyhać?“

— Patrzeć tylko końca!“

Rzekł mi strapiony „bo pan leży w mdłości  
I już o duszy księża tylko radzą...“

Tak mi się zdało, że mi serce pęknie  
I koń choć świeży w pierwszym kroku klęknie,  
Więc znak nie dobry:

„Modlą się i kadzą!...“

Rzekł mi po chwili dworzanin już w drodze:  
„A pani bardzo uciśnięta srodze.

Sama mi w ganku dała rozkazanie,  
Bo dniem i nocą tylko sama sobą,  
Bo pan Wojnicki leży także chory;  
Tak się utrapił rodzica chorobą,  
Że nikt nie zgadnie, kiedy z łoża wstanie,  
Więc i posłańce gonią pod te pory  
Na wszystkie strony, kogo trzeba prosić,  
Bo wszystko pani zdaje się nie dosyć!  
Ha! parłem koniem, w żalu bardzo wielki,  
Boć była dla mnie sercem rodzicielki  
Zawdy łaskawą pani hetmanowa.  
A gdym pomyślał, co wszystkim zagraża,  
Jeżeli w Bogu odpocznie ta głowa,  
To od każdego w tej drodze cmentarza,  
Woń śmiertelnego biła mi kadzidła  
I w łzach widziałem tylko same krzyże  
I chociaż chyżo gnały wierzchy chyże,  
Za nic się zdało, gdy nie było skrzydła!...

Pianą strzaskany, choć okryty burką,  
Wstrzymałem konia przed samą Wewiórką,  
A było prawie jak na to nad ranem,  
Więc z kres ostatnich pytam dworzanina:  
„Kędyż tam staje hetmańska drużyna?  
Bo już ciż taki nie stanę przed panem.“

Na to dworzanin mi po chwili powie:  
Już tam po szopach mieszczą się panowie,  
A więc najlepiej zajechać do chaty  
I wytchnąć koniom i odmienić szaty.“

Gdyśmy do izby wstąpili wójtowej,  
To przed obrazem tej Najświętszej Panny  
Klecały w chacie dzieci, białogłowy,  
A wójt odmawiał sam pacierz poranny,

Więc przystąpiłem do tego przymierza,  
Bo choć w strapieniu, zabyłem pacierza.

„Cóż słyhać wóście?” — pytam po modlitwie.  
— „I źle i dobrze! — na to mi powiada. —  
Złe, bo pan kończy! a dobrze, bo w Bogu!  
Ha, byłem wczora w tym hetmańskim progu,  
Sam pan mnie wołał — i była nie lada  
Łaska dla ludzi, bo pan nam dziękował  
Za wierne służby, więc i błogosławił  
I wdzięcznym darem ludzi umiłował  
I na ostatku tak sam do mnie prawił:  
„W Bogu was żegnam, a nim się zobaczymy,  
Kiedy tu po mnie na was tylko siędzie:  
Litość mieć trzeba nad niedoli płaczem  
I niechaj gorzej, jak było, nie będzie!  
— Pan nasz dziś skończy, bo tak sam powiada!

W ganku mnie pani powitała rada,  
Przy niej stał Jasio Bobola spłakany,  
I gdy do pana był mi już wstęp dany,  
Rzekł pan wesoło i bardzo łaskawie:  
„Już cię wiedziałem, że przybędziesz w porę,  
Ze cię pożegnam, nim się stąd zabiorę;  
Patrz, syn mi chory! kiedy mnie w tę drogę  
Pobłogosławić nawet mu nie mogę!”

Zcicha przykląknęłam też przy łożu pana,  
Ze czią ściskając stopy i kolana,  
I rzekł Pan do mnie:

„Daj szaty pielgrzyma”  
I niech pan w łasce do ostatku trzyma...

Ubrałem pana w te szaty pątnicze  
I miał pogodne i światłe oblicze,

Gdym go na krzesło z panią przeprowadził  
I do Mszy świętej w komnacie usadził.

Ksiądz biskup Lenard miał tedy Mszę świętą  
I był ksiądz Łyczko i Jakób kapelan,  
Więc gdy o Bożem Królestwie poczęto  
One kazanie, hetman w duchu przelan  
W one słodkości przyszłego żywota,  
Z wielką nadzieją na śmierć tylko czeka.  
Więc i spowiedzi dłużej nie odwlekał  
I wielkiej skrusze czynił w piersiach wrota.

A gdy wijatyk przyszło przyjąć w drogę,  
Kostur pątniczny kazał dać do ręki  
I na nim wsparty, przed biskupem w klęki:  
Pani po jednej, ja po stronie drugiej  
Trzymałem pana i zadość się stało  
I podziękował nam za te usługi  
I leął na łożu z Świętych Pańskich chwałą.

Tu zdjęwszy ślubny pierścień, dał go pani.  
I przystąpili do łoża kapłani,  
Czytając pasyę, której słuchał pilnie,  
Z wielkimi znaki zbawienia dla duszy.  
Bo w pierś się bije i duchem się kruszy.  
A kiedy przyszło pod koniec modlitwy,  
„In manus Tuas...” — tylko westchnął silnie  
I rycerz Boży wyszedł i z tej bitwy  
(Jako w mem sercu ufam nieomylnie!)  
Zwycięzca w Panu na wieczne pokoje!  
I z Świętym Pawłem pytamy pospółu:  
„Gdzie jest tve żądło, śmierci, u padołu!  
Kraino cieniów, gdzie zwycięstwo twoje?”

*Die 16 Maii, z Piątku na Sobotę.*

„Finivit magnum in patria certamen“ —  
Rzekł biskup Lenard, chyląc się na łożo —  
„I pokój duszy!“

I dodali:

„Amen!“

Mocno ufając w miłosierdzie Boże...  
A gdy pan skończył, to tej samej chwili,  
Jako mi później na zamku mówili,  
Dziwa się działy na rzymskim zegarze:  
Boć to Jan Chrzciciel puścił wszystkie strażę,  
A dzwon tak długo dzwonił i tak silnie,  
Ze choć noc była, drużyna zamkowa  
Z światłem się zbiega, czuwająca pilnie,  
Bo gdy tak rzymski zegar na gwałt woła,  
Mówiono sobie, stojąc wkoło stoła:  
Ze pewno legła już w Wewiórcę głowa,  
Bo choć nie było po czasie na porze,  
Jawią na tarczy się widzenia Boże,  
A w bramie niebios i u jasnej góry  
Stoją Aniołów nie przejrzone chóry  
I jasność świeci już wszelkiemu oku,  
Bo Trójca Święta staje na obłoku  
I Bóg w wielkości swoje niepojęty  
I pan Zastępów „Święty! Święty! Święty!!!“

Jakoż znak wielki na chwilę nie chybił  
I zegar stanął, gdy już wszystko wybił...  
Tedy do wszystkich wyrzekł pan Maruszka:  
„Dla was w zegarze, dla mnie w szabli wróżka“  
I z światłem przeszli do pańskiej komnaty,  
Kędy wisały szable i bułaty  
I dobył szablę, którą pan był nosił  
Pod Obertynem, i pot całą zrosił:



„Na szabli rosa  
To na szyi kosa!

Pewno nie żyje!“ i w poszwę ją wsadził  
I z nikim więcej o tem już nie radził.  
Odkąd pan zapadł, bywał bardzo tępy:  
Co noc z pod Orszy śniły mu się sępy,  
I nie chciał widzieć pana w tej niemocy,  
Lecz jak duch chodził w krążganku po nocy,

Kiedy z Wewiorki posłaniec o świecie  
Przypadł do zwodu, to chowano skrycie  
Więć śmierci pańskiej przed panem Maruszką,  
Jakoż nikogo o nic już nie pytał,  
Bo mu najlepszą była szabla wróżką.  
A gdy śmierć pańską po rosie odczytał,  
To głowa w myślach była dziwnie czynna  
I zdęła serce rabies ukrajinna...  
I mówił tylko: „Coś mi bardzo huczy,  
Jakby po bitwie, lub stepowej tuczy“,  
W Wewiórce księża czynili kaplicę  
Z komnaty pańskiej, i gorzały świece  
I przy oltarzu ofiara się czyni,  
Więc i ubóstwa napłynęło wiele  
I dniem i nocą śpiewają przy ciele  
Żałośne psalmy księża Bernardyni.  
Cały dwór w kirze: cicho, jak w kościele;  
Pan hetmanowicz, gdy się dźwignął nieco,  
Pośpieszył z żoną do tych mar rodzica  
I tylko modły i tylko łzy świecą  
I tylko czasem przemówi żrenica...

Szerzej a szerzej biegły w świat te wieści,  
Aż uderzyły w skrajne bojowiska:  
Tedy się w żalu cały naród ciska  
I wydał bardzo wielki jęk boleści:

A cała Polska rwała się do kiru,  
Bo bez tej głowy niema w ziemi miru,  
I szły ku niebu modły serc gorące  
I w całej Rusi, w Litwie i w Koronie  
Smucił się naród i przez trzy miesiące  
We wszystkie dzwony bił po onym zgonie.  
A od biskupów począwszy, w kościele  
Nie było z bliższych województw kapłana,  
Coby Mszy świętej nie był miał przy ciele,  
Tak tam bolała wszystkich ona rana,  
Boć to w żałości mówił naród sobie:  
„Któż w radzie pańskiej będzie dziś przestrzegal?  
Kto za tatarzy na podwodziech biegal?  
Gdy stary hetman dziś już leży w grobie?  
Siedliśmy, siedli? po ziemi bez miru!“  
I cała Polska rwała się do kiru...

Ksiądz dziekan Łyczko, jako włódzarz pański,  
Kiedy się w ziemi podniósł taki lament!  
W grodzie przy świadkach złożył był testament,  
Jak akt ostatni tej woli hetmańskiej.

Aktu onego głosić przed pogrzebem  
I przed żałobnym po hetmanie chlebem  
Nie było wolno, według obyczaju.  
Jednak ksiądz dziekan, co znał tenor woli,  
Cieszył co bliższych w ziemi i po kraju,  
Że są do króla listy temu gwoli,  
I bez buławy w Koronie nie będzie!  
Bo pan obmyślał sprawę po staremu,  
I choć ustąpił, to naród nie siądzie,  
Bo się buława godzi godniejszemu.

Włęc nie daleko przyszło śledzić sprawę:  
„Mielecki weźmie po panu buławę!“

Mówiono sobie, i tak też się stało,  
Wziął ją i trzymał dla narodu z chwałą.

Otóż, jak o tej sprawie dziekan wiedział,  
Tak i mnie pańską wolę opowiedział,  
Bym nadal w dworze pani marszałkował,  
Więc i dwór wdowi w poczciwości chował.  
Ha, zrozumiałem, co pan żądał po mnie,  
Więc za tę służbę wziąłem się przytomnie,  
A gdym ją radzić o ludziach i chlebie,  
Wszystko się zeszło jakoś samo z siebie.  
Przy samej pani służył Jaś Boboła,  
Boć taka była jej wyraźnie wola.

---

Z Wewiórki biegłem przodem do Tarnowa,  
Gdzie miała przybyć pani hetmanowa,  
Bo przyszło w końcu jeszcze tego dożyć,  
By głowę pańską w zimnym grobie złożyć.

Wjeżdżam na zamek, wrotny z płaczem wita  
A serce tylko o Maruszkę pyta:  
„Cóż pan Maruszka?”

— „Żle, wielmożny panie!  
Pono nie na tem u nas jeszcze stanie,  
Pono za głowę pójdzie wszystka sprawa,  
Bo pan Maruszka folgę żalom dawa:  
We dnie w piwnicy siedzi albo w kuźni,  
A nocą gwizdże i w kruzgankach bluźni,  
Aż zmarniał wszystek, aż pozał się Boże!  
Odkąd pan skończył, nie przyległ na łożę!”  
Wjeżdżam w dziedziniec, było to o ranku,  
A pan Maruszka chodzi po kruzganku,

I po swojemu w zamku gospodynii,  
Gdzieś i teorban dobył z starej skrzyni  
I w szumki, dumki, aż sklepienia jęczą,  
Aż ludzie stają, że aż szyby brzęczą,  
Huka i gwizdże, zawodzi i śpiewa,  
Że aż się sokół na berle podrywa.

Znałem ja wprawdzie oddawna te rzeczy,  
Że takie serce nie lada co leczy,  
Boć to był człowiek wcale ukraienny:  
Porządny w sprawie, ależ w żalu czynny!  
Co rok go bowiem napadał żal taki,  
Kiedy już z cieplic powracały ptaki,  
Kiedy pług pierwszy zarznął wiosną rolę,  
Takie się w sercu wznawiały tam bole,  
Że go nie ujrysz na Mszy ni przy stole,  
Jedno koń, sokół i szumka i w pole  
I kamień w wodę, aż gdzieś w tydzień w kuźni  
Kuje jak szatan i po rusku bluźni.

Więc zrozumiałem, że to nie przelewki  
Kiedym usłyszał hukanie i śpiewki.  
Póki żył hetman, mawiał na ostudę:  
„Mij staryj hluzdy, bude toho, bude!“  
I pan Maruszka wracał do porządku,  
Ale jak pana, brakło i rozsądku..

Idę w krużganki, witam porucznika,  
A on mi tylko przygwizduje zdzika:  
„Hdeś zadiw matka? czort wam z tou robotou!“  
Mówię mu pełnym słodkości wyrazem:  
„Mój poruczniku, pomódlmy się razem“.  
A on mi na to: „A czort wam mołyty!  
Jak Tatar najde, a kto bude byty!“  
Ja mu do kolan: „Ej duszko! Maruszko!  
To ja tve dziecię, toż ja twoim służką!.

Ciężko zapłakał i już się wyzalił,  
Lecz ledwo Boga westchnieniem pochwalili  
Obszedł hetmańskie komnaty do koła,  
I gdy na bloniu ujrzał powrót stada  
I klacz hetmańską przed stadem od czoła,  
Znowu zahuka i tak mi powiada:  
„Hej długo, długo będzie tutaj głucho!  
Trąba bojowa nie obudzi ucho!  
W psiarni zależą krymskie harty pole  
I w świat polecą hetmańskie sokole.  
Jedno wiatr chyba dziedzińcem przebieży  
Lub na gołębnik jastrzębiec uderzy!...“  
I znów zapłakał i ścisnął mi głowę:  
„Mnie to już nie żyć! mnie już czas w dobrowę!  
Każ mi dać konia, a sam podaj zbroję!  
Jadę hetmanie! jadę! jadę! jadę!  
I coś zdał na mnie, to ja Bogu kładę  
I kończę panie gospodarstwo moje.  
Chodź chłopcze ze mną, pan próżen mozoly,  
A więc na wolność puścimy sokoly,  
Bo jak Maruszka i sokół się prosi,  
A komu trzeba, niechaj go unosi:  
Nie stało orła! więc co po sokole?“

I jakby wszystko stanęło na niczem,  
Gwizdnął w krużgankach hasłem sokolniczem:  
„Hej! Kubuś, Kubuś! hej Aldabon w pole!  
Na cztery wiatry i na ziemie krajne!“  
I na pohybel, na drogi rozstajne,  
I zdjął z każdego dłużec i kapturek,  
Pogłaskał w drogę, przeniósł po pod sieniłą  
I puszczał wolno, mieniać po imieniu.

I wleciał Kubuś, Idalgo i Nurek,  
Dodatek do Kur. Codz.—„Pacholę Hetmańskie“. 10

Wzleciał Ewora, Alkasar, Pampano  
(Których to niegdyś po Maurach zabrano),  
Tylko Aldabon siedział zasepiony,  
Choć od lat wielu nie był już strojony  
Więcej w kapturek, bo już przysiępł trochę  
I pierś miał nagą, a i szyję nagą,  
Boć przez lat wiele bił z wielką odwagą,  
Więc od starości wielkiej się wypierzył,  
I gdy na dłużec brano ptasze płoche,  
On sam na berle spokojnie się dzierzył,  
I chyba tylko kiedy chód hetmana  
Lub też Maruszki doleciał go z rana,  
Wachlował skrzydły, prężył się i jeżył,  
A potem znowu drzymał przez dzień cały,  
Że ledwo wierzyć, że ptak onej chwały!

Bujno odlatał każdy sokół młody,  
Aż pan Maruszka w końcu już przystąpił  
Do Aldabona:

„Nie nam do swobody!  
Nie stało drogi, a wieku nie skąpił  
Bóg dla nas obu. Przypomnij sokole  
Hetmańskie służby! hej Aldabon w pole!  
Pieczętuj ptaku, tak jakoś nam pisał!

I stare ptasze tak już rozkołysał,  
Że i Aldabon w górę jeszcze strzelił,  
Tak go ostatni pogwizd rozweselił!

A pan Maruszka: „Hej gde nasza sława!“  
I huknął znowu: „Ha! skończona sprawa!“  
I na sokoly, co siedziały jeszcze  
Rzekł: „Z tymi trzema w polu się popieszczę,  
Bo trzy sokoly, trzech ludzi, trzy konie  
Paści ktoś z światem i po moim zgonie,  
Owo skończone już wodarstwo moje.“

I siadł w kruzganku, a jam wyniósł zbroję.  
Kiedym ją opiął, całuję w kolano,  
A on mi rzecze: „A czy to tak rano?  
Daj mi gorzałki i napij się ze mną,  
Bo ciężko w sercu i na duszy ciemno...”

Podalem, wypił, wypilem i ścisnął,  
I precz odsunął, gdym na nim zawisnął.  
Gdy wsiadł na konia, poprawił się w siodle:  
„Służyłem Bogu i Polsce nie podle!  
Tam w Dzikich Polach są mogiły święte,  
Wracam do swoich, Roxolanus gente.”  
I już ni słowa i ani łzy w oku...

Kiedym w dziedziniec szedł przy jego boku,  
Wziął trzy sokoły, trzech ludzi, trzy konie,  
I z kąd był rodem, ruszył ku tej stronie.  
Kiedy odjeżdżał, rzekł tylko do nieba:  
„A czej sia najdem, de komu potrzeba!”  
Cały dwór wyszedł za bramę daleko,  
Nikt nie rzekł słowa, choć wszystkim łzy cieką,  
Każdy zrozumiał rzecz dobrze u siebie  
wracał smutno, jakby po pogrzebie.

Stała figura przy zamku w pobliżu;  
Patrzę, a stary sokół siadł na krzyżu,  
Wachluje skrzydły i patrzy za drogą,  
Okręca głową i jeży się srogo.

Zdawna mówiono, że Aldabon ślepy,  
A on tak długo rwał się całą siłą,  
Jakby z Maruszką chciał odlecieć w stepy,  
Póki na drodze tuman widać było,  
Aż kiedy znikli, osewiał i zdrzymał  
I przez dni dziewięć na krzyżu się trzymał,

Że nie wiedziano, czy skostniał, czy żyje,  
Nikt go zdjąć nie śmiał i ręce niczyje  
Nie śmiały podać sokołowi jadła;  
I wszystkich dziwna trwoga tak opadła,  
Że omijali figurą z sokołem.  
Aż gdy z pogrzebu wracaliśmy społem,  
Patrzę, a sokół na krzyżu nie siedział,  
Lecz gdzie się podział, nikt o tem nie wie-  
[dział.]

---



## KSIĘGI TRZECIE.

---

# WDOWI DWÓR I PIELGRZYMKA DO ZIEMI ŚWIĘTEJ.

---

Gruba żałoba trwała trzy miesiące  
I cała Polska była na pogrzebie;  
Lecz po egzekwiach i żałobnym chlebie  
Bardzo opadły jakoś wszystkim ręce  
I uczyniło się pusto przy znaku  
W kole rycerskiem i przy pańskim tronie,  
Ot i nie było czem zastąpić braku  
I smutno było w Litwie i Koronie.

Król w łasce swojej podtykał buławę,  
Czcząc pamięć ojca, panu Wojnickiemu;  
Lecz że był chory, to się oparł temu.  
Toć i owładnął w końcu wszystką sprawę

Nasz pan Mielecki, jak mu było z rodu,  
I zgarnął wszystkie rycerstwo ku sobie,  
Bo już był polnym hetmanem w tej dobie,  
To wziął i wielką buławę narodu.

Jako w ojczyźnie, tak się działo w domu,  
Bo już przewodu nie było dać komu:  
Pan hetmanowicz na siłach upadał,  
We łzach i modłach żyła tylko wdowa,  
A na dziedzictwie nowy pan Tarnowa,  
Książę Ostrogiński, jak obcy zawładał,  
Więc niestawało wielu ludziom drogi  
I nikt nie wiedział jako się to złoży  
I panią tylko chwyтали za nogi,  
Co już poczęła sypiać na rogoży.

Straszny to piorun w stare gniazdo strzelił  
I w dom Leliwy zlanym krwawym potem!  
Ktoby nieświadom, temu wiedzieć o tem,  
Jako pan hetman swą działość obdzielił:  
Księżna Ostrogińska wzięła Tarnowszczyznę,  
A Jarosławską pocziwą puściznę  
Wziął syn po ojcu, niby miecz i męstwo,  
Bo już ciż ono Jarosławskie księstwo  
Wierne świadectwo i cnót i zaszczytów,  
Najstarsze gniazdo w rodzie Leliwitów,  
Z którego wyszli Pileccy, Tarnowscy,  
Starzy Bobole, Sieniawscy, Granowscy,  
A i Mielsztyńscy i więcej ich niema.  
A choć nie jeden różnie o tem trzyma,  
Kiedy po ziemiach obsyłają wici,  
A choć nie jeden Leliwą się szczyści  
I hardo sobie siada po za stół,  
To ja go pytam: „A skąd tyś ją wziął?”

Są Leliwici, ale innym strojem,  
Co je przykryli starsi szczytem swoim,  
Bo się lubili zawdy z cnotą bracić  
I drugie ziemią naddziadów bogacić.

Dom Szydłowieckich, z którego szła pani,  
Stał prawie wszystek u Bożej przystani:  
Więc bardzo trudna rzecz już była z przodu,  
Bo choć mąż zacny on Ostrogski książę,  
Co się ślubami z hetmanówną wiąże.  
Ale brnął bardzo w wierze Carogrodu.

Choć krew łączyła, nie łączyła wiara,  
Bo w onej wierze inna rzeczy miara:  
Otóż w Tarnowie nie pozostać pani.  
Wiedział syn o tem, a więc księstwo w dani  
Chciał ponieść matce na mieszkanie wdowie  
I prosił bardzo, żeby w Gorliczynie  
Osiąść raczyła, jak w swojej dziedzinie;  
A jako pana umie pamięć cenić,  
Aby raczyła niczego niezmienić.  
Lecz pani na to krótko mu odpowie,  
Że co jej trzeba, to wszystko dziedziczy,  
Bo ma po panu ów kostur pątniczy,  
A więc i wszystko, czego wdowie trzeba,  
Na tej tu ziemi prócz Boga i nieba.

Gdy pan Wojnicki rozżalił się na to,  
Stańło w końcu, że na przyszłe lato  
Od krewnych wróci i w Wielowisi siedzie  
I że tam wdowie jej mieszkanie będzie:  
„Lubię Wielowieś i dwór modrzewiowy,  
Będzie tam smutne czem pocieszyć oczy:  
Święty Sandomierz i Wisła się toczy,  
A co dostojne było w dzień godowy,  
To i w czas Boży wystarczy dla wdowy.

I pan nieboszczyk lubił to ustronie,  
Więc niech tam reszta dni już moich zbiegnie,  
Wasi tam leżą, otóż niech po zgonie  
I moja biedna głowa przy was legnie“.

O jedno tylko upraszała syna.  
By w łasce była po panu drużyna,  
A mnie staranie poruczył jej dwora  
I dała listy do księdza przeora,  
Prosząc, by ze mną raczył tam się znosić.  
Więc pan Wojnicki kazał mię przyprosić  
I przez noc całą miałem z nim naradę.

Jakoż stanęło jużciż w końcu na tem,  
Że do Wielowśi bez zwłoki pojedę:  
„Znam moją matkę, czułość mieć potrzeba,  
Jak dbać nie będziem, wyrwie się do nieba,  
Więc proszę waszmość, bądź mi wiernym bratem.  
I sandomierskie starostwo dał na to,  
Aby w Wielowśi nie brakło na niczem,  
Gdy pani wróci do siebie na lato,  
A z resztą mówił: „W Bogu się obliczym“.  
A więc jechałem, wzięwszy one listy.

Dwór modrzewiowy był w Wielowśi czysty  
I miła strona, kędy puścić oczy;  
Tutaj Sandomierz, tu Wisła się toczy,  
Parafia we wsi, Wisłą płyną łodzie  
I słońce pali się blaskiem na wodzie  
I brzeg bezpieczny, gdzie flisak przebywa  
i o Barbarce świętej pieśni śpiewa.

Nad brzegiem stała kapliczka od wieku,  
A przy niej dzwonek, w który flisak dzwonił.  
O śmierć szczęśliwą tam to prosić czekał!  
I kiedy dzwonek łązy ranne uronił,

Mówili ludzie: „To Barbarka dzwoni“  
I człek się wlepiął do śmiertelnej toni.  
Lekko tam było sercu i ochotnie  
I panu Bodze dziś jeszcze stokrotnie  
Dziękuję za to, że tak wejrzeć raczył  
I pańskiej wdowie te strony przeznaczył.

Wiem jaką przyjaźń w sercu swoim chował.  
Pan hetmanowicz dla mnie od młodości,  
Tom się nie gniewał, lecz tak mnie pilnował,  
Jak gdyby wąpił w moje poczciwości;  
To też o lepsze poszliśmy w zawody  
I co umyśli, jam uczynił wprzód.

Sorok wielbłądów nadesłał ciężarnych,  
Sprzęty przywieźli, makaty, kobierce,  
Srebra i wiele drogości nie marnych,  
Że się aż ku nim wrywało serce.  
Gdy tabor nadszedł, słałem do przeora  
I owo właśnie przypomnieć jest pora,  
Co to zaś bywał ksiądz Leopolda?

Święty a święty, kiedy z księgi czyta,  
Lecz kiedy w goście do Wielowisi wita,  
To sama tylko majowa pogoda,  
Czysta wesołość, ni w pustyni woda,  
Zda się, że wiatry gdzieś z południa wieją,  
Wszyscy się cieszą i wszyscy się śmieją,  
Tyle miłości i pogody tyle,  
A przecież tyle odwagi w tej sile.

Dzień był przepiękny, pobiegłem do Wisły  
Gdy na galarze białe szaty błysły,  
A flisaczek nieboraczek  
Robi wiosłem jak robaczek,

Pieni Wisła, pieni w biegu  
I już stanęli u brzegu.  
Pochwalony! i witamy  
W wielowiejskie bramy!

„Zły z ciebie dworus, miły panie bracie,  
Kiedy tu bez nas rady nie dawacie  
I wybacz, proszę, bracie, że nie pieszczę,  
Cóż tu w Wielowisi? bo my naczczu jeszcze.“

Jest tam w Wielowisi lamus starodawny,  
Od rezydencyi królów jeszcze sławny,  
Spodem sklepienia, bo i zbroi wiele,  
Na piętrze izba i dwie małe cele  
I dobry komin, sprzęty przyzwoite,  
A i piwnice spodem wyśmienite,  
Tam więc przyjąłem księży w onej dobie,  
Bom był tam obrał rezydencyę sobie.

Dwór modrzewiowy był bardzo obszerny:  
Po rogach stały cztery narożniki  
I były bardzo oddzielne kąciki  
I żył tu jeszcze królewski odźwierny,  
Boć w czasie wielkiej morowej zarazy  
Król Zygmunt Stary odjechał z stolicy  
Z wszystką rodziną i w tej okolicy  
Przez trzy miesiące bawił bez urazy.  
Królewicz tedy był chłopięciem małym,  
A trzy królowny malutkie paniątka  
I król się mieścił tedy z dworem całym  
Bardzo uczciwie u onego kątka,  
Dobrze zakryty obszarem tych lasów.  
I jest tam jeszcze okop z onych czasów,  
Kędy dworzanie mieli stanowisko,  
Kuchnię królewską aż po dziś nazwany,  
Więc panu miłe było to siedlisko  
I są pamiętne modrzewiowe ściany.

Gdy król z rodziną tutaj gościł raczył,  
 Tedy pan hetman lasy tak osaczył  
 Wojskiem dokoła i wzdłuż brzegów Wisły,  
 Że ptak powietrzem nie przemknął łańcucha,  
 Bo był pod gardłem dany rozkaz ściśły,  
 Aby żywego nie przepuścić ducha.  
 Jedne chorągwie stały u dąbrowy,  
 Drugie u Mielca i póki król bawił,  
 Nikt się przez Wisłę z ludzi nie przeprawił  
 Przez wszystkie czasy zarazy morowej.

Na strzał od czatów stawały już posły,  
 I wszystkie ścieżki i drogi zarosły,  
 Tak strzegł pan hetman królewskiego domu  
 I tak pomyślał o wszelkim zapasie,  
 Że i w tym czasie i po onym czasie  
 Na niczem braknąć nie mogło nikomu.  
 Jakoż złamała się na tym łańcuchu,  
 Jak przepowiedział hetman narodowi,  
 Zaraza ona, więc też i posłuchu,  
 Choć najtwardszego, nikt mu nie odmówi.  
 Gdy odjeżdżało w końcu państwo dworne,  
 Rzekł król do pana hetmana serdecznie:  
 „A bardzom wdzięczny za takie komorne  
 I za podjęcie pocziwe a grzeczne,  
 Niewiele takich dni przeżyłem w życiu  
 I tak bezpiecznych i takich spokojnych,  
 Jakie Bóg raczył dać mi w tem ukryciu  
 I w tej Wielowsi progach bogobojnych.“

To też gdy hetman chciał folgę dać sobie  
 W leciech późniejszych, to tu zwykle wpadnie,  
 Aby podumać na swych przodków grobie  
 I wszystko zdało się w Wielowsi ładnie,

W tym starym dworze i pod cieniem lipy;  
Bo tu Sandomierz, tu się Wisła toczy —  
I zadumany, lubił puszczać oczy  
Z wodą za biegiem tej rybackiej krypy.

A kiedy folga bywała mu dana,  
To albo czytał zwykle księgi z rana,  
Albo kroniki czasu swego pisał  
I tak w tej ciszy ducha ukołysał,  
Iż bolał sercem i mówił to zawdy,  
Ze mu żal rzucać ściany modrzewiowe,  
Bo tak spokojną ma w Wielowski głowę,  
Iż tu mu świecą całe Boże prawdy.

Gdym na lamusie ugościł przeora,  
Tedyśmy poszli do starego dwora:  
Więc i obejrzał dom wielkich pamiątek,  
Nie leniąc zajrzeć i w najmniejszy kątek,  
A gdyśmy weszli do izby stołowej,  
Rzekł mi ksiądz przeor:

„Wedle mego zdania,  
Tu takiej izby stołowej nie trzeba:  
Znałem myśl pani, a cóż będzie wdowy?  
Pani nie złamie tutaj z wami chleba,  
Pani nie siądzie tutaj, bo to służka,  
Dobrze jeżeli uje co z garnuszka,  
Więc tu kaplicę zrobim bez czekania.“

I gdy wielbłądy zwolniono ciężarne,  
To się znalazły rzeczy bardzo zdarne:  
Bo był i ołtarz misternej roboty,  
Była monstrancya i relikwiarz złoty,  
Ba i makaty złotem przetykane,  
Któreśmy zaraz rozpięli na ścianę,



Więc wizerunek i Zofii patronki,  
Z trzema córami na niebieskim dworze,  
Jako je bierze w niebieskie obsłonki,  
Gdy od męczeństwa obronić nie może.  
Bo pani było Zofia i jej matce.

Więc wizerunek i Jana Chrzciciela,  
Jako przed Panem w puszczy stoi gładcō,  
A hen na obu patrzy rzeszy wiela,  
Bo panu było tutaj i przed Bogiem:  
Jan, otóż ścieżki prosił on przed Panem,  
A i chrzcicielem bywał on przed wrogiem,  
Bo w Ziemi Świętej tak mu było danem.

Więc wizerunek Krzysztofa świętego,  
Boć ojcu Krzysztof bywało na imię,  
Jako przez wody niesie mizernego,  
A gdy się w końcu obejrzy co imię?  
Patrzy i struchlał, bo to Pan Zbawiciel  
I wszego rodu wielki Odkupiciel.

Więc był tam także i obraz ex voto  
Bardzo misterną a własną robotą,  
Gdzie hetman klęczał przed Pańskim obliczem  
W stroju pielgrzyma z kosturem pątniczym,  
A żona, dzieci, ludzie wszego stanu  
W wielką go łaskę zalecali Panu.

Gdyśmy kaplicę ubrali przystojnie,  
Rzekł mi ksiądz przeor: „Dobrze w tym kąciku!  
A gdy pobożnie, niech tóż będzie strojnie:  
Zbuduj wieżyczkę na tym narożniku,  
A jak za Wisłą na jutrznie zadzwonim,  
To niech wasz dzwonek odzywa się po nim.  
I słuchaj bracie! Pani w wielkim dworze  
Nie zechce sama siedzieć po niesporze:

Rozpisze listy, a ty z strony twojej  
Powiedz to szlachcie, że pani pobożna  
I że jej samej ostawić nie można.  
Wszak na sierotach świat ten pono stoi,  
To się tu najdą wdowy i sieroty,  
A wiele będzie radości, ochoty.  
Żeśmy o pani tu radzili szczerze,  
I nędza swoje, Bóg swoje odbierze.“

Jako ksiądz przeor obmyślał i radził,  
Tak też jam czynił, wzięwszy rządy krótko:  
Więc i starostwom obsiał i obsadził  
I z wiosną stanął cały dwór bielutko  
I ochędożnie z nowa ogarnięty  
I opatrzony w zapasy i sprzęty,  
Jakoż począwszy od wina i chleba,  
Aż do kadzidła i grosza bitego,  
Wc dworze onym nie brakło niczego,  
I czekać było tylko łaski Nieba.

*Anno Domini 1562, die 23 Junii.*

Przybył dwór cały pani hetmanowój,  
Powitać panią w Wielowiejskim dworze,  
Bo już wiadzano, że się pani zbliża  
I lada chwila zjedzie z Sandomierza.  
Więc pan Wojnicki był także gotowy  
I czekał z panią po nad brzegiem Wisły.

Strojne namioty na łądzie zawisły,  
Gdzie przybić miały do brzegu gałary,  
Gromady stały, niosąc pani dary,  
A i ksiądz proboszcz ze święconą wodą.  
Niebo świeciło czerwcową porośda

A z sukna było po drodze zasłanie,  
Kędy iść miała wdowa na mieszkanie.

Już się skończyła żałoba po panu,  
Więc każdy strojny, według swego stanu  
Czekał od rana, i co chwila w biegu  
W łodzi posłaniec odbije od brzegu  
I słyhać było sandomierskie dzwony,  
A żaden poseł nie wracał z za Wisły.

I pan Wojnicki począł się już dziwić,  
I ludzi kazał na brzegu pożywić,  
I miał już siadać w tę łódź ustrojoną,  
Gdy w Sandomierzu znowu uderzono  
We wszystkie dzwony i galary błysły.

Dobra przeprawa trwała jakoś krótko,  
Wdzięcznie ją brała Wisła na swe barki,  
Patrzym, gdzie pani? aż szatę bielutką  
Dominikańskiej przybrała Tercyarkil

Gdy pan Wojnicki ujrzał rodzicielkę  
Wśród białej księży, w zakonnem ubraniu,  
Upadł jej do nóg przy tem powitanu  
I zadziwienie było ludzi wielkie:  
Nikt nie pomyślał, nikt się nie nadziewał,  
Że to tak będzie, że panią zakonną  
Powitać przyjdzie.

Ksiądz proboszcz podał jej wodę święconą,  
Chlebem i solą witały gromady,  
We wszystkie dzwony we wsi uderzono  
I już iść było tylko za jej ślady.

Lecz pani jeszcze przed namiotem stała,  
Pełna miłości i łaski i wdzięku,  
Dzierżąc relikwiarz i kostur w swem ręku  
I chleb powszedni dać sobie kazała,  
A łamiąc wiernie obdzielała chleby:  
„Niech was od ciężkiej Bóg chowa potrzeby“.  
A już relikwiarz dając, rzekła wdowa:  
„Niech was Pan w łasce, jak swe sługi chowa!“

I lud się cisnął do ucałowania  
I pocziwego było tam szlochania...

Gdy na mnie przyszło, patrzę, Jezu Chryste!  
Ta to relikwiarz nieboszczyka pana?  
Com ja go stroił w te fijołki czyste,  
Com go podawał pani co dzień zrana?  
Tom się i zalał łzami nad nim rzewnie,  
A pani na to rzekła mi wesoło:  
„Pan się tam za nas w niebie modli pewnie!  
„Łzy nie przystały, w niebo, w niebo czoło!“

Proboszcz zaśpiewał pieśni wielkim chórem,  
Pani skinęła na kościół kosturem  
I nie stąpiła po tem suknie nogą,  
Aleśmy poszli do kościoła drogą.

Tutaj ksiądz proboszcz odprawił nieszpory  
I kolatorkę witał po raz wtóry,  
Bardzo świętymi i czułymi słowy:  
Najprzód w imieniu nieboszczyka pana  
I poczcil pamięć wielkiego hetmana:  
Potem w imieniu syna i synowej,  
Potem dziękował za to od gromady,  
Ze to ustronie opatrzeć raczyła  
I zasiąść z ludem między temi sady,  
Zkąd będzie dobra dla prostoty siła.

A kiedy poczył, pocieszył, pouczył,  
To białej księży w końcu ją poruczył,  
Widząc w tem jawną z i Pańską rękę,  
Że białą pani przeznaczył sukienkę.

Gdy pan Wojnicki panią już osadził,  
Jam po odjeździe pana wreszcie radził:  
Cały dwór pani puszczone do domu,  
Ale ztąd krzywdy nie było nikomu,  
Bo brali gracye i po dworkach siedli  
I chwaląc Boga łaskawy chleb jedli.  
Natomiast weszły same białogłowy,  
Biedne sieroty i pobożne wdowy,  
Służyły pani w zakonnym habitku:  
I dwór klasztorem, bez blasku i zbytku,  
Byleby tylko, byle biednych wiele,  
To było iście jak w niebie wesele!

Kiedy kto z panów lub księży zawita,  
To tylko o mnie i o lamus pyta?  
I takie było tam moje włodarstwo,  
Żem, niby przeor, trzymał gospodarstwo;  
Jedno że przeor bywał bez tonzury,  
Jak w tym zakonie nie było klauzury...

---

Długie bywały jesienne wieczory:  
Za zwierzem biegłem w nadwiślańskie bory,  
A kiedy nie raz wracam o wieczorze,  
Jeszcze się świecą okna w całym dworze,  
Sierotki drobno coś tam w krośnach dzióbią,  
Wdowy skubanki dla szpitalów skubią,

I pani siedzi i dryluje złoto  
I w ciszy płynie wieczór nad robotą...

Wdowy przy pani, sierotki po stronie,  
W wielkim kominie wiecznie kłoda płonie  
I jasno gore „Różańcowa świeca“,  
A ile razy gałka z niej odpadnie,  
Idzie z kolei nowa tajemnica  
W służbie zakonnej świętego Różańca;  
Więc i na stronę robota się kładzie  
I tajemnicę głosi sama pani  
I każdy wieczór idzie Bogu w dani;  
A gdy ostatnia odpali się gałka,  
To już Różaniec i wieczór skończony,  
I z obowiązku donoszę marszałka,  
Że w całym dworze ogień wygaszony.

Gdy po rozkazy wstąpię do komnaty,  
Pyta mnie pani o sprawę i łowy?  
Jakby zabawy, korzyści, lub straty  
Zajmować mogły jeszcze serce wdowy?  
A więc czas jakiś o potocznych sprawach  
Mówi, bywało, i świeckich zabawach,  
Ale że w sercu wiecznie boli rana,  
A więc wracamy zwolna do hetmana  
I starsze dzieje płyną z wielkim statkiem,  
Których nie byłem już naocznym świadkiem.

O tej hetmańskiej szczęśliwej młodości  
Mawiała nieraz pani mi w miłości.  
Jak o niej prawił hetman sercem czułem  
I o tym dworze, gdzie był dyscypułem

Był z krwie Jagiełłów książę wielkomożny  
Kardynał Frydryk a biskup krakowski,  
Krewki za młodu i lekki i zdrożny,  
Lecz wielkiej w radzie i w Koronie troski:  
Dwóch starszych braci osadził na tronie,  
Choć bez Korony, sam rządził w Koronie,  
Sprawy kościoła i ojczyzny miał,  
Jagiełłów w Polsce, Litwę Polsce wstrzymał;  
Choć krew błdziła, wola była święta.  
Otóż ów Frydryk kiedy gospodarzył,  
Przyszłość ojczyzny już najwyżej ważył,  
Więc na swym dworze chował też panięta  
W dobrej nadziei i ku dobrej wróżbie,  
I ku kościoła i ojczyzny służbie;  
Ale sam młody, miał jeszcze mentora,  
Tam to Konarski był za preceptora,  
A i Tomicki.

Hetman był sierotą  
Odumarał ojciec, zachorzała matka,  
A choć zostało i imię i złoto,  
Nie było komu być dziecku za świadka.  
Otóż kardynał zabrał go do siebie  
I na opiece był, na jego chlebie;  
A ów Konarski i Tomicki ćwiczył,  
By wszystkie cnoty naddziadów dziedziczył.  
Chowali tam się z hetmanem Pampowscy,  
Więc i Górkowie, Ruseccy, Czarnkowscy  
I Szamotulscy i z Kościelca syny  
I Jazłowieccy aż z Russkiej krainy,  
I Opalińscy, Chlewieccy i wielu  
Innych tam rosło w poczciwem weselu,  
Niby to grona w tej winnicy Pańskiej  
Do służby Bożej i służby hetmańskiej

Był ksiądz Tomicki groźny i surowy,  
Uczył bojaźni Bożej, uczył pracy,  
Przodował cnotą i siał posiew zdrowy,  
Więc namaszczeni równie jak junacy  
Poszli mu ręką, i kto się tam chował,  
Ten pewno prawdy Bożej nie wykrzywił,  
Lecz jak Bóg kazał, budował, wojował,  
Trzymał i karmił, podnosił i żywił,  
A dla mentora taką cześć zachował,  
Jaka po Bogu rodzicom należy,  
Bo wielką miarą wielki mentor mierzy.

Dobrze już dzieckiem pan sobie poczynął:  
Pięć lat był skończył gdy go wziął kardynał,  
Więc prosto prawie od matki piastunki  
Na dwór go wzięto do służby i księgi  
I już chłopięciem łamał się z rysztunki  
I czynił konią w onej szkole tęgiej.  
Toć w ósmym roku mówił po łacinie,  
A gdy Tomicki bardzo go miłował  
I tych mądrości otworzył mu skrzynię,  
W piętnastym roku już się posługował  
Poręcznym uczniem, i listy mu dawał  
Pisać do króla i do senatorów.  
Jakoż za śladem onych wielkich wzorów  
Już młodzieniaszek w tej ojczyźnie stawał,  
Jako nie zawdy stać mogą mężowie;  
Tak mu już widno czyniło się w głowie,  
Taki był sercem i słowem potężny  
I nad te lata rycerski i mężny.

W Konarskim duszy zagorzała świeca,  
Bo gdy po zejściu przybył królewica  
Kazimierza z Litwy, i o świętym zgonie  
Jął tej młodzieży powiadać w Koronie,



To apostołskie było to kazanie.  
I mawiał hetman, że na to wołanie  
I w jego sercu odmiana się stanie,  
Bo od tej chwili znał drogę żywota  
I kędy wiedzie świętych Pańskich cnota.  
Jakoż w modlitwie zawdy z nimi bywał  
I królewica hymn do śmierci śpiewał:

„Omni die  
Dic Mariae“.

Młodo postradał hetman rodzicielkę,  
A pochowawszy ją bardzo pocziwie,  
Do cudzych krajów sprawił się chętnie  
I było wszystkich zadziwienie wielkie,  
Gdy z gronem bardzo dobranych rycerzy,  
Do Zbawiciela grobu prosto mierzy:  
I od Golgoty począł drogi swoje,  
Co inni czynią, kiedy się już znużą  
I na samotne odchodzą spokoje.  
Więc nie powszednio wszyscy z tego wróżą  
I już początków cała Polska strzegła,  
A cóż dopiero, gdy się wieść rozbiegła,  
O co to rycerz Pana Boga prosił,  
Gdy Zbawiciela łzami grób urosił?  
„Przez Twoje Panie! tylko walczyć pragnę;  
I wszystek żywot pod Twój zakon nagnę,  
Ale co w służbie Twojej niech nie śliznie,  
I daj przezemnie zwycięstwo ojezyźnie!“

Od tych to czasów był Maruszka z panem  
I dziwnym trafem zetknął Pan Bóg obu:  
Gdy pan z Tarnowa do Bożego grobu  
Po Mszy wyruszył z tym pocztem wybranym,  
Spotkał na Rusi samotrzeć rycerza  
I popatrzyli sobie długo w oczy  
I młody z młodym, z ochoczym ochoczy,  
Nie rzekłszy słowa duchem się sprzymierza:

„Ktoś ty jest bracie?”

pan hetman go pyta.  
— „Jam jest Maruszka Zaleski“

powiada.  
— „Jam pan z Tarnowa“

hetman wzajem wita  
Na to Maruszka:

„Nie lada! Nie lada“  
„A gdzie wam droga?“

To i hetman na to:  
„Jedziem do grobu Pana Zbawiciela.“  
Więc pan Maruszka:

„Na to jak na lato  
I jadę z wami niemówiący wiele,  
Bom ci jest z rodu człowiek ukraienny  
I nie chcę siedzieć za piecem nieczynny.“

Jakoż obadwa już od pierwszej chwili  
Tak się i okiem i sercem złożyli,  
Że całe życie przebyli już razem,  
O jednej myśli sercem i żelazem,

Przy Bożym grobie próbowali ducha,  
I pan Maruszka ocenił w modliwie  
Serce hetmana, więc go odtąd słucha,  
Jako starszego i w radzie i w bitwie;  
A chociaż z rodu był nie unoszony  
To dobrej woli sam się trzymał karnie  
I do karności tak tam wszystko garnie,  
Że całe życie kłamał krwi szalonej.  
To też pan hetman nieraz mawiał pani,  
Iż gdy to serce zniewolił dla siebie,  
To znał, że godnie także pohetmani  
I że sie wrogom odetnie w potrzebie.

Jakoż chodzili do końca żywota  
Bez folgi z sobą obadwa „o lepsze“  
I gdy ten poprze, ów zawdy odeprze,  
Bo krew straszliwa i zuchwała cnota  
Grzała obudwu, jakoż i Bóg obu  
Trzymał na próbie i ważył do grobu;  
Lecz oni tylko oba o tem znali,  
Że sprawa cięta jako ostrze stali!  
Ale nikt więcej nie śmiał wiedzieć o tem,  
Choć jeden trzymał tę wielką buławę,  
A drugi w kuźni bił zuchwale młotem,  
Jaką tam mieli między sobą sprawę?

Od Ziemi Świętej poszło pasowanie;  
I kiedy morze przebrnęli okręty,  
I gdy z rycerstwem hetman w Rzymie stanie,  
W łasce pielgrzymów witał Ojciec Święty:  
„W czas przybywają mi tacy rycerze,  
Bom przeciw Maurom ogłosił krucyatę!“  
Tedy Maruszka pierwszy słowo bierze:  
„Błogosławieństwa prosim u stolicy.  
A jak synowie tej polskiej rodziny  
Pójdziem w te boje na Maurów ztratę.“

I ukłękneli i pobłogosławił  
Im Ojciec Święty i pan mówił zawdy,  
Że nikt o wojnie nie myślał doprawdy,  
Lecz że Maruszka to sam tylko sprawił,  
Iż na tę wojnę iść już wypadało  
Kędy się hetman okrył taką chwałą.

Był Emanuel królem onej ziemi,  
I kiedy Maurów zwyciężył w swem państwie,  
To pragnął pana wstrzymać na hetmaństwie,  
Ale gdy nie mógł z darami wielkimi.

Więc i z listami do Rzymu przeprawił,  
I przez lat kilka pomiędzy narody,  
Zwiedzając dwory, hetman jeszcze bawił,  
Aż w końcu wrócił do ojców zagrody.  
Listy Papieża Królowi zlecony,  
I od cesarza i królów poczczony.

---

Już to pan hetman siadł na ojcowiznie,  
Kiedy Tomicki urósł był wysoko  
I jako biskup krakowski w ojczyźnie  
I pieczęć trzymał i władał szeroko.  
Na wiernej służbie tak się biskup zrobił,  
Że się bez mała był już grobu dobił:  
Otóż lekarze kiedy stali radzić,  
Kazali pana na puszczy posadzić,  
Aby odetchnął i ciszą i dziczą  
I oną leśną majową słodyczą;

Usłyszał hetman, że ksiądz biskup chory,  
A że po ojcach pierwsze preceptory,  
Więc za biskupem jechał w ciemne bory:  
Jedzie i błądzi, aż tu z puszczy ciemnej  
Ozwał się nagle jakiś śpiew przyjemny,  
Pieśni pobożne, a głosy dziecinne,  
Dziwi się, patrzy, a co się to święci?  
A tu chłopięta śpiewają niewinne  
I idą puszczą rączkami śpięci..

„Bóg z wami dziatki! a gdzie wam to droga“  
— „Idziem do księdza biskupa naszego!“  
— „A czy to w puszczy nie spotka was trwoga?“  
— „Bogu śpiewając nie strachamy złego.“

Wysiadł pan hetman i począł się radzić  
I do biskupa kazał się prowadzić  
Drogę pachołki znaczyli po drzewach,  
A już przebytą liczyli po śpiewach:

„Jeszcze malutko a najdzie się pan  
I da nam chleba i naleje dzban!“

Jakoż nie długo hetman z niemi chodzi,  
Aż tu wśród puszczy na wyniosłej kępie  
Stoją namioty rozpięte w ostępie,  
A przy ognisku biskup dziatwę wodzi...  
Jeszcze kęs było, a pachołki w pędy!  
„A ty nasz ojcze, a ty panie święty!“,  
Do rąk i do nóg, tędy i owędy,  
I ksiądz się witał mile z pachołętą.

Hetman się wstrzymał o czasu nie wiele,  
Bo go zcieszyło leśne gospodarstwo  
I to biskupie maluczkie włódarstwo  
I to pocziwe prostoty wesele!  
Ale chłopięta zeznały w kolana,  
Że wiodą gościa do swojego pana,  
Więc wesół wyszedł biskup na spotkanie  
I wdzięczne było obu powitanie.

„Vox clamantis in deserto“  
Rzekł pan hetman „nie daremna!“  
A ksiądz biskup rzekł mu skromnie:  
— „Leśna cisza jest przyjemna,  
A maluczkie puścicie do mnie!“

Z serca się biskup cieszył gościem w puszczy  
I stypy czynił dla malutkiej tłuszczy,  
A jako biskup wielkiego przymierza,  
Śpiewał z nią pieśni i uczył pacierza.

I hetman mawiał o onej gościnie,  
Ze mu tak tydzień na puszczy ubieżał,  
Jakby pod sercem własnej matki leżał,  
A sam Bóg łaski otworzył mu skrzynię!

Dobry był żywot, lecz i dobry koniec  
Tego biskupa: gdy się już spracował,  
Gdy zdatne ludzkie ojczyźnie odchowwał,  
A do drzwi śmierci zakolatał goniec,  
Nic się nie lękał i nic się nie trwożył,  
Lecz jak stał w Bogu, w Panu się położył.  
Nie dawał nigdy poznawać niemocy,  
Choć bliski końca, zdrowo światu czynił,  
Choć już nie jadał nie sypiał po nocy,  
Tak w radzie pańskiej jeszcze gospodynił,  
Iż nie znać było u pańskiego tronu,  
Ze już był w grobie jeden z pieczętarzy,  
A drugi zwolna do grobu się waży,  
Póki nie poszła ta wieść jego zgonu.

Troistą młodzież chował na opiece,  
A gdy czas przyszedł na wieczyste wiece,  
Wezwał najsamprzód ubogie pupile,  
Co się chowali przy zamkowej szkole  
I mówił z niemi i długo i mile  
I swym doradcom polecał ich dole.  
A dnia drugiego przed sobą postawił  
Razem z rektorem młodzież szkoły głównej  
I Almie Mater długo błogosławił,  
Dzieląc z ojczyzną ją w miłości równej.  
A dnia trzeciego przywołał panięta,  
Co się chowali na biskupim stole  
Z synowcy jego i rzekł: „Zdaję rolę,  
Kościół to matka, a ojczyzna święta!“

I gdy odeszli, przystąpił do łoża  
Stanisław Borek, dziekan kapituły  
I o zbawienie duszy bardzo czuły,  
Rzekł: „Niech się spełni na nas łaska Boża,  
Księżę pasterzu! ostatni to czas!“  
I do modlitwy przystąpili wraz.  
A kiedy mówiąc: „Ojczy w ręce Twoje  
Oddaję ducha:“ Biskup w pierś się bił,  
To się przeciągnął na wieczne pokoje,  
Westchnął głęboko i już też nie żył.

---

*Anno Domini 1562.*

## POWÓDŹ.

---

Wielkie posuchy z wiosny uderzyły,  
A o powodzi pletli bobrownicy,  
Bo kaczki gniazda po drzewach złożyły,  
A w Ponadwiślu, w całej okolicy  
Już się zjawily i morskie rybitwy  
I białozory przyleciały z Litwy;  
A gdy to doszło pani hetmanowej,  
Zwołała ze wsi wszystkie białogłowy,  
A przewidując czas wielkiej potrzeby  
I piec kazała i przysuszać chleby;  
A z starościńskich każdy podstarości,  
Zwoził i składał na spichrze żywności  
Których trzy było na wysokim brzegu,  
Kędy flis skutę ładował do biegu.

W chmurach straszliwych stały długo Tatry.  
Po długiej suszy pociągnęły wiatry

I niebo w końcu młodzić się poczyną,  
A w dymach leży jak we mgie dziedzina;  
Deszcz się opuścił, ale w górach wprzódy  
Znać naremnice na dni kilka padły,  
Bo jednej nocy tak przybyło wody,  
Że na wysokim łądzie krypy siadły.  
Tedy na rozkaz pani hetmanowej,  
Z drobniejszą dziatwą biegły białogłowy,  
A bydło gnano w wysokie ostępy;  
Ale pod wieczór idą w zatop kępy,  
A pani w koło siebie ludzi zbiera  
I przez noc całą przez okno wyziera.  
Gdy się dzień zrobił, woda a niebiosy  
I o ratunek wołające głosy!  
A Wisła szumi i jeszcze się pieni...  
Wtedy wybiegła z wielkim żalem pani,  
A jako wierna ludu swego ksieni,  
Dać sobie galar kazala z przystani  
I relikwiarzem przeżegnawszy wody,  
Rzekła do ludzi: „Kto bliźnim ohotnie  
Podaje rękę, ten ujdzie przygody  
I nigdy jeszcze nie skończył smrotnic!“

Ludzie się ciężkiej lękali potrzeby,  
Lecz pani rzekła: „Drabiny i chleby  
Dać tu na galar i liny i haki!“  
I odbił galar, a ja też szlaki,  
Na lekkiej krypie ruszyłem w zawody  
I chwilkę później uniosłem się wprzódy,  
Że już przedemną tylko morskie ptaki.  
Z wierzb i z jabrzędzi zbieraliśmy ludzie  
Z brogów i z dachów i nikt nam nie zginął  
I Bóg nas krzepił w tym pocziwym trudzie;  
Bo ile razy galar znów zawinał  
Do dworskiej bramy z ludźmi i bydłety,



Patrzyłem, aż klęczą wszyscy wśród topieli,  
Modląc się za nas, jak gdyby Anieli...

Trzy dni i nocy trwała ta robota,  
Lecz dnia drugiego jam nie puścił pani,  
Lecz sam zwoziłem ludzi do przystani,  
Co widząc wielka była jej ochota:  
I gdy już Wisła po lądy opadła,  
A pani znowu bezpiecznie usiadła,  
Rzekła z dobrocią i bardzo łaskawie:  
„Wiem, że rycerza mało co weseli,  
Kiedy mu przyjdzie bywać przy kądzeli,  
I że się przykszy tu na wdowim dworze;  
Lecz wiem, że pana byłoby to zdanie,  
Gdyśmy przybyli na ratunek w porze,  
Że taka sprawa za potrzebę stanie,  
A i na chwałę ma być rycerzowi,  
Że dał ratunek w potrzebie kmieciowi“.

Po czem wyraźnie do przytomnych rzekła,  
Zdejmując pierścień z klepsydrą z swej ręki:  
„Jeśliby prędeż ona mnie dociekła,  
To ją zachowasz w znak mojej podzięk.  
A wiedzieć o tem mają wszyscy w domu,  
Że jej innemu nie daję nikomu“.

Tak to zdobyłem klejnot mego pana.  
Gdyby go złożył kto w tatarskim szańcu  
I rzekł: „Weź szaniec, a będzie ci dana  
Klepsydra pańska“ — to w takim tańcu  
Nie trudno było biedz ku tej nagrodzie;  
A cóż bliźniego ratować w przygodzie?  
I w łasce Bożej zwracać do przystani  
Za świętym śladem mojej świętej pani!

*Tegoż roku po Świątym Bartłomieju.*

Siedziałem sobie na lamusie rano,  
Kiedy od bramy zmagła znać mi dano,  
Że jacyś goście przybyli zdaleka;  
„A kiedy goście, to niech gość nie czeka” —  
Mówilem sobie i biegnę do bramy;  
Aż tu posłowie od futer i lamy  
Przybyli z listy Anny Jagiellonki,  
A więc ich witam i proszę pocziwie.

Dwór Wielowiejski prawie do koronki  
Ściągał się wówczas, więc wiedłem życzliwie  
Przybyłych gości na kłęznik gościny.  
Duch hetmanowej był w modlitwie czynny,  
Gości spostrzegła aż już po koronce,  
A gdym przełożył, że się podobało  
Najmiłościwszej Annie Jagiellonce  
Obesłać panią naszą swemi listy,  
Widzę, pociechą oko zajaśniało  
I w duszę promień padł po ziemsku czysty.

„Cóż to za łaska, co za wzgląd królewnej,  
Że taka pamięć dla sieroty rzewnej?”  
Na to posłowie wymownemi słowy  
Mieli rzecz wdzięczną od pani do pani,  
Złożyli listy i szkatułkę w dani  
I po odprawie szli ze mną w gospodę,  
Więc, jak był zwyczaj, na lamus ich wiodę.

Dom Jagiellonów był Tarnowskim wdzięczny  
I dwóm ostatnim był hetman poręczny;  
Więc gdy tam córka, tu została wdowa,  
W sercach samotnych tak się miłość chowa

Jednej dla drugiej, że chociaż z daleka  
Żyły od siebie, wiedziały o sobie  
I czego trzeba i coby na dobre?  
Więc gdy królownę doszły one wieści,  
Że wielka powódź zalała te strony,  
Pełna czułości i troski niewieściej,  
I trwogę pani i przygodę dzieli  
I karawakę słała z Kompostelli  
I loretański dzwonek na obrony  
Od chmur szkodliwych, nawalnic i gradu,  
I zalecała jej modlitwie siebie  
I wszystką polską koronę w potrzebie.  
Wdzięcznie przyjęła ów dar wdowa rzewna,  
A gdy się bardzo żaliła królowna,  
Że upominku nie ma po hetmanie,  
Prócz tej pamięci, którą w sercu chowa,  
Jerozolimski słała jej różaniec,  
Co go pan hetman przywiózł z Ziemi Świętej,  
Prosząc, by bywał na potrzeby wzięty,  
Gdyby na Polskę napadał pohaniec;  
Bo całe życie ten różaniec nosił  
Pan jej nieboszczyk za potrzeby wszelkiej  
I taką łaskę był sobie uprosił,  
Że mu zwycięstwo dawał Pan Bóg wielki;  
Otóż niech króla ten różaniec strzeże,  
Jak go Bóg ojców prowadzi w swej wierze.

Takie to było od pani pisanie  
I czułe było posłów pożegnanie  
I bardzo rzewne z różańcem rozstanie:  
Do ust podany obeszedeł koleją      m  
I odprawieni posłowie z nadzieją;      ..  
I wielka radość na królewskim dworze,  
Że stary hetman i z grobu pomoże;

Jakoż po śmierci Zygmunta młodszego  
Przeszedł różaniec ów na Batorego,  
A ile razy król jechał do wojny,  
Bywał w kord z ducha i w różaniec zbrojny.

*Anno Domini 1563.*

Późna już była a jesienna pora,  
Gdy przybył rybak z Sandomierza rano  
I wielkich gości nam zapowiedziano  
Na wdowim dworze, bo księdza Melchiora,  
A więc się rwało serce do mentora,  
Co moją młodość szczęśliwie prowadził,  
A dziś w zakonie jak prowincyał radził,  
W konwencie płockim godnie wyniesiony.  
Przybycie jego zwiastowały dzwony,  
A że w Wielowski cały dwór się chował  
W kaznodziejskiego zakonu regule,<sup>¶</sup>  
Że ojciec Melchior hetmana miłował,  
Więc też i wdowa witała go czule;  
A chociaż bywał żywotem surowy,  
Miłością gorzał w gorliwości Pańskiej;  
Więc gdy zobaczył zakonny dwór wdowy  
W tej białej szacie i woni kapłańskiej...

„Słyszałem—rzecze—że tu konwent nowy  
Wychwała Pana wielmożnemi słowy,  
A co mówiono, znajduję i czytam,  
Więc sługi Boże w Panu moim witam  
I widzę jasno, że Pan z wami bywa  
I jakie łaski na swój naród zlewa!“

Gdyśmy do dworu wrócili od brzegu,  
Białe tercyarki stanęły w szeregu,

A pani rzekła: „Dla mnie czas do dzwonka,  
Bo w służbie pańskiej nadchodzi koronka.“  
Na to rzekł Ojciec: „Z prawem i do prawa,  
A wielka Panu bądź w Niebiesiech sława!“

Nazajutrz rzekł mi: „Gdzie znak łaski  
[Pańskiej

Jaki widocznie baczę na tym dworze,  
Tam też potrzeba i ręki kapłańskiej,  
Więc dłużej z wami zabawie tu może.“  
Otóż z kolei cały dwór spowiadał  
I tak się dziwnie nowy konwent nadał,  
Iż rzekł: „Tu niema z czego i rozgrzeszyć,  
To przedsień Pańska, tu się chyba cieszyć.“

W lamusie stanął i co mi się działo,  
Żem żył znów przy nim i rósł w niebo cało!

Długie jesienią bywają wieczory,  
Śierotki w krośnach wyszywały wzory,  
Czeladka przędła i ogień się palił;  
Czasem znów pieśnią Pana chór pochwalił,  
Albo nauką ksiądz Melchior zasilił.

Raz rzekła pani: „Przykro mi, mój Boże!  
Że się tu nudzi Ojciec z nami może,  
Ale mam księgę co może zabawi,  
Bo nas pospołu w lepszy czas przeprawi.“  
I tu wyniosła księgę z swojej celi!  
Cóż mi się działo: O święci Anieli!  
W piersiach mi serce uderzyło żywo,  
Boć była książka nieboszczyka pana,  
Co w niej pisywał od lat wielu z rana;  
Księga hetmańska a spięcia z Leliwą!

Dodatek do „Kur. Codz.“—Pacholę Hetmańskie. 12

„Znasz ją zapewne“ rzekła do mnie pani,  
A jam łyzy otarł, a ona mi na to,  
„Co drogie sercu, niech to choć nie rani,  
„W tej księdze stoi czem darzyło lato,  
„A w przypowieści człoku pono stoi,  
„Że krowę latem, aż już zimą doi  
„Tylko komorę, więc co w tej komorze  
„Znaleźć się mogło, to się przyda może.“

Z wielką czią Ojciec rozwarł księgę  
[pańską]

Pisaną niby buławą hetmańską.  
Najprzód sam tylko i powoli czytał  
I często oczy odrywał do nieba,  
Jakby się radził, jakby o coś pytał;  
Potem rzekł z cicha: „Potrzeba, potrzeba  
Jedna za drugą, a czysto i gładko,  
A z wszystkich pan go dźwiga swoją ręką,  
A wszędy dzielny, a nigdzie nie miętkko,  
A wszędy kościół i ojczyzna matką!  
A więc słuchajcie co dano w puściźnie:  
To gesta Dei, w tej Polskiej Ojczyźnie.“

Tu począł czytać, i ono czytanie  
Kronik hetmańskich poszło od tej pory.  
Chciwiem brał sercem każde owo zdanie  
I co raz krótsze zdaly się wieczory;  
Jakom był przywykł za żywota pana,  
Żem zapisywał co się ważnem zdało,  
Tak też z tych czasów z kroniki hetmana  
Po każdej lekcyi spisywałem cało;  
Często i pani dodała tam swoje  
I ojcie Melchior coś swego dokładał,  
I to, co z młodu Maruszka powiadał,  
Co chodził z panem na te wszystkie boje,

Wszystkom to zebrał i w miłości wyssał  
 I w wiernej służbie w ten diariusz wpisał.  
 Co pan Mielecki mawiał o hetmanie,  
 Takżem nie zabył, bo jako pacholę,  
 Choć w domu pańskim blahe miałem zdanie  
 O tem, co działo się w rycerskiem kole,  
 Lecz pan Mielecki wyrósł w onej szkole,  
 Siostrzan hetmański, serce alter-ego,  
 I wielki świadek procederu wszego;  
 Więc po tej księdze szedłem jego zdaniem  
 I wiernem wszego rycerstwa kochaniem,  
 Któremu przodek ta buława trzyma,  
 Jakiej już czasu dzisiejszego nie ma.

*Tradycje Sandomierskie.*

Gdy się skończyło ksiąg pańskich czytanie,  
 Rzekł ojciec Melchior: „Koniec księgi, szkoda  
 Że niema więcej, ale jeszcze stanie  
 Dla duszy tego, co Sandomierz poda  
 I niechaj się tu na początku święci  
 Błogosławionej mąż u nas pamięci,  
 Jacek Odrowąż, syn świętego gniazda,  
 Uczeń wielkiego niegdyś Dominika,  
 Który w ojczyźnie świecił jako gwiazda  
 I ognistego dobywszy języka,  
 Pierwszy przeorzył w Starym Sandomierzu  
 I w łasce nieba z świętymi w przymierzu  
 Wdział biały habit na babkę i matkę,  
 Ba i na siostrę, i jak wielka kwoka  
 Swojego rodu w niebo wiódł czeladkę,  
 A dzisiaj na nas spogląda z wysoko!  
 Świętaż bo była to rodzina, święta!  
 I z pokolenia Boże to panięta

Ci Odrowąże, co szli w pokoleniu,  
Siadłszy na Sprowie i w Wielkim Kamieniu;  
Bo naprzód wyszli pocztem z tego domu  
Dzielne rycerze, wielkie fundatory  
Pierwszych zakonów, korcząc wielkie bory  
I lud przywodząc do wiary i sromu;  
I tylko stary dom onych Gryfitów  
Równy im bywał pod względem zaszczytów  
Po krajnej ziemi, jakoż kiedy pole  
Szereg rycerzy oczyścił w tej ziemi,  
Bóg Odrowążom dał tak świętą wolę,  
Że policzeni są między świętymi...

„I był Eustachy grabia na Kamieniu  
Świętym rodzicem Jacka i Czesława,  
I z tego domu wyszła Bronisława,  
I Iwo biskup, co w Bożem natchnieniu  
Dziatwę swej braci powiódł z Bożą chwałą;  
I zwiał się wieniec z kwiatów bardzo wonnych;  
Pełen piękności onych serc zakonnych,  
I jest złożony na ołtarzu cało!

„Święty Dominik czynił w Rzymie cuda,  
A biskup Iwo, który był krakowskim,  
Jechał do niego za przejrzeniem Boskiem  
Uprosić księży dla swojego luda.  
Jacek stryjowi służył w tej podróży,  
I gdy na niego Święty okiem rzuci,  
Jasnowidzący Iwonowi wróży.  
„Ten ci jest, który północ mi nawróci!

„Więc i po roku u świętej Sabiny  
Święty Dominik wdział na Jacka szaty,  
I gdy odprawił święte obłóczyny,  
Wyprawił Jacka w te północne światy,



By zakon jego i tę wiarę szerzył  
 I z Bogiem północ w zakonie sprzymierzył!  
 Jakoż północy Jacek apostołem,  
 I jak daleko obszedł one kraje,  
 Wszystko do Boga i wiary przystaje  
 I w tej koronie żyje dzisiaj społem  
 Pod jednym berłem, jako naród dzielny,  
 W kościele Bożym cały i weselny..

„Więc już większego nie potrzeba cudu!“  
 Mówił ksiądz Melchior świętością przejęty,  
 „I wołam na świat: Jacek, polak święty!  
 I jedna łaski dla swojego ludu.“

„Żywot mu zeszedł w pracach apostołskich:  
 Jak po siewaczu ziarno wschodzi w ziemi,  
 Tak tam kościoły za stopy świętymi  
 Rosły ku niebu po tych ziemiach polskich.

„Kiedy spoczynku zapragnęła głowa,  
 Powrócił święty Jacek do Krakowa,  
 Tedy w zakonie żyła Bronisława,  
 Jak święta ksieni w Zwierzynieckich murach,  
 I pierwsza ona to świadectwo dawa  
 Temu Jackowi w samej zejścia chwili,  
 Bo go ujrzała w jasności na chmurach,  
 Gdy go anioły w koło ostąpili,  
 Wstępującego po zorzy porannej  
 Prosto w niebiosa, jako apostoła,  
 Za tą przyczyną Przenajświętszej Panny;  
 A to widzenie wyszło od kościoła  
 Śród ciemnej nocy, kędy Jacek skończył.  
 I Bronisława wszystkie siostry zwoła  
 Na to widzenie, i gdy rankiem posły  
 Wieść o tem zejściu Jackowem przyniosły,

To na Zwierzyńcu już nie była nową,  
Bo się noszono już z chwałą Jackową,  
Et in odore stał tam sanctitatis;  
Wszakci, że sercom ludzkim nunquam satis,  
To cud się nowy zdarzył już przy trunie:  
Bo gdy Żegota rycerz z konia runie  
To i na miejscu zabił się w upadku!  
I w żalu matka zdała go Jackowi:  
„O święty Jacku, łaski wielkiej świadku!  
Powróć Ty żywot mojemu synowi!”

„I na żal wdowy cud się w miejscu stanie,  
Bo wstał Żegota na to powołanie  
I wołał naród świętością przejęty:  
„Wielki przed Bogiem Jacek polak święty!”  
Dziś jeszcze widzę oblicze mentora,  
Jako gorzało, kiedy to wyznawał,  
I świętą trwogę zakonnego dwora,  
Kiedy Jackowi to świadectwo dawał.

„Ostatnia z rodu Mazowiecka księżna  
Odrowążowi wszak była zamężna  
I poszła wdzięczna córą z tego stadła,  
Co w łasce Bożej w małżeństwo przypadła  
Jedynakowi mojego hetmana.  
Toć rosło serce tej zakonnej wdowy,  
Że łaska świętych przejdzie do synowej  
I z Odrowążów jest domowi dana...

„Znać święty Jacek w niebie to uprosił,  
By łaska Pańska była z Sandomierzem.  
Bo Bóg Sandomierz krwią męczeńską zrosił  
I sługi swoje nawiedzał przymierzem.  
Był ojciec Sadok przeorem w klasztorze,  
Który Kumany w Panonii nawrócił,

A potem prosto ku Polsce się rzucił  
 I na wyraźne już skinienie Boże  
 Jest w Sandomierzu obrany przeorem.  
 Gdy tatar wielkim wyruszył taborem  
 I pod wodzami Celbugo, Nogajem  
 Szedł żywym ogniem i pustoszył krajem,  
 Już zawichostska, ba, i świętokrzyska  
 Bracia oddała ducha w ręce Pańskie,  
 Już orda nawet Sandomierza bliska,  
 Już nawet w mieście buńczuki pogańskie.  
 Kiedy w kościele świętego Jakóba  
 W nocy na jutrznię zwykłą zadzwoniono,  
 A choć widoczna była wszystkich zguba,  
 Całe klasztorne znalazło się grono,  
 A jako zwyczaj, młodszy z nowicyuszy  
 Czytał zapowiedź świąt na dzień idący  
 I dziwna trwoga przejęła go w duszy  
 I ledwo lekcyę wyśpiewał głos drżący,  
 Bo w poczie świętych i w złotem ujęciu  
 Stoi Sandomierz, czego nie bywało,  
 I poczet braci czterdziestu dziewięciu  
 Palmy męczeńskiej otoczony chwałą!

„Wszyscy się zrazu zdziwili i zlekli  
 I przeor Sadok kazał podać księgę,  
 I bracia w powrót do chóru uklękli  
 I słów proroczą uczuli potęgę,  
 Aż ojciec Sadok przeczytał powtóre  
 Prorocze słowa i dawniej nieznane  
 W księdze świąt Pańskich złotem zapisane,  
 I rzekł do braci:

„W górę duchem, w górę!  
 To upomnienie, bracia, dla nas Boskie:  
 To miłowanie, jak było, synowskie

Wspomnijcie, bracia, na te grzechy wasze,  
Bo już ostatnie są te chwile naszeli“  
I podał księgę braciom: i ojcowie  
Widzą Sandomierz, i w złotem ujęciu  
Męczeńskiej palmy czterdziestu dziewięciu  
I pismo znikło.

„Więc Sakrament zdrowie! —

Rzekł ojciec Sadok.—Bracia, do spowiedzi,  
By godnie służyć świętej zapowiedzi“  
A kiedy ranek po jutrzni zawitał,  
Wpadli Tatarzy świtem do kościoła  
I wielka jasność świeciła od czoła  
Wiernych sług Bożych, że się aż wróg chwycił  
Za ślepie swoje, i padły ich głowy  
I w niebo wstąpił orszak purpurowy!“

---

*Tradycja annuli reginalis.*

Stary Sandomierz, jak z niebieskiej rady.  
Wjelki w kościele, a w ojczyźnie święty,  
Tak jest dokoła winnicą opięty  
I zagajony kwitnącemi sady.  
Otóż od wieków składał i dar pewien  
Z sadów i winnic dla swoich królewien,  
Kiedy je przyszło oddawać w zamęcie,  
Na zrękowiny dawać im pierścieniec,  
Bo takie było w ich małżeństwie szczęście,  
Jako jest wonny Sandomierza wieniec.

Wdzięczna to była narodu ofiara,  
Ale Łokietek, kiedy z Rzymu wrócił  
I wdział koronę i wrogów ukrócił,  
Tak po królewsku na kościół się stara,

Ze co najmilsze zdawna w Pańskim progu,  
To na ofiarę oddał z żoną Bogu,  
Bo ów pierścieniec, co Sandomierz wkładał  
Na białą rękę królowny, posażąc,  
Dał kościołowi i kapłana nadał,  
Owoce winnic i sadów go darząc.  
Kapłan ten nie ma nigdzie ziemi pewnej,  
Lecz bierze spadkiem ów pierścień królownej;  
A Łokietkowym Pan Bóg błogosławił,  
Bo ich szeroko w ojczyźnie postawił.

Przeszły w Wielowśi wieczory szczęśliwe,  
Pamiętne słowem mojego mentora,  
I osumiały serca słów tych chciwe,  
Gdy mu już przyszło wracać do klasztoru;  
Białe tercyarki stanęły w szeregu,  
Odprowadzając ojca aż do brzegu.  
A on z galaru jeszcze ku nim prawił,  
I gdy już galar odbił od przystani,  
To raz ostatni pokłonił się pani  
I wielkim krzyżem nam pobłogosławił.

Boże to lato, kiedy sierp zadzwoni  
I złotem błysną sandomierskie łany  
I każdy zagon w półkopki usłany  
Doli rolnika, niby szaniec, broni.  
Tedy rzec trzeba, że z Bogiem w przymierzu  
Stoisz na zawsze chlebu Sandomierzu!  
A cóż dopiero, kiedy z twojej wieży  
Na wielkie święto białego zakonu  
Dzwon uroczysty na święto uderzy,  
Jakby w podziękę zebranego plonu!

Święty Dominik daje pierwsze snopki,  
A święty Jacek wiezie do stodoły:  
I dzięki Bogu! po przednówku chłopki,  
A już po dworach obrzynek wesoly.

Lecz nasza święta Wielowiejska pani  
Wiodła czeladkę już na inne żniwo:  
Galary stały u cichěj przystani,  
Słonko świeciło dziwnie miłościwo,  
A proboszcz z ludem, pani z białym dworem  
Wielką processyą szła rok rocznie pieszo  
Do Sandomierza—i z pobożną rzeszą  
Była za Wisłą jeszcze przed nieszporem,

Miło to było na to puścić oczy,  
Gdy orszak Wisłą w lasce Bożej płynął,  
A gdy w zielonych łęgach się rozwinął,  
To taki pozór wdzięczny i uroczy,  
Jakby zakwitła białym makiem ziemia  
I rosła jakaś pociecha niemarna,  
Że w ziemi ojców posiał Pan te ziarna  
I że je wdzięcznie ku chwale rozplenia.

Święty Dominik, wielki dzień w zakonie,  
Więc i oktawa, a po tej oktawie  
Jest Jacek Polak czczony w tej Koronie,  
Więc dwa tygodnie w pobożnej zabawie  
Bawiła pani zwykle w Sandomierzu,  
W domu pobożnych niewiast Beguinek,  
I odnawiała w tém świętem pzymierzu  
Względów hetmańskich wdzięczny upominek.  
A gdy wróciła, owo księża biali  
Aż do Wielowśi ją odprowadzali  
I było wiele zakonněj miłości,  
Gdy Bóg we dworze zdarzył takich gości.

*Anno Domini 1564.*

### WYPRAWA DO INFLANT.

Czekały na nas już inne zabawy,  
Bo się Inflanckie kotłowały sprawy,  
Kwarciane wojsko ściągano po kraju,  
Więc się tej służby jałem po zwyczaju  
W starostwie naszém, jako człowiek dworny;  
I jakoż wkrótce stanął lud wyborny,  
Co go Sandomierz dawał z swojej kwarty,  
Dobrze odziany i rządnie przetarty,  
Bom go uzbrajał z hetmańskiej zbrojowni  
I w polu sprawił przy drzewcu i głowni,  
Więc gdy tą sprawą był gotów do pola,  
Spytałem panią, czy nie będzie wola  
Obaczyć hufiec po nad Wisły brzegiem?  
I rzekła na to pani hetmanowa:  
„Rada pocieszę duszę tym szeregiem,  
Bo wszakcim wierna po hetmanie wdowa.“  
I wyjechała w kolasie na błonie;  
Więc okazałem i ludzie i konie,  
Jako się czyni, gdy się hufiec stawi.  
I rzekła pani: „Niech Bóg błogosławi  
W obronie ziemi i w obronie krzyża.“  
I już kazała nawracać do dworu,  
Gdy jeden z szlachty ku niej się przybliża,  
I drzewiec nisko schyliwszy do ziemi  
Zatrzymał panią słowami śmiałemi:  
„Najmiłościwsza! a cóż pan Różanka  
Nie pójdzie z nami? miłościwa pani!  
Sprawę popiéra Sandomińska branka,  
Lecz gdy jój rycerz dobrze pohetmani,  
A jeszcze rycerz takowego wzoru.“

— „Rozumiem“ rzekła pani mu po chwili,  
„Niech, kiedy potrzeb, z wami razem jedzie,  
My się będziemy tu za was modlili.“  
A do mnie rzekła: „Waszmość ich powiedzie!

Wojska kwarciane zbierał hetman polny,  
Więc tam ciągnąłem i pod jego znakiem.  
Gdym w polu stanął, takim znał się wolny,  
Jakbym nie człekiem, ale był już ptakiem;  
Bo czém skorupka nawre dobrze z młodu,  
Tém tchnie na zawsze, i gdym znowu znaki  
Rycérskie ujrział i szerokie szlaki,  
Kiedy dał hetman hasło do pochodu,  
Uczulem znowu, na com się uchował,  
I na co hetman młodość mą prostował.  
Potrzeba ona nie potrwała długo,  
Niewiele było téż z niej i korzyści;  
Krwawą po miedzy musnęliśmy smugą  
I niby pokój słomiany się iści.

Kiedym do ziemi wrócił z tej potrzeby,  
Stary Sandomierz ugaszcział nas chleby:  
„Cóż tam w Wielowisi?“ pytam się przeora:  
— „Zastaniesz panią znacznie pochyloną!“  
— „Jako? pytałem strwożony „czy chora?“  
— „Nie, lecz nie długo z nami będzie pono.“  
Slysząc te słowa, dłużej już nie bawił,  
Lecz do Wielowsim zaraz się przeprawił.

Pani znać dano, że wracamy w Bogu;  
We drzwiach stanęła, a jak zwyczaj niesie,  
Szyszak u stóp jej złożyłem na progu.  
Podziękowała, spojrzałem na oczy,  
Widzę, że ziemia już się dla niej mroczy,  
Widzę, że dusza już ku niebu rwie się.



*Anno Domini 1565.*

## ŚMIERĆ HETMANOWEJ.

---

Wszystkom tak zastał, jakom był odjechał,  
Tylko że w całym Wielowiejskim dworze.  
Nikt tak swobodnie już się nie uśmiechał,  
Jako bywało przy księdzu Melchiorze.

Na oko, pani czyniła nam zdrowo;  
Lecz już się modli całe dnie i noce  
I na dzień cały rzeknie ledwo słowo  
I wielkie widać zdjęły ją niemoce,  
Bo jak cień tylko ciągnie do klęcznika  
I co dzień więcej od słowa unika.

Przybył ksiądz Łyczko na wezwanie pani,  
Więc i ostatnią wolę uczyniwszy  
Dla wdów i sierot, z tej wdowiej przystani  
Zleciła one opiece najżywszej,  
A jak mieć chciała, tak się też i stało.  
Poczem ostatni raz przeszła do dzwonka,  
Boć nadchodziła z kolei koronka.  
Więc i zakonne grono się zebrało,  
Co rankiem jeszcze było u spowiedzi;  
I klęka pani na swoim klęczniku,  
Toć i koronka szła po spowiedniku,  
Choć oko wszystkich tylko ksienię śledzi.

Pani złożyła na klęczniku głowę:  
I gdy koronkę w łasce ukończono,  
To łzami całe załało się grono,  
Bo martwą wzięto od klęcznika wdowę...

W Bogu usnęła szczęśliwem uspieniem,  
I chociaż wszyscy patrzą na nią spodem,  
Nikt się nie spotkał z ostatniem westchnieniem  
Aż gdy o klęcznik uderzyła czołem,  
Podbiegły wdowy i podjęły panią.

Ha! dzisiaj jeszcze, po leciech tak wielu,  
Wspomnienia one tak mi duszę ranią,  
Że ulgi szukam w Tobie Zbawicielu!  
Coś więcej cierpiał za nas na Golgocie!  
I dzisiaj jeszcze w serdecznej tęskocie  
Na onej straty wielki upominek,  
Sercem synowskiem, jak po własnej matce  
Mówię i mówić kazałem czeladce  
Po hetmanowej „Więczny odpoczynek!“

Prawdę mi mówił w zamku stary wrotny,  
Kiedym na zamek zawitał samotny:  
„Pono za głową pójdzie wszystka sprawa!“  
Jakoż po śmierci paui hetmanowej  
Mało nadziei żywota już dawa  
I pan Wojnicki, i nie stało głowy  
I młodo zeszedł i on z woli Boskiej,  
A skarby domu wziął książę Ostrogski.

Tedy w mem sercu tak bardzo się smucił,  
Iż nie wiedziałem coby począć z sobą?  
I z oną wielką po panach żalobą?  
I gdym do wioski rodzinnej powrócił,  
To tylko bardzo, a bardzo powoli  
Począłem znowu do siebie przychodzić,  
Gdy mi znów padło bywać koło roli  
I żywot memu rodzicowi skądzić.

---

Lepiej z Lublina było nam do Lwowa,  
 Lecz rodzic kazał jechać do Tarnowa  
 I wprost przed kościół, by zapłakać sobie  
 W pociechach duszy na hetmańskim grobie

Długo się modlił, a żal serca składa  
 Przy onej trumnie i ceniom powiada:  
 „Jestem Hetmanie! Chcę się uweselić  
 I me pociechy z twą trumną podzielić!  
 Nie darmoś w Polsce i w Litwie gardłował,  
 Nie darmoś Rusi jak syn wierny bronił  
 Nie darmoś naród i króla miłował  
 I w radzie pańskiej do jedności gonił,  
 Bo czegoś pragnął tak bardzo hetmanie,  
 To doszło w Bogu na tym twoim grobie,  
 I jest narodów wielkie miłowanie  
 I cień Zygmunatów zwraca się ku Tobie  
 I wszystek naród świadczy tej buławie  
 W obliczu Unii i narodu sławie!...  
 O! czemu, panie, dziś Cię śród nas niema?  
 Czemu nie patrzysz żywemi oczyma  
 Na akt, co doszedł przed Bogiem do skutku?“

Tak płakał rodzic i osłabł od smutku...  
 Lecz gdym go z grobu zwolna wyprowadził,  
 Nie chciał już jechać do domu na wózku,  
 Lecz siadłszy na koń, rażno przodem sadił  
 I śpiewał dumki żałośne po rusku,  
 Jakie lud w Rusi po hetmanie śpiewa,  
 Kiedy wieczorem powraca od żniwa.

Gdym go przed gankiem z rumaka zesadził,  
Kazał bym księdza bez bawy sprowadził,  
Więc i konnego wyprawił po Cywę,  
A sam porządki poczynił pocziwie  
Około domu i około siebie.  
Poczem wziął łaźnię i przyodział zbroję,  
Przyjął wijatyk na wieczne pokoje  
Kłęcząc porządnie i rzekł: „Panie w niebieł  
Tęm zbroję nosił, chodząc w Twoim znoju,  
A kiedym widział łaskę Twojej rosy,  
Unię narodów, to wołam w niebiosy:  
„Odpuszczaj sługę Twojego w pokoju!!!“

Z księdzem i z Cywą zdjąłem go z podłogi  
I usiadł w krzesle i rzekł: „Synu drogił  
A i ty Cywo, towarzyszu bratni!  
Pragnę za duszę żony i hetmana  
Odmówić jeszcze ten pacierz ostatni“...  
Więc wszyscy razem padniem na kolana  
I mówim głośno, a rodzic nas słucha  
I oddał Bogu w tej modlitwie ducha.

Więc prosto z krzesła, jako był ubrany,  
Tak go na marach złożyłem w żałości  
I leżą w Bogu te pocziwie kości,  
Modlitwą zdane na Chrystusa rany.

*A działo się tegoż roku die 16 Augusti.*

Smutno mi bardzo było w onym dworze  
Jednemu siedzieć po śmierci rodzica;  
„Czyby nie padło ożenić się może?“  
Radzi Sufczyna, zapłakawszy lica,

I Cywa radzi: „Niech leżą w pokoju  
Tych wiernych zmarłych kości w ojców grobie,  
A my panoczku radźmy tu o sobie,  
Bo może padnie iść z wiosną do boju?”

---

Jest coś w człowieku, czego nie odeprze,  
I chociaż nie zna, na czym stanie w końcu?  
Czy to na gorsze, czy może na lepsze?  
Lecz jak słonecznik zwraca się ku słońcu!

Do Ziemi Świętej parło mną gwałtownie,  
Grosz był gotowy w ojcowskiej szkatule,  
Więc, choć Sufczyzna i Cywa wymownie  
Wzbraniali tego, pożegnałem czule.  
I wzięwszy na się te pielgrzymie szaty;  
Ruszyłem rankiem w nieznane mi świąty.

Okręt wenecki na brzeg mię wysadził  
W onem podgórzu sławnego Libanu  
I tam z pielgrzymy już pospołum radził,  
Jak w Ziemi Świętej dalej służyć Panu?

Więc byłem najprzód „u studni wód żywych“,  
Co skryte płyną z tych źródeł Libanu,  
Jako szczodrości od Bożego tronu,  
Z których się, niegdyś podobało Panu  
Zaczerpnąć wody w dłoniach miłościwych  
I spojrzeć w kraje Tyru i Sydonu...

Pełni miłości, wiary i nadziei,  
Krocym z Libanu w ziemię Galilei,

Po której stopy niegdyś Chrystusowe  
Zaczyły ślady na przymierze nowe;  
I tu pojąłem żywemi oczyma,  
Jako Pan wiernych w łasce swojej trzyma,  
Kiedy ślad każdy stopy Zbawiciela  
Na świętych miejscach jest podany żywo  
I serca wiernych pamięć rozwesela,  
Kiedy zachodzą na to Boże źniwo.  
I byłem potem w onym Nazarecie  
I w Betlejemskiej ubogiej stajence,  
Gdzie na świat przyszło to Najświętsze Dzieci  
Co świat zbawiło rozpiąwszy te ręce  
Na krzyżu w mękach ku zbawieniu ludzi.  
I czułem w sercu, że mię wszystko budzi  
I rwie od ziemi w niebieskiej słodkości!  
A cóż dopiero, kiedym na Golgocie  
Rozpamiętywał zbawienia miłości,  
Jakie Bóg wylał na dusz wiernych krocie,  
Tom się tak bardzo wzmocnił i ukoił,  
Że siłą oną, którą Bóg uzbroił,  
Stoję aż dotąd na nic nie trwający,  
Mężny w cierpieniu a w Panu gorący!  
I daj mi Boże w tej chwili skonania,  
Kiedy się przyjdzie mieć precz z tego dwora,  
Czekać w tej sile wielkiego spotkania  
Hetmana mego i księdza Melchiora,  
Pana Maruszki i mego rodzical..

Gorzalem duchem jako gore świeca  
Przy onym grobie Zbawiciela Pana!  
A była sercu i podnieta dana,  
Bo między księżą naszego narodu  
Żył jeszcze kapłan, co pana za młodu  
Prowadził sercem po drodze krzyżowej  
Icześć zachował dla pamięci owej,

Jaką on rycerz młody pozostawił,  
Kiedy przed laty w Ziemi Świętej bawił.  
Pielgrzymi polscy od czasu do czasu  
Nieśli do grobu o rycerzu wieści  
A jak w ojczyźnie rósł w sławę z zapasu,  
Tak go i tutaj miano w wielkiej cześci;  
Więc kiedym zeznał, żem się z młodu chował  
Na onym dworze Wielkiego Hetmana,  
To mię on starzec bardzo umiłował  
I brewiarz ze mną odmawiał za pana,  
Wysoce ważąc, żem był w takiej szkole,  
I wołał na mnie: „Hetmańskie Pachole!“

Bo i przy grobie Chrystusowym znano,  
Jaką pan łaskę tam uprosił rano  
I że Bóg jego wysłuchał modlitwy,  
Bo mu bulawę dał wielką do ręki,  
By wrogów krzyża powściągnął paszczęki,  
A bożogrobca postawił wśród bitwy  
Niepożytego za przyczyną krzyża!

Chyżo mi biegła łódź żywota chyżo  
Przy Bożym grobie i w brzegach Jordanu,  
I rok mi ubiegł, jakby oka mgnienie,  
I jakieś ciche, święte zapomnienie  
Uniosło duszę w słodkości ku Panu!  
A kiedy ojcu na spowiedzi świętej  
Zeznałem, jakom jest w sercu przejęty  
Rzekł mi: „Mój synu! nie masz tu co bawić,  
My będziemy czuwać tu przy Bożym grobie,  
Kiedyś wzięł łaskę, to się czas odprawic,  
I do ojczyzny powracać na dobie..“

Więc noc spędziwszy w oliwnym ogrodzie,  
Z Ojcem pospołu na świętem czuwaniu,  
Po rzewnym płaczu i po pożegnaniu  
Ruszyłem w drogę nocą i o chłodzie,  
Śpiesząc wąwozy przy wiernym pachółku,  
Co aż do portu sam mię odprowadził,  
Jako tam zwyczaj, na dobrym osiołku,  
Który przez skały, niby koza sadził..

---



## KSIEGI CZWARTE.

---

JASSYR POGAŃSKI. —

WYBAWIENIE Z NIEWOLI.

POWRÓT DO OJCZYZNY. —

KRESY NA DNIEPRZE.

---

*Anno Domini 1571 die 7 Martii.*

W joppejskim porcie siadłem na galare,  
Co się jak delfin wdzięcznie w morzu pławi:  
Grek był sternikiem i kłął się na wiarę,  
Że do Wenecyi dobrze mię odstawi.  
Radzili wprowadzie księza w Ziemi Świętej,  
Aby na greckie nie siadać okręty,  
Bo się rozbojem w morzach bawić lubią  
I najgodniejsze ludzkie nieraz gubią.  
Lecz że i w Joppie nie bardzo bezpiecznie  
Było galarów od Wenecyi czekać.  
Więc zaufałem Grekowi statecznie  
I dłużej jazdy nie chciałem odwlekać.

Gdyśmy od brzegu odbili, wyliczyć  
Kazał mi sternik za przewóz, więc z trzosa  
Dobylem złota, i Grek począł dziczeć  
I patrzył na mnie już odtąd z ukosa.  
Aż trzeciej nocy, gdy mijamy schły,  
Pomknął się ku nam jakiś statek mały,  
Jeden i drugi, u tych skał ukryty,  
I nagle światło na galarze zgasło  
I małe statki dały jakieś hasło  
I nagle stanął okręt gdyby wryty.  
Pytam sternika: „co to wszystko znaczy?”  
A on mi mówi, że nie ujdziem łupu,  
Bo to w zbójckiej osiedliśmy saczy,  
Więc się wypadnie uciec do okupu.  
Jakoż sześć statków już koło nas staje,  
Więc i hakami pirat nas zagrabi,  
A potem ognia z gęstej strzelby daje  
I wbrew na okręt rwą się jacyś drabi.

Krótki kord miałem pod hałatem zawdy,  
Więc, gdym uwierzył, że to gwałt doprawdy,  
Tom się i dobrze ku tym drabom zwrócił  
I ciąłem kordem, gdzie było najgęściej,  
I w mgnieniu oka tak mi Bóg poszczęści,  
Żem po mej stronie wszystkich w morze rzucił.  
Więc w drugą stronę rwę się ku odsieczy,  
Ale sam sternik z tyłu na mnie wpada  
I cięciem w głowę tak bardzo kaleczy,  
Żem padł na ziemię i pojął, że zdrada;  
Krew mię oblała i straciłem zmysły,  
Grek ze zbójami miał znać związek ścisły.  
Kiedym znów przyszedł coś trochę do siebie,  
Piekło mię strasznie na głowie to cięcie;  
Nagi leżałem na innym okręcie.  
I nie wiem który? lecz dzień był na niebie.

Jakiś mi Turczyn podał trochę wody  
I dźwignął trochę i owinął rany  
I rzekł, że mogę wyjść z tego bez szkody  
I że ran moich będzie sam pilnował,  
Bo mu zostałem w jassyr zaprzędany,  
Więc dla okupu rad mię będzie chował.  
Nie chciałem pytać, co się ze mną działo?  
Lecz skatowane do krwi miałem ciało  
I byłem cały od karku do pięty  
Obiczowany i srodze pocięty.  
Turczyn czas jakiś wodą mnie polewał,  
Więc i siności i rany obmywał,  
A gdy od bólów aż owisła głowa,  
Staął mi w myśli z panem pacierz pierwszy:  
„Jeśli nie dźwigniesz dziś Bożego słowa,  
Jakże krzyż dźwigniesz?“ Więc w skrusze naj-  
[szczyrszej,

Biorąc jassyru wielki krzyż na siebie,  
Do Boga mego westchnąłem na niebie.  
I nigdy w sercu mojem nie wyrzekał,  
Ale krzyż niosąc, w Bogum tylko czekał  
Śmierci lub łaski mego wybawienia!

Turczyn, znać, poznał z mojego wejrzenia,  
Żem z Bogiem mówił, i z modlitwy mojej  
Rad był widocznie: „Bo prędzej się goi  
U bohomolnych rana, żeby jaka“.  
Tak mi z litością ów Turczyn powiadał,  
Co nie jednego leczył już Polaka,  
Bo był lekarzem i balsam mi zadał.

Są tam na Wschodzie cudowne balsamy,  
Jakich w ojczyźnie naszej ani znamy,

I jest dla rannych jakiś dziwny trunek,  
Który po kroplach niewielu się daje,  
A ranny zaśpi i ból i frasunek  
I po śnie każdym pokrzepiony staje.

Jakoż codziennie czułem się na ciele,  
Ba i na duszy i calszy i krzepszy;  
Lekarz mi dawał jeść tylko daktyle,  
I wdziałem hałat, bo już byłem lepszy.

Dni nie liczyłem i nie wiem jak długo  
Byłem na morzu, bo wolną żeglugą  
Szliśmy bez wiatru, i przespałem prawie  
Całą tę drogę pod masztem na nawie.

Lekarz, jak mówił, był Bułgarem z rodu,  
Co się od swoich odbił był za młodu  
I sturczył pono, czy może nie sturczył,  
Ale od biedy i wieku się skurczył  
I nie miał czego wracać do ojczyzny.  
To się też tułał w greckiem ostrowisku  
I po okrętach goił zbójom blizny,  
I tak to jemu dostałem się w zysku  
I ciężko ranny i srodze pocięty,  
Bo mnie wyprosił dla siebie od noża.  
Gdy w swoją drogę szły dalej okręty,  
Gdy mnie już miano wyrzucać do morza.

Gdyśmy przybyli do wyspy skalistej,  
Rzekł do mnie lekarz: „Jam człowiek ubogi,  
Więc cię tu sprzedać muszę bracie drogi.  
To wyspa Patmos, dom Ewangelisty,  
Jeden tu tylko Turczyn rządu trzyma,  
Co wyspy strzeże i zbiera haracze,  
Sprawiedliwszego człowieka już niema  
I nikt na jego sądy nie zapłacze,



Zresztą na wyspie żyją tylko Grecy,  
A i łotrowie od wyspy dalecy,  
Bo pan ma zamek i trzyma okręty,  
A ktoby zbijał, bywa tutaj ścięty.  
Dobrze tu przy nim będzie tobie ba,wić,  
Więc i o okup można się rozprawić  
Bo mu opowiem, żeś miał trzos ze złotem,  
Bo go od ciebie łupem wzięli Greki  
I trzymasz ziemię w ojczyźnie dalekiej,  
To i w jassyrze lepiej będzie potem.

Jakoż dał jeszcze z balsamem puszcзки  
I w bramie zamku sprzedał mnie na słowo  
I pan mi szatę kazał podać nową  
I byłem jeńcem na tej wyspie greckiej.

Zdrowe powietrze wiało po ostrowie;  
Jakoż z dniem każdym wracało mi zdrowie  
I pan miał względy na te rany moje  
I miałem folgę, aż się już wygoję.

Ospa się była na tę wyspę wkradła  
I do tygodnia wszystka dziatwa padła  
I lament wielki stał się i u Turka,  
Bo jakoś nocą zachorzała córka  
Najmilsza sercu, co miała trzy lecie,  
Więc rzekłem panu: „Ja uzdrowię dziecię.“  
A jako stryj mię był nauczył z młodu,  
Lekarz krakowski wielkiego zawodu,  
Tak wszystkim czynił już od pierwszej chwili,  
Gdy mi to piękne dziecię powierzyli,  
Więc się i ospa wysypała ślicznie  
I Turczyn czynił Panu Bogu śluby  
I pilnowałem dziecka tak odlicznie,  
Że po chorobie ani jednej dzióby

Nie pozostało już na całym ciele  
I miałem odtąd w domu łaski wiele,  
Bo i pan ze czcią przy sobie mnie sędzi  
A w ważnych razach to się nawet radzi.

Skoro po roku jakoś pomiarkował,  
Żem na rycerza w ojczyźnie się chował,  
To niewolników a ludzi zbrojnych  
Dał pod mą wolę, a żem praw był rzeczy,  
To czasów takich nieznano spokojnych,  
Jak one były, gdym miał wyspę w pieczy.

Dawniej tam miasto bywało nad morzem,  
Lecz gdy wzbijanie bardzo w morzach wzrosło,  
To się powoli na górę przeniosło,  
Bo ludzie drżeli przed zbójceckim nożem.

Jednak gdym zbójcom stał się bardzo srogim  
(Bo w jednym roku wybiłem do nogi  
Cztery najazdy, popaliwszy statki),  
To aż po brzegu pasowały się kozy,  
A dzieci w morzu kąpały znów matki,  
A Grek i Morlach uchodził od grozy  
Onego brzegu i strzegł się rozboju  
I żyła wyspa w pracy i w pokoju.

Pan mój miał w porcie trzy własne galary  
Więc gdy w lat kilka spróbował mej wiary,  
Chciał abym chodził z okręty za kupią,  
To mu i okręt nie tak łącno złupią,  
A w rzeczy samej nikomu nie wierzył  
Jako mnie, bowiem ludziom dobrze dzierzył  
I szczenił grosza, w sercu nie łakomy,  
Mając świat wszystek za bardzo znikomym.

Jedwabiem kupczyk? pomyślałem sobie  
Na co mi tego! na straży stać wolę  
I być bezbronym z obroną na dobie,  
Jak na hetmańskie przystało pacholę!

Więc próżno Turczyn na to mię nawodzi,  
Nie pójdę w morza, bo mi morze szkodzi!  
Lecz jeśli mienia potrzeba przysporzyć,  
To się potrafię po rycersku złożyć  
I będę czynił rzemieniem i bronią,  
Bom ci praw temu i znam się na rzędzie,  
A i na broni, za którą tu gonia,  
Otóż coś złota i za to przybędzie.

Bardzo mój Turczyn był rad słowu temu,  
Więc się do rzeczy wziąłem po swojemu:  
Były sposobne i na wyspie Greki,  
Innych ściągnąłem aż z Smirny dalekiej  
Jednych złotników, a drugich płatnerzy,  
Innych, co chodzą około rzemienia,  
I ledwo oczom mój Turczyn uwierzy,  
Boć to stanęło wszystko od skinienia!

A kiedy sobie na pamięć przywodzę  
Jak pan Maruszka niegdy temu czynił,  
To ciepłem sercem koło pracy chodzę,  
Boby mnie pewnie za sprawę nie winił.

Na wyspę Patmos przybył pod tę porę  
On Bułgar stary, lekarz mój poczciwy,  
A więc do służby bez bawy go biorę,  
Znając, że w sercu bywał mi zyczliwy.

Zbójowie w morzach taki zwyczaj mają,  
Że kiedy złupią jaką drogą zbroję,  
Klejnot i złoto odrą jako swoje,  
A rzecz cenniejszą precz na marność dają.

Znałem ja o tem, i szable odarte  
Kazałem ściągać starcowi onemu,  
A gdym oprawić je dał po swojemu  
I obszyć znova, więcej były warte  
Od samych nawet szabel emirowych.  
Bo kupowano je za łupy lackie,  
Droższe od wszelkich, w tych oprawach nowych,  
Taki lustr miały i ujęcie grackie!

A cóż dopiero gdym postroił rzędy?  
To po bazarach dziwiono się wszędy  
I w targu pierwszy za nie basza chwytą  
I kto obaczy, to już je i trzyma  
I każdy z wielkiem zadziwieniem pyta:  
„Na wyspie Patmos pono koni niema,  
Więc zkąd się biorą tam dziś takie sprawy?“  
I wyspa Patmos szła w morzach do sławy!

Cicha pociecha przejmowała serce,  
Bo Bóg tę wyspę na morskie kobierce  
Rzucił dla ducha na przybytek czysty;  
Był to dom Boży, dom Ewangelisty.

W połowie skały, gdzie się miasto wznosi,  
Greczyn pielgrzymów do pieczary prosi,  
Gdzie miewał Boże Jan święty widzenia  
I spisał one „księgi objawienia“!  
Od prześladowań jeszcze Domicyana  
Jest ta pieczara w sercu wiernych znana:  
Widok z niej wielki i czysty na morze  
I nie ziemskiego nie widać dokoła  
I z głębi skały szczelina się porze,  
Z której do duszy od trąby anioła  
Szło wielkie niegdyś prorocze wołanie,  
Jakie Jan spisał w czasów dopełnieniu  
I które w sądzie ostatecznym stanie,  
Gdy się proroctwo dopełni w stworzeniu.



W Apokalipsy onej to pieczarze,  
W święta tureckie trzymałem ja strażę;  
A gdy śród pogan nikt Maryi nie chwali,  
Ja Ją chwaliłem w te święta pogańskie  
I w tej pieczarze brałem łaski Pańskie  
I duch był równy do tureckiej stali!  
I nie przykrzyłem w tym jassyrze sobie,  
Lecz stałem twardo w onej lackiej wierze,  
Że Bóg z ratunkiem przybędzie na dobre,  
Lub mnie do siebie w swej łasce zabierze.

Nie umiem zeznać, jakim miał pociechy,  
Że Bóg jassyrem dotknął mnie za grzechy,  
O i za żadne skarby tego świata,  
Dziśbym nie oddał tej niewoli lata,  
Bo znam po szkole i hetmańskim rządzie,  
Jako tam będzie w ostatecznym sądzie,  
Gdy przed Chrystusem człowiek nago stanie,  
Na onej trąby straszliwe wołanie,  
Co to wołała niegdy w tej pieczarze,  
I gdy Bóg duszy na sąd stanąć każe...

I Turcy dają tam świadectwo swoje,  
Że pan był prorok i przed Bogiem czysty,  
I ciała zmarłych mają tam pokoje  
W onej pieczarze dla Ewangielisty.

Są to, znać, ciała tych, co na pustyni  
Żywot skończyli i Bóg cuda czyni  
Przy onych zmarłych i w cieniu pieczary,  
Jako powiadał mi on Bułgar stary.

Lat ośmnaście żyłem na ostrowie,  
Nie raz nadzieje czynili Grekowie,  
Że do ojczyzny dadzą listy moje,  
Słyszac, że wiernie w okupie dostoję.

A więc pisałem do panów z Tarnowa  
I do Boboli, co był za pacholę  
Przy panu naszym, znając dobrą wolę  
Wszystkich dla siebie, pisałem, co głowa  
Moja u Turka na złoto jest warta,  
Do weneckiego takżem słał senatu  
Listy osobne, by mnie jako bratu,  
Co ma sojusze z Rzecząpospolitą,  
Raczył pośpieszyć z pomocą ukrytą.  
Ale i listy i biegły te roki,  
A nikt z okupem po mnie nie przybywał,  
I w morzem patrzył z tej nagiej opoki  
I do Maryim pieśni wyspiewywał.

Gdy raz ostatni byłem w tej pieczarze,  
Czułem się lekki i znałem proroczco,  
Że się me losy ku ojczyźnie toczą,  
I że się sercem ku lepszemu ważę...

Jakoż i łoże w nocy się załomie  
I wszystko puste wydaje się w domie:  
Gdy pasek upnę, każdy na mnie pęka,  
Więc i dzban rwie się, gdy go dotknie ręka,  
I snu już niema, pragnienia ni głodu,  
Ale co chwila wyglądam na morze  
I serce rwie się kędyś do pochodu,  
Jakby niem władły jakies sądy Boże.  
Więc kiedy rady nie mogę dać sobie  
I w niepokoju bardzo sercem robię,  
Zgłosił się rankiem do mojego Turka  
Jakiś człek obcy, co kupczył perłami;  
Na nim kłapania i kosmata burka.

I kiedy w sieni spotkamy się sami,  
Patrzy mi w oczy i pokiwał głową  
I coś mię tknęło, że to swojak może?  
Jakoż przemówił do mnie polską mową  
I spytał krótko:

„Ktoś ty jest nieboże?“

— „Szlachcie—powiadam—i okup dać mogę,  
Gdybym postawił w ziemi jeszcze nogę.“

— „To milczże synu!—powiada mi na to —  
I mów, żem turek weneckiego berła,  
Że jeżdżę z kupią po świecie bogatą,  
To i tureczynki skusi może perła  
Większa od bobu, jak towar wyłożę,  
Potrafię cenić, a jak się podrozę,  
To niewolnika zażądam w dodatku  
I bez okupu wezmę was w ostatku.“

Pan mój miał córkę sercu bardzo miłą,  
A więc bicz pereł kupił jej na słowo,  
Lecz gdy się złoto za nie odliczyło,  
A kupiec perłę wydobył różową,  
Większą od bobu, gwałt się zrobił w domu,  
Boć matka, córka, ba, i niewolnica,  
Wybiegły wszystkie już prawie bez sromu,  
Oglądać oną cenną topielicę,  
Lekko ujętą na złotym łańcuchu  
I już nie było mowy ni posłuchu,  
Że i mój Turek musiał w końcu zgłupić,  
Bo krzyczą tylko: „Kupić! kupić! kupić!“

Była to perła, którą zwa „szczęśliwą“.  
Więc ta niewiasta, która ją posiedzie,  
Panować wolą nad drugimi będzie,  
To też się rwały wszystkie ku niej chciwo.

Lecz kupiec perłę tak wysoko cenił,  
Że tureczynowi zawiele się zdało,  
Więc rzekł odmownie:

„Gdybym syna zenił  
Z córą sultana, jeszczeby nie stało  
Za tyle złota takie cacko głupie!“  
Więc i targ zerwał i odprawił kupię.

Ale nazajutrz już o świcie każe  
Szukać mi kupca po miejskim bazarze.  
Przyszedł, lecz większa była jeszcze bieda,  
Bo trzy wisiorki były jednakowe,  
Z których dwa do rąk, a trzeci na głowę,  
I rzekł, że one tylko razem sprzeda.

Więc znów niewiasty i w krzyki i w targi,  
I targ nie doszedł i nanowo skargi,  
Że aż bałamut jął się głowy turka,  
Bo dnia trzeciego zachorzała córka.  
Z całego miasta zbiegły się znachorki  
I „umrze—krzyczą—albo kup wisiorki!  
Bo zachorzała na perłę różową  
I tylko od niej może być już zdrową.“

Ale od targu kupiec już ucieka  
I mówi twardo:

„A co mi tam złoto?  
Mnie trzeba w drodze dobrego człowieka,  
Kupisz dwie perły? to oddam z ochotą,  
Trzecią już z łaski dam za niewolnika.“

Turczyn aż w gębie zapomniał języka:  
„Tego nie puszczyć—rzekł, wskazując na mnie  
Bo i to perła“—i zerwał się dumnie.  
„Perła za perłę, więc głowa za głowę!“—

Rzekł na to kupiec i śpiesznie odchodzi,  
I wrzask podniosły nanowo znachorki  
I matka łamie ręce i zawodzi:  
„Córa mi umrze, albo kup wisiorki!  
Bo zachorzała na perłę różową  
I tylko od niej może już być zdrową...”

Turczyn od żalu aż splakał w ostatku;  
Lecz dobił targu i dał mię w dodatku,  
A kupiec powróż założył na szyję  
I rzekł:

„Znaj jassyr i posłuch i kijel!”

Na to znów turczyn:

„Karać go nie trzeba.”

I dał na drogę mi szatę i chleba  
I trzy sztuk złota wyrzucił na progu  
Na szczęście moje, i sklonilem w Bogu  
I żal mi było rzucać dom niewoli,  
Co mię przytulił ludzko w onej doli  
I nie wiedziałem, co mi dalej padnie  
Kiedy pan nowy oraz powróż kładnie  
Na szyję moją i grozi fałagi.  
Więc w Bogu tylko szukałem odwagi  
I ledwo idę za panem, co w grozie  
Przez całe miasto wiódł mię na powrozie.

Znali mię wszyscy u mego turczyna,  
Żem mu przysporzył i statku i mienia,  
A więc pytano, coby za przyczyna,  
Że mię odprzedal? I było zdziwienie  
Na całym mieście i w całym bazarze,  
Że mię pan nowy tak bez winy karze?

Gdyśmy się mieli u brzegu do drogi,  
Nadszedł człek jakiś letni i ubogi  
I panu memu na ucho dokłada:  
„I ja mam jeńca, com go dostał łupem  
I sam się laszkiem i panem powiada,  
Tobym go puścił także za okupem.“

Na wiatr od lądu czekały galary  
I odbić miały o wietrze dopiero,  
A kiedy kupiec chęć okazał szczerą  
Kupienia jeńca, to go przywiódł stary  
Kiedy siadamy już na okręt prawie,  
Kupiec mi kazał z jeńcem się rozgadać,  
Ale napróżno pytaniami się bawię,  
Bo mi po polsku nie chciał odpowiadać:  
Więc po turecku pytam go nareszcie;  
„Wszak cię za Laszka mają ludzie w mieście?“

„Bom Lach i chrzczony“ na to mi powiada;  
Co rzekłszy, w miejscu na kolana pada,  
Więc i znak krzyża położył ostrożnie  
I cały pacierz odmówił pobożnie,  
I dziesięcioro, więc i modlitewkę  
Do Trójcy Świętej i ran najgorętszych,  
A w końcu pięknie zaśpiewał już śpiewkę  
O Matki Bożej łaskach Przenajświętszych.

Był to młodzieniec śliczny, gdyby róża,  
Dzieckiem z ojczyzny porwała go burza,  
Ojciec odumarkł go chłopcem w jassyrze,  
Ale stał z Bogiem i z kościołem w mirze,  
Bo konający ociec mu nakazał,  
Aby niewiarą krwi zacnej nie mazał,  
Ale i pacierz i ów klejnot chował  
I matkę Bożą i Polskę miłował,

To po pacierzu wróci do ojczyzny,  
A po klejności trafi do puścizny.  
Jakoż po polsku tyle tylko umiał,  
Ile z pacierza znał i wyrozumiał,  
Lecz trwał i wierzył, jak był nawykł z młodu,  
I czystem sercem miał się do narodu.

Kupiec zapytał, coby za młodziana  
Żądał okupu? a starzec powiada,  
Że jest ubogim i że okup lada  
Przyjmie jałmużną, jako łaskę pana,  
Lecz nim go odda, to wprzód znać potrzeba,  
Że się z tym jeńcem łączą znaki nieba...

„Jakto?“ zdziwieni zapytamy oba.  
Starzec lzy otarł i rzekł: „Na proroka!  
Miałem wskazówki a i mam z wysoka,  
Że ten to jeniec Bogu się podoba:  
Bóg losy moje z jeńca tego losem  
Związał tak ściśle, że choćbym odstąpił  
Jeńca na własność, nie będzie Bóg skąpił  
I wam wskazówek i mnie dotknie ciosem,  
Póki nie spełni się z Niebios przejrzenia  
Na mnie i na nim wola przeznaczenia.  
Krew to prorocza! i z rady wysokiej  
Allah przemawia tylko przez proroki.

„Gdym czarnym szlakiem szedł do ziemi  
[tucznej]

Kędy i bydła i narodu wiele,  
Byłem potężny i stałem na czele  
Dzielnego pocztu, jak basza buńczuczny.  
W powrocie łupy dzielono u Warny  
I w dziale padł mi także łup nie marny.

Z osobna stali jeńce do okupu,  
Co nie szli w podział do całego łupu,  
Ale z nas każdy, co szedł z ludźmi k'temu,  
Miał prawo wybrać sobie po jednemu.  
A więc przyzwałem k'sobie dragomana  
I po okupnem chodzimy taborze:  
Każdemu z jeńców ropi jakaś rana,  
A więc szukamy, czy nie znajdziem może  
Takiego jeszcze, coby ostał cały?  
Jakoż się znalazł człek bardzo wspaniały,  
Co trzymał chłopię nieletnie na rękę,  
I gdym go spatrzył, rzekł do mnie bez lęku:  
„Byłeś od dziecka mię tego nie dzielił,  
Będiesz z okupu pewno się weselił;  
Dziesięć kies złota dam ci sam za siebie,  
A drugie dziesięć za chłopca z ochotą;  
I klnę się Bogu Wielkiemu na niebie,  
Że ci w dom szczęście wniesie moje złoto!  
Lecz panem będziesz mnie znał i w jassyrze  
I będziesz chował mnie i dziecko w mirze

„Wyznać nie umiem jeszcze dzisiaj, czemu  
Bardzom się poddał człekowi onemu?  
Znałem, że umie Lach dochować wiary,  
Więc go w dom wzięwszy, chowałem bez kary.

„I przez trzy lata modli się i pości  
I razem z chłopcem pieśni tylko śpiewa,  
I pisze listy i wysechł do kości,  
Lecz gdy z okupem nikt mu nie przybywa  
Na prostej słomie kazał się położyć  
I mnie zawezwał i do mnie powiada:  
— „Tem, co ci powiem, nie będziesz się  
[trwożyć,  
Bo próżna trwoga, gdy w niebie zapada



Wyrok na losy śmiertelnego człeka;  
Bóg losy twoje z dziecka mego losem  
Zapisał razem w księdze przeznaczenia,  
I po mej śmierci, chwila niedaleka,  
W której cię dotknie niebo ciężkim ciosem,  
Więc uzbrój duszę i słuchaj widzenia!..

„Dom twój upadnie i wezyr cię złupi  
I żonę twoją wróg zacięty kupi  
I sześciu synów stracisz w jednym boju  
I staniesz w świecie bez czci i zawoju  
I kiedy drugie zawita zaranie,  
Tylko syn mały jeszcze ci zostanie  
I razem z moim będą z miejskich śmieci  
Żywić się skrycie czasu nocy oba,  
A dnia siódmego przyniosą ci dzieci!  
Trzy sztuki złota zebrane z jałmużny  
I przyjdzie na cię nieba pierwsza próba:  
Dźwigniesz się z żalu, weźmiesz kij podróżny,  
Kupisz trzy kozy i pójdziesz w pustynie  
I dojąc kozy będziesz dzieci chował,  
A gdy spać będziesz, mój będzie pilnował  
I kóz i ciebie, i nie da gadzinie  
Tknąć twego syna, i czas próby minie  
I przyjdzie człowiek z dalekiego miasta,  
Co z nagiej skały ku niebu wyrasta,  
A w koło żywą wodą jest oblane,  
I dasz mu mego za okupem syna  
I czas zagoi serca twego ranę  
I po tem złocie i szczęście przybędzie  
I wróci do cię znów ojców dziedzina  
I syn już panem na dziedzictwie siędzie  
I na tych wrogach pomści krzywdę rano,  
Jako w przeznaczeń księdze zapisano“.

„Struchlały wszystek chciałem jeszcze pytać,  
Ale czy nie mógł, czy nie chciał już czytać  
Więcej i dłużej w tych przeznaczeń księdze?  
Dosyć, że milczał, aż znów w godzin parę  
Wolać mię każe i zakląć na wiarę  
I rzekł po chwili: „Ja kończę tę nędzę!  
Ciebie zostawiam w chwale i potęgę,  
Lecz wszystko zniknie jak piana na wodzie  
I temu tylko błogosławić mogę,  
Co jest najmłodszym w całym twoim rodzie;  
Więc go tu sprowadź, bo mi czas już w drogę“.

„W słowach skonania była moc prorocza  
I znać przeznaczeń potęga uroczą.  
Przywiódłem syna do onego łoża,  
I błogosławił mu z wnętrzości ducha,  
Poczem rzekł do mnie: „Jest wielka moc Boża  
I sprawiedliwej prosby Bóg wysłucha“.

„Na zachód wskazał, jest sucha pieczara,  
W niej mnie pochowasz nocą i w skrytości,  
A gdy o okup syn mój się postara,  
Syn twój odwiezie do ziemi me kości,  
I gdy się ujrzą, to zapłaczą sobie,  
Jak bracia rodni na tym moim grobie.

„Słuchaj, bo daję ci już znak ostatni!  
Kiedy z okupem przyjdą ludzie płatni,  
Co z przeznaczenia rozwiążą twą dolę,  
To dwóch ich będzie, i on człek co płatny,  
Będzie na głowie w kłapani szkarłatnej,  
A ów, co mego podźwignie z niewole,  
Będzie miał powróż na szyję zadany  
I będzie zdawna w całym mieście znany;  
I syna mego przywiedziesz ochotnie  
I błogosławić będziesz mu stokrotnie

I weźmiesz w okup tylko kiesę złota;  
Lecz od tej kiesy szczęście się obróci  
I zejdzie słońce znów przed twoje wrota  
I syn i ojciec szatę nędzy zrzuci...

„Więcej nie mówił, choć w duchu gorący,  
Na prostej słomie prosto wyciągnięty,  
Wraz z synem pieśni śpiewał konający,  
Jak bohomolny i przed Bogiem święty!“...

„Że prawdę mówię, klnę się na proroka!  
Dziś znak ostatni dał Ałlach z wysoka,  
Więc kupcie jeńca, gdyście człowiek płatny,  
Jako powiedział w kłapani szkarłatnej,  
A drugi powróż ma sobie na znamię,  
To niech prorocstwo lachowe nie kłamie,  
Bo każde słowo, com tu rzekł w tej mowie,  
Straszno na mojej spełniło się głowie:  
I dom mój upadł i Wezyr mię złupił  
I wróg największy żonę moją kupił  
I szczęściem synów stracił w jednym boju,  
Ha! iostałem bez czci i zawoju!  
I kiedy drugie zeszło mi zaranie,  
Tylko syn mały jeszcze przy mnie stanie,  
I z synem jeńca, czasu nocy oba  
Żywią mnie skrycie strawą z miejskich śmieci  
I dnia siódmego przyniosły mi dzieci  
Trzy sztuki złota, zebrane z jałmużny,  
I przyszła dla mnie nieba wielka próba:  
Kupiłem kozy, wziąłem kij podróżny  
I wraz z chłopcami żyłem na pustynie,  
Modląc się niebu, aż czas próby minie.

„Mówili ludzie: — „Ha utop to zczenie,  
To się odwróci jeszcze przeznaczenie.“

Lecz gdy się wszystko spełniło na głowie,  
To trwam już tylko na proroczem słowie,  
I od was obu błagam rozwiązania,  
By się syn pomścił krzywdy niepowszedniej,  
Na wrogach moich onego zarania,  
Jako w proroczej stoi przepowiedni“...

Ha! oba z kupcem, co mię na arkanie  
Trzymał jak Tatar, słuchaliśmy oba  
Powieści onej—i rzekł jeniec: „Panie!  
Niechaj się kończy na nas nieba próba!“  
I kupiec rzucił kiesę złota z wzgardą  
I w koło szyi onego młodziarka  
Arkan owinął nie ludzko i twardo.

I oba spięci czekamy do ranka —  
I siedział starzec płaczący na brzegu,  
Aż już galary były w pełnym biegu,  
I póki widział, póty ku nam prawił  
I razem z synem w drogę błogosławił.  
Był to szczęśliwy, iście Boży ranek!  
I do pacierza przykląkł był młodzianek,  
Gdy jasne słońce zeszło nam od wschodu,  
Gdyśmy się znali sercem do narodu.  
W on czas dopiero, aż o drugiej dobie,  
Pan nasz krzyż także położył na sobie  
I tylko do mnie na ucho powiada:  
„Póki w tym kraju, póty wiecznie zdrada“.  
Więc sami sobie folgujcie arkanem  
I wyznawajcie, zem jest waszym panem;  
A jak zobaczymy już przy drogach krzyże,  
I mnie lżej będzie i wam po jassyrze  
I będziemy wołać po siołach do ludu,  
Jako wracamy znając się do cudu.

Do myru  
Z jassyru!

Z jassyru  
Do myru!

Jam jest Ormianin i z onego miasta,  
Co z nagiej skały ku niebu wyrasta.  
A w koło żywą oblane jest wodą,  
Więc i wam obum nie będę ze szkoda:  
W Koronie Polskiej zwie się „Złoty Wieniec“  
A po naszymu: „Podolski Kamieniec“.  
Więc jestem Wartan Asłanowicz z rodu  
I odkupionych oddam do narodu,  
Lecz się trzymajcie sami u powrozu,  
Aby nie było licha u przewozu,  
Aby mię Turcy tu za Turka mieli  
I was mi zabrać jak swoich nie chcieli.“

Duch we mnie wstąpił i arkan nie ciężył,  
Gdy temi słowy wywiódł mię z obawy  
Wartan poczciwy i płynęły nawy,  
Wię i porzecz na maszcie się wężył  
I ku ojczyźnie furkotał wesoło  
I oddychałem znów nadzieją nową.  
Lecz ów młodzianek z pochyłą głową  
Siedział i ręką krył oczy i czoło.  
Ha! rozumiałem, że tak smutny siedział,  
Bo w sroższym jeszcze jassyrze się wiedział,  
Niż był od dziecka, u nowego pana.  
Więc jako mogę z cicha mu tłumaczę,  
Że ta niewola jest tylko udana,  
Lecz on mi mówi: „Nie tego ja płaczę!  
Wszystko co rodzic wymówił proroczco  
Jest już spełnione, więc się spełni jeszcze  
Reszta słów jego i stanem ochoczco  
Na ziemi krzyżów! I nie to mię boli,  
Bo wierzę mocno w one słowo wieszczce,  
Lecz to, żem stracił rodzica w niewoli

I że ze sobą kości wziąć nie mogę,  
Gdy Allah znaczy do ojczyzny drogę!“

Krew, pomyślałem, krew i łaska krzyża?  
Krew i krzyż pański i cud oczywisty!  
Ze się wśród pogan schował taki czysty  
I że Pan wierne znów do ziemi zbliża!

„Gdzież jest grób ojca?“ pytam go po chwili,  
I rzekł mi na to: „Wszak nie leży w grobie,  
W jaskini Jana kazał posłać sobie,  
A jako kazał, tak też go złożyli..  
I stoi cały aż potąd przy ścianie,  
Jak gdyby skonał dopiero w tej chwili,  
A słowo każde trzymam dotąd w cenie.  
Jest tam na wyspie pieczara szeroka,  
Co przed wiekami chowała proroka:  
Nie raz z rodzicem byłem w tej pieczarze,  
Gdzie prorok siadał, tam i rodzic siada,  
A kędy klęczał, do modlitwy pada  
I mię tak robić po swej śmierci każe.  
Ostatniej nocy wysłał mię wraz z sługą  
Do tej pieczary, bym wziął trochę prochu  
Z miejsca modlitwy i przyniósł mu z lochu,  
A gdy w pułharku przyniósł trochę ziemi,  
Wzniósł go ku niebu i modlił się długo  
I pożył ziemię ustami swójemi  
I rzekł mi potem: „Teraz duszy zdrowo!  
Więc słuchaj synu na ostatnie słowo:  
Znak ci tu daję, abyś wierzył szczerze.  
W świętego Jana będę stał jaskini,  
I nikt mym zwłokom krzywdy nie uczyni,  
A nawet robak nie tknie mię w jassyrze,

I ty co roku nowemi całuny  
Owiniesz ręce i okryjesz lice  
I całym będę, aż mię dasz do truny  
I w ziemi ojców zapalisz gromnicę\*...  
I tak się działo i stoi nie tknięty,  
Jakby spał tylko w Janowej pieczarze,  
I nawet Turcy mówią, że był święty,  
Kiedy mu robak oblicza nie każe.

„Jakże ci imię? jak cię ojciec wołał?”  
— „Stachu” powiada.

— „A jakiego rodu?”  
Tego z pamięci już dobyć nie zdołał,  
Bo rodzic jeszcze odumarał go z młodu,  
Lecz się uśmiechał, gdym go odtąd „Stachu”  
Wołał i mówił mnie wzajemnie: „Lachu”.  
I tyle było przysłowia po słowie,  
A reszta wszystko już w tureckiej mowie  
I między sobą i z ludźmi innemi,  
Aż Bóg dozwolił dobieć się do ziemi.

Stach bardzo mocno chorował na wodzie,  
W Smirnie nasz Wartan nakupił jedwabi,  
Aleśmy byli oba bardzo słabi,  
Gdyśmy zwinęli żagle w Białogrodzie.  
Tutaj u Ormian mieliśmy gospodę,  
Których tam w mieście bywa dobrych wiele,  
I obaczyło się znów chłopię młode,  
Bośmy tam stali całe trzy niedziele.

Wartan pod siodło wziął same bachmaty,  
Dał na wielbłądy jedwabie i szaty.  
Przynajął ormian, kupił tabón koni  
I kilku greków i kilku tatarów  
Wziął na obronę statku i towarów.  
A sami konno byliśmy przy bronii

I taki tabór po ormiańskim szlaku  
Prowadził Wartan prosto na Suczawę  
I po jasyrze nie było już znaku  
I w całej drodze miałem już zabawę  
Tylko ze Stachem, co się do mnie garnie,  
Więc i mówienia i nowych pacierzy  
Uczy się przy mnie serdecznie i chciwo;  
To też dawałem mu duszą życzliwą,  
Jak mnie ksiądz Melchior, widząc jako wierzy.

Gdyśmy wstąpili na ziemię wołoską,  
Był i pogodny i wiosenny ranek  
I krzyż potrójny stał przed pierwszą wioską  
I wprzód taboru popędził młodzianek  
I skoczył z konia i czepił się krzyża  
I płacząc, wołał: „Tatu! tatu!! tatu!!!“  
I wierze ojców dał świadectwo światu.  
I stanął tabór i wszystkim wlepił  
Duchem do krzyża, po sercu młodziana,  
Ze już nie było greka ni ormiana,  
Coby się jego żalu nie użalił  
I po swojemu Boga nie pochwalił.

Gdyśmy stanęli u możnej Suczawy,  
Sam Wartan w mieście połagodził sprawę,  
A my z taborem czekamy nad rzeką  
Na powrót jego za miastem, daleko.  
I po dniach kilku sporszej już podróży  
Stajem wieczorem w brzegu rzeki dużej  
I do nas obu, cośmy szli z jasyru,  
Powiada Wartan:

„Owo ziemia myru!  
Aż po tę chwilę jam był panem waszym,  
Za rzeką staniam już pod prawem laszem,



To mi wybaczcie, żem was na arkanie  
Wywiódl z jasyru, i niech mi myr chowa  
I serce wasze i wiara lachowa,  
Kiedy już każdy w ziemi myru stanie  
I jako wolny ruszy w swoje progi..“

Tak rzekł mi Wartan i chwycił za nogi.  
Ha, zrozumiałem pobożną pokorę,  
Więc od stóp moich do serca go biorę  
I z wielkim dziwem greki i tatarzy  
Patrzyli na nas i przymierze wiary.

Stach nie rozumiał, czemu się tak korzył  
Pan nasz przed nami, a gdym wytłómaczył,  
To na krzyż ręce po turecku złożył  
I cześć pokłony po turecku zoczył.

Rankiem na Nistrze była wielka woda  
I przez dzień cały trwała ta przeprawa  
Zanim prom z brzegu polskiego się poda  
I całym statkiem nas ojczyźnie dawa.

Gdyśmy nazajutrz stanęli w pochodzie  
Napióć kowie, była to niedziela,  
I rzekł nam Wartan:

„Ha! stoim przy wodzie,  
Co Boże miasto biegiem rozwesela.“  
I przy taborze zostawił ormiany,  
A sam już z nami, z tatarzy i z greki  
Popędził jarem, brzegiem onej rzeki,  
I wokół jaru rozwarły się ściany  
I stał przed nami Podolski Kamieniec,  
Polskiej korony sławny „Złoty wieniec“  
I zaszumiła na łotokach woda  
I odgłos dzwonów do duszy się poda.

W on czas rzekł Wartan jasyrnemu dziecku  
By zrozumiało, rzekł mu po turecku:  
„Rodzica twego sprawdził Allach słowo,  
Bom cię z jassyru dał do ziemi zdrowo  
I jam jest człowiek owo z tego miasta,  
Co z nagiej skały ku niebu wyrasta,  
A wkoło wodą jest oblane żywą  
I z wróżby nieba zdaje cię szczęśliwo!“

Na to młodzianek mówi mu ochoczo:  
„Jeszcze się jedno na mnie ziścić musi,  
Nim do ojczyzny serce się pokusi,  
Jako mi rodzic powiadał proroczo.“  
— „Więc co?“ zapytał Wartan zadziwiony,  
A strzelbę na nas wypuszczono z grodu,  
I padł koń Stacha strzałem ugodzony,  
Jakby nie swojak miał się do narodu.  
Więc huknął Wartan:

„A szczo robysz! Lwowicz!  
Ja to, ja Wartan, Wartan Aslanowicz!  
Z jassyru  
do myru!“

I na te słowa już strzelby wzbroniono,  
Ale we wszystkie dzwony uderzono!

„Z jassyru  
Do myru!  
Do myru  
Z jassyru!“

Takie po mieście nastalo wołanie  
I wkrótce brama na ościarz nam stanie  
I wszystek naród z kościołów się wali.  
A że to Świątek Zielonych Niedziela,  
Więc naród majem drogę nam wyściela  
I łaskę Bożą w cudach jego chwali

I do kościoła wybawionych wiedzie.  
Wartan szedł w miasto przed nami na przedzie  
I o cudownym jeńcu ludziom prawi,  
Co się wychował wśród pogan w jassyrze,  
A płaczem wita w ziemi ojców krzyże  
I mową ojców pana Boga sławi.  
Choć prócz pacierza nic więcej nie umie  
I nic nie powie, ani wyrozumie.

Z wielką pokorą, jakby za swym panem,  
Spuściwszy oczy szedł Stach za Wartanem  
I ręce na krzyż po turecku złożył  
I przed narodem bardzo się pokorzył  
I przed kościołem upadł na twarz w prochu  
I wszystek naród zaniósł się od szlochów,  
Boć piękna była i postać młodziana  
I powieść o nim była niesłychana!

Wstawszy, znak krzyża położył ostrożnie  
Więc w głos i pacierz odmówił pobożnie.  
I dziesięcioro, więc i modlitewkę  
Do Trójcy Świętej i Ran najgorętszych,  
A w końcu pięknie odśpiewał już śpiewkę,  
O Matki Bożej łaskach przenajświętszych.  
Poczem wstał znowu i ręce w krzyż złożył  
I przed narodem bardzo się pokorzył  
I ogarnęło miłosierdzie serca,  
A ktoś kobierzec posłał przed młodzianem  
I lud się cisnął z dary do kobierca.  
Jakby sierotę chciał wianować wianem.  
I co na sobie miał każdy z drogości,  
Łańcuch czy sygnet, spinkę czy pieniądże,  
Na tym kobiercu pokładał w miłości  
By żal ukoić i jassyru nędze.

I białogłowy zabrały w przepaski  
Dary z kobierca i klaskały w ręce  
I wily z maju i rzucały wieńce  
I wiodły jeńca do biskupiej łaski  
I w całym mieście na nowo wołanie:

„Z jassyru

Do myru!

Do myru

Z jassyru!“

I dwóch biskupów wyszło na spotkanie  
I naprzód wodę podali święconą,  
Potém chleb z solą, zapraszając w progi,  
I podstąpiło onych niewiast grono,  
Sypiąc dar myru biskupom pod nogi;  
Więc błogosławiąc onęj dobrej woli,  
Błogosławili biskupi ludowi.  
A nam jassyrynym, więc i Wartanowi  
Z sobą iść każą, więc i lud powoli  
Rozszedł się z cicha do domów po mieście,  
Boć do objadu był wielki czas wreszcie.

„Złóćcie te szaty niewoli ze siebie,  
To się poznamy lepiej już przy chlebie!“  
Rzekł nam ksiądz biskup. I bierze nas szatny  
I przyodzianek podaje nam zdatny  
I Stach się umył i napił się wody  
I jam się ubrał, lecz Stach nie wziął szaty  
I mówi do mnie: „Nie zdejmę ja wprzódy  
Szaty niewoli, aż uiszczę spłaty.  
Rodzic tam czeka w Janowej pieczarze  
Okupu mego, więc mnie nie przystoi  
Wziąć innej szaty, chociażby i w darze,  
Póki z okupem nie przybędą moi“...

Tłumaczył Wartan i jam mu tłumaczył,  
Ale stał twardo, więc gdy w onym progu  
Stanem wśród gości, to prosiłem w Bogu,  
Aby książd biskup wybaczyć mu raczył,  
Że przyjąć szaty pocziwej nie może,  
Bo takie votum uczynił w pokorze,  
Póki z jassyru nie wykupi kości  
Rodzica swego, to szaty nie zmieni;  
I wszyscy w wielkiej mieli to czułości,  
Że syn rodzica pamięć wiernie ceni.  
W izbie stołowej był stół okazały:  
Na pierwszym miejscu siadł biskup kijowski,  
Wielkiej w ojczyźnie i w kościele troski,  
A obok stołu stał stoliczek mały  
I przy nim zasiadł biskup kamieniecki.  
Co praw był także i w mowie turckiej  
I mnie, Wartana i Stacha do siebie  
Tylko zaprosił i Stachowi gwoli  
Turecką mową szła rzecz „o niewoli.“  
I lepiej poznał nas biskup przy chlebie...  
Bo czego nigdy nie wyznał przedemną,  
To tu Stach wyznał: że chowa od młodu  
Na pierśi swojej torebkę tajemną,  
Co go napowrót wyda do narodu.  
I po obiedzie Stach znów ręce złożył  
I przed biskupem bardzo się pokorzył  
I tedy biskup powiedział do gości  
Powieści one, pełne ciekawości,  
O wyspie Patmos i prorocctwie onem,  
Co na młodzieńcu miało być sprawdzonem,  
Że po pacierzu wróci do ojczyzny,  
A po klejnocie trafi do puścizny...”

I zdjął ksiądz biskup torebkę z młodziana  
Z golonej skóry na mocność uszytą;  
I być musiała nożem pokrajana,  
Bo była wcale na kamień ubitą.

Więc w tej torebce był zaszyty krzyżyk,  
I na proch prawie starty już szkaplerzyk,  
A więc i kamień, co zwany zabieniec,  
Widać z sygnetu, i na nim był ryty  
Klejnot Nałęczów bardzo znamienity.  
„To Nałęcz! Nałęcz!” ksiądz biskup powie-  
[dział,  
I w ogniu stojąc zawołał młodzieniec:  
„Tak mówił rodzic, gdy na mnie zakładał  
W on czas torebkę: „Znaj Nałęczów w świecie  
Boś i ty Nałęcz biedne moje dziecię!”

Między paniami co były w gościnie,  
Pani Buczacka była tegoż domu,  
Więc rzekła wszystkim: „I we mnie krew  
[płynie

Także Nałęczów—i nie dam nikomu  
Już tego dziecka, lecz z sobą je biorę,  
Kiedym się tutaj tak znalazła w porę,  
I sama kości wykupię z jassyru  
I w ziemi ojców położę do myru!..“

— „A to mnie krzywda“ rzekłem tej ma-  
[tronie,  
„Bom go za syna chciał mieć w tej Ko-  
[ronie,

A z ojcowizny jest gdzieś ziemi kawał,  
Co bez dziedzica będzie tam ostawał:“

— „A i mnie krzywda, ksiądz biskup jej  
[rzecze  
„Bo mi owieczka z kościoła uciecze,

A bacząc znaki i szczęśliwe wróżby,  
Chciałem go chować na te Boże służby“.

Na to nam pani: „A wolno przynęcić  
Będzie i chlebem i wolno poświęcić  
Będzie na służby Bożego kościoła;  
Ale krew bliższa i krew do krwi woła.  
Więc biorę dziecko, co marniało z młodu,  
A jak odgłaskam, oddam do narodu;  
Lecz że nie zdołam się z onym rozprawić  
A to i waszmość raczą u mnie bawić,  
Więc jak krew swoja na niego zawoła,  
Wróci do mowy ojców i kościoła!“

Nikt się matronie nie przeciwił zacnej,  
Lecz rzecz biskupi wzięli po swojemu,  
A że on casus nie wydał się łączny,  
Otóż sądowi zeznać duchownemu  
Aż pod przysięgą musiałem z Wartanem  
Co tylko zuałem o tym Stachu jeńcu;  
I sąd akt spisał cały przy młodzieńcu  
I na tym akcie pod pod wiarą zeznanym,  
Sam Stach pieczętkę rodzica położył,  
Poczem biskupi wyprawili listy:  
„Że Bóg w dziecięciu chwały swej przymnożył  
Bo wrócił młodzian z jassyru tak czysty,  
Jakby mu kościół był od młodu macił,  
Że wraz z rodzicem przed dwunastu laty  
Był w jassyr wzięty z dziedziny bogatej,  
I że w jassyrze rodzica utracił,  
Który przy śmierci jeszcze mu przykazał,  
Aby krwi zacnej niewiarą nie mazał,  
Ale i pacierz i klejnot zachował  
I Matkę Bożą i Polskę miłował,  
To po pacierzu wróci do ojczyzny;  
A po klejnocie tra'li do puścizny.“

I tak się stało i wrócił młodzieniec  
I herb ma Nałęcz, a kamień zabieniec,  
Na którym klejnot jest rżnięty nie lada,  
Co się do listu na wosku dokłada.

Takie to listy do wszystkich pasterzy  
Po całej Polsce i Litwie i Rusi  
Stali biskupi i Stach mocno wierzy,  
Że się rodzina jego znaleźć musi,  
Bo mu tak rodzic jego przepowiadał,  
Gdy błogosławiąc torebkę nań wkładał.

Biskup kijowski, co się pod czas chował  
W miłej gościnie, w Kamieńcu Podolskim  
Stolicę oną do roku sprawował,  
A Zygmunt Trzeci był nam królem polskim.  
Więc gdy z młodziankiem utarła się sprawa,  
Moja dopiero przed biskupy stawa,  
A kiedym zeznał, żem z młodu się chował  
Jako pacholę na hetmańskim dworze,  
Ksiądz Wereszczyński bardzo się litował  
I wierną pomoc zalecał w pokorze,  
Bo gdy biskupstwo sprawuje od granic,  
To o rycerskiej przemyśliwa w szkole,  
I Bóg mu zsyła hetmańskie pachole,  
Więc mnie nie puści od siebie już za nic;  
Tak mi do razu w swej łasce objawił,  
Bo o rycerzy tych mu bardzo chodzi,  
Co ich pan hetman w ojeździe zostawił,  
Gdy się kapłańsko i rycersko godzi...

Przyjąłem służby w wielkim odtąd mirze,  
A choć człek bardzo przytępiął w jassyrze,



Stała do roku chorągiew pod znakiem,  
I choć już miałem pięćdziesiąty drugi,  
Taki się czułem lekki na usługi,  
Jakbym nie człekiem, lecz jakbym był ptakiem.

Ksiądz Wereszczyński był z domu Korczaków  
I przyszedł na świat wśród cudownych znaków  
Co ku wielkiemu ludzkiemu zdziwieniu  
W domu świadczyły jego urodzeniu:  
Bo po białej i stołowej srebrze,  
Biskupie krzyże nagle się zjawily,  
I rodzicielka łaski nieba żebrze,  
By narodzony stał się Bogu miły.  
Zjechali księża na ten znak niezwykły  
A gdy na oczy prawdy; doświadczono,  
Na służby Boże dziecię przeznaczone,  
Podawszy do chrztu i wraz krzyże znikły;

A dziecię strojne w sukienki zakonne,  
Rosło szczęśliwie, do modlitwy skłonne.  
I mawiał nieraz ksiądz Melchior, że będzie  
Kiedyś biskupem, bo nie próżne znaki,  
I w łasce Bożej na stolicy siądzie,  
Gdy Pan przymierze takie miał z Korczaki.

Nim się on dzieciuch był jeszcze narodził,  
Już rodzic jego pod Obertyn chodził  
I miewał względy u pana hetmana,  
Więc jest w Tarnowie ta historia znana,  
Gdy ku wielkiemu ludzkiemu zdziwieniu,  
Znaki się jawią już przy urodzeniu  
Onego dziecka, po domu Korczaków,  
I dobrze sobie wrócono z tych znaków.

Lat osiemnaście przebywszy w jassyrze,  
Prawie już stracił z pamięci te krzyże,

Lecz gdy się lepiej z biskupem poznamy,  
To go raz pytam: „Czyby był ten samy?“  
— „Jużciż ten samy!“ na to mi powiada.  
I była dla mnie już łaska nie lada,  
Bo mi wyrobił taki list u króla,  
Że wolno było pod biskupie znaki  
Ściągać husary i luźne kozaki.  
Więc już wzrastała żelazna koszula  
Do ciała mego, bo stałem od granic,  
I mawiał biskup: „Nie folgujmy za nic!  
Pacierz i szkoła, a wyjdzie na lepsze.“  
I sam pod niebem naucza lud prosty,  
I błogosławiąc do Boga hołubi,  
A gdym hultajstwu nie żałował chłosty,  
Co się od granic szpetnie kupić lubi,  
Przejrzało niby one województwo,  
Bo się do Boga obrócił lud dziki,  
I miłe było nad ludźmi przewództwo,  
Bom miał pod znakiem same ochotniki,  
I dobra sprawa za sprawą zakonną,  
Bośmy stanęli od granic obronno.

Jakoś na drugi rok już prawie siadło  
Rycerskiej służby na tym stepie polskim,  
Kiedy odwiedzić w Kamieńcu Podolskim  
Księdza biskupa panu memu padło,  
A że niepokój bywał pod tę porę,  
Jak nam pisano od wołoskich granic,  
Więc pana mego nie chcę puścić za nic,  
Lecz z towarzystwa co najlepszych biorę  
I we sto koni bierzem między siebie  
Księdza biskupa, co tak jeździł konno,  
Jak gdyby nie wzrósł pod szatą zakonną,  
Lecz na rycerza w ojeździe się chował.

Bardzo w podróży biskup umiłował  
Całe rycerstwo—i gdy ciągniem srodze,  
Ludzie się z sercem radują z tych szyków  
I poczt nasz rośnie codziennie po drodze,  
A biskup sercem wita ochotników;  
I po miasteczkach to biją we dzwony  
I z chorągwiami idą na spotkanie:  
„Biskup z rycerstwem, Pańskie zmiłowanie!  
Błogosław Boże nadziejom Korony!“  
Strzały na wiwat: pozdrowił nas Lwowicz  
Z murów Kamieńca i biskup nas witał,  
A gdym zsiadł z konia, sercem tylko pytał:  
„A gdzie mój Wartan, Wartan Aslanowicz?“

Aż tu i Wartan przepycha się ku mnie,  
Bo w mgnieniu oka było w rynku tłumnie,  
Więc mnie i ściska i gładzi mi brodę  
I jak swojego bierze na gospodę  
Do domu swego i zastawia stoły.  
Był to dla serca dzień bardzo wesóły,  
I kiedym Stacha zobaczył znów, owo  
Przemówił do mnie taką wdzięczną mową,  
Jakby nią tylko mówił od kolebki  
I był tak piękny i mężny i krzepki  
I przejrzał w Bogu tak w biskupiej szkole,  
Że i łzom serca puściłem na wolę  
I bardzom splotał nad młodzieńcem onym,  
Co był z jassyru ze mną wybawionym.

Tutaj dopiero w gościnie Wartana,  
Kiedy już Wartan i Stach przy mnie siedział,  
Tutaj dopiero zwolnam się dowiedział,  
Jaka tam zaszła w losach Stacha zmiana.

Kiedy biskupi rozpisali listy,  
Że młodzian wyszedł z jassyru tak czysty,  
Iż cały pacierz jeszcze mówić umie,  
Chociaż nie więcej z mowy nie zrozumie,  
Iż po pacierzu wrócił do ojczyzny,  
A po klejnocie szuka swej puścizny,  
Iż Stach na imię, a Nałęcz ma w tarczy,  
To w odpowiedzi na uniwersały,  
Szlachta biskupa tak listy obarczy,  
Że się ksiądz biskup w duszy zafrasował,  
Boć to i z Litwy i z Korony całej,  
Kto się Nałęczem tylko pieczętował,  
To każdy pisze, że to zguba jego  
I szle na drogę i prosi najczulej,  
Aby odstawić sercu milejszego,  
To go do mienia i herbu przytuli:  
„Nasz! nasz! pisali i kość z naszej kości!  
Prosim, niech w progi Nałęczów zagości.“  
A inni znowu: „O takim nie wiemy,  
Lecz kiedy Nałęcz, o niego prosimy.“  
I widział biskup, że fałsz oczywisty,  
Kiedy odebrał zewsząd takie listy,  
I nie chciał wydać młodziana nikomu,  
Lecz go w pilności chował w swoim domu.

Jakoż dziękował biskupiej mądrości  
Mąż, co był Nałęcz z herbu i z imienia,  
Bo nie słał listów, lecz jako kość z kości  
Sam na biskupie stawił się zgłoszenia  
I złożył panu pisma i oblaty,  
Na których pieczęć położył przed laty  
Brat jego niegdyś, co zginął w jassyrze.  
Więc gdy pieczęci porównano pilnie,  
Rzekł mu ksiądz biskup. „I widzę i wierzę,  
Że jest ten samy i że wasz niemylnie!“

Gdy się z biskupem pan Nałęcz rozprawił,  
Stach w celi swojej na modlitwie bawił,  
I najść samego pragnął stryj cichaczem;  
A kiedy wstąpił do celi o mroku,  
Stach mu się rzucił do nóg z wielkim płaczem  
I już nie dostrzegł biskupa u boku,  
Ale gdy sobą o ziemię uderzył,  
To w sercu wiernem tylko w to uwierzył,  
Ze z wyspy Patmos cień się upomina  
Za swoje kości okupu u syna.  
I jęcząc wołał: „Tatu! Tatu! Tatu!  
Nie mam okupu.“ I rzekł Nałęcz łzawo:  
„Ha i krew daje tu świadectwo światu!  
Wziął mnie za ojca i Bóg stwierdził prawo.“

I długo trwało, zanim młodzian tkliwy  
Mógł w to uwierzyć, że nie cień pogrobný  
Nawiedził jego, lecz że to stryj żywy  
Był do rodzica tak bardzo podobny.

Było czułości niepowszedniej wiele,  
Bo bardzo bolał pan Nałęcz po bratu,  
A Stach co chwila do stóp mu się ściela  
I nie chciał stryju, ale zwał go „Tatu!“

Gdy się po ziemi rozbiegły te wieści!  
O dziwnych losach onego młodzieńca,  
Pani Buczacka w czułości niewieściej  
Widzieć Nałęczów zjeżdża do Kamieńca,  
Na biskupa panu Nałęczowi  
Wobec biskupa bardzo się uzali,  
Ze chociaż wierna swojemu domowi,  
Przecież młodziana w dom jej nie oddali.

Więc gdy poczęli radzić o okupie  
Kości złożonych w Janowej pieczarze,  
Rzekła tu pani: „Mój księżu biskupie,  
Lada dzień zwłoki tu przystawić każe,  
Bo jużciż kiedy nie wolno u żywych,  
Wolno pamiętać o umarłych wdowie;  
Ormiańskich księży bardzo mi życzliwych  
Na wyspę Patmos wysłałam po słowie,  
I owo piszą mi już od Suczawy,  
Ze sam pogauin do okupu kości  
Wiezie wraz z nimi w wielkiej pocziwości,  
I że nam czekać lada dzień przeprawy.“

Ksiądz biskup bardzo przepraszał matronę,  
Ale z urzędu ma jeńców obronę,  
To się i prośby nie mógł ulitować,  
Lecz musiał w wierze młodzianka odchowac;  
A gdy się wydał bardzo nie powszedni,  
To musiał czekać onej przepowiedni,  
Czy się nie ziści nad młodzianka głową?  
Gdy według świadectw już prorocze słowo  
Jest i nie jedno wśród pogan spełnione  
Z tego proroctwa, co przyszło z jassyru.  
Więc musiał czekać w modlitwie dla myru,  
Aż Bóg swe łaski zleje na Koronę,  
Jekie oznaczył tu sam palec Boży,  
Bo młodzian sypia twardo na rogoży  
I dopełnienia słów proroczych czeka  
I wierzy mocno i ufa statecznie,  
Więc wierzył biskup, że już nie daleka  
Chwila, co sprawę tę rozwiąże k'rzecznie.

Jakoż w dni kilka po onej rozmowie  
Śpieszą od Dniestru i Ormian posłowie,

Ze księży wiozą do Kamieńca kości,  
Więc całe miasto onej wielkiej rzeszy  
Na to spotkanie ze świecami śpieszy  
I wszystkie dzwony jęczą od żalości:

„Z jassyru  
Do myrul  
Do myru  
Z jassyru!”

I wszyscy patrzą na te Boże sądy.  
Bo między dwoma zawisła wielbłądy  
Truna otwarta i ksiądz kondukt wie dzie,  
A w trunie leży człowiek niby żywy,  
A tuż za truną jakiś Turczyn jedzie  
Strojny, lecz w sercu bardzo żalościwy,  
I Stach na trunę rzucił się przed bramą,  
Dziękując Bogu że powraca strata,  
Ściska Turczyna od serca jak brata,  
A Turczyn płacze przy trunie tak samo  
I woła w niebo: „Spełnione jest Lachu!”  
„Salem Jusupie!” — „Salem, salem Stachu!”

Długo Stach patrzył w te rodzica lce,  
A potem w rękę wcisnął mu gromnicę  
I wjechał w miasto na wielbłądzim lęku  
Trup do Kamieńca, dzierżąc światło w rękę,  
Więc i w czei wielkiej i w świętoblności  
Śród głównej nawy leżą jego kości.

Pani Buczacka dotrzywała słowa,  
Ale gdy w grobie złożona jest głowa  
Jusup dopiero Stachowi powiada,  
Ze się i na nim proroctwo lachowe  
Ziściło także, bo potężnie włada  
I w bramach wędzi wroga swego głowę.

Więc uczynili na nowo przymierze,  
Chociaż z nich każdy trwał w tej swojej wierze  
I wzajem każdy znaczne dary zładził  
I Stach Jusupa po Dniestr odprowadził.

Jak stryj powiadał, miał po nim dziedziczyć  
I po rodzicu młodzian wszystko mienie,  
Ale uprosił stryja zezwolenie,  
By się mógł jeszcze przy biskupie ćwiczyć  
I w rzeczach wiary i w przymierzach ziemi,  
Bo się śród pogan chował w cudzym kraju,  
To mu sromotnie stawać między swymi  
Bez światła w duszy i bez obyczaju.  
Więc go pan Nałęcz w Kamieńcu zostawił  
Przy tem ćwiczeniu na biskupim chlebie,  
I na Mazowsze w powrót się przeprawił,  
A biskupa Stacha tak garnął do siebie,  
Że z nim się tylko i modli i uczy  
I cudem prawie nauki nabiera,  
Jakby stróż anioł sam dobierał kluczy,  
Tak chciwie bierze i mądrze przeziera.

Jakoż z rozmowy po niedługiej chwili  
Poznałem jasno, co z niego zrobili,  
I że się znaczy dusza po zakonie;  
Bo jak fijołek dobra wola wonie  
Z każdego słowa i z duszy otwartej.  
Więc pamięć tego spisuję w te karty  
I wierzę w sercu mocno do ostatka,  
Że Polska nasza Świętych Pańskich Matka!

Po onej milęj w Kamieńcu zabawie,  
Z księdzem biskupem kijowskim pospołu,  
Co nie litował złota, ni mozołu,  
Służyłem razem tej rycerskiej sławie;



I pytał biskup, jako hetman radził  
Za swego czasu o rycerskiej szkole?  
Więc wszystkiem one praktyki gromadził,  
Kiedym na dworze przy buławie bywał,  
Z ksiąg i pamięci, jak wierne pachole;  
Więc to ksiądz biskup w księgi pospisywał.  
A była taka tam hetmańska rada,  
Aby nie czekać na pogany w ziemi  
Ale wziąć kraje, z których orda wpada,  
I gęsto zamki osadzić rządnie  
I główną stanicę uczynić na Krymie,  
Drugą u Dniepra, trzecią u Dunaju,  
I w Trójcy Świętej wojować tam imię,  
A młodź rycerską chować po zwyczaj  
W szkole rycerskiej; a skoro tam siędzie,  
To i spokojna od tej strony będzie  
I Polska nasza i ziemia Panonów  
I szczęście będzie dla chrześcijańskich panów,  
Dla wszystkiej Rusi i koronnych stanów,  
Gdy się zastawim rządnie od zagonów.

Takie to rady starszemu królowi  
Dawał pan hetman zawdy za żywota,  
Takie przez Straż przesłał cesarzowi,  
Gdy jeszcze nawet na łożu śmiertelnem  
Nie opuszczała rycerska ochota,  
Lecz dzierżąc wolę w animuszu dzielnym  
Pragnęła służyć radą do ostatka.  
Znam, że jest Polska Świętych Pańskich Matka!

Jakoż wielkiego wydał oświecenia  
Ksiądz biskup księgi i wielkiej poprawy  
W rzeczach obrony i w rzeczach sumienia,  
Ku pożytkowi pospolitej sprawy.

I lat już dziesięć biskup tak zabiegał  
I na tej radzie hetmańskiej polegał  
I mądre ludzie do Kijowa zwodził,  
A jam z chorągwią koło Dniepru chodził.

Kiedy nadjechał z listami od króla  
Pan jakiś dworno, więc patrzę mu w oczy,  
Aż on z radością pierwszy ku mnie skoczy;  
Patrzę, kto taki? a to Jaś Boboła!  
Co był przy panie także za pachole  
I już ostatni chował się w tej szkole  
Przy łożu pańskim na niedźwiedziej skórze.  
Toć i pociechy były sercu duże,  
Kiedysmy w oczy popatrzyli sobie,  
A jam zawołał na Jasia Bobołę:  
„Mój Benjaminku!“ słowami hetmana,  
To mię uchwycił, płacząc, za kolana,  
A potem ścisnął mię za ręce obie  
I tak się dziwnie w sercu już rozczulił,  
Że jak pachole do mnie się przytulił.

Widział ksiądz biskup po onem witaniu,  
Że mnie na dworze dłużej nie zatrzyma,  
Że po jasyrze i rycerskiem trwaniu  
Dla mnie kolei żadnych więcej nie ma;  
Lecz że wypada po krwawej wysłudze  
Pożegnać wreszcie i te kąty cudze  
I od tych granic okrytemu blizny,  
Starych przyjaciół odszukać pod niebem  
I do poczciwej wracać ojcowizny  
I kogoś przecie obdzielić tym chlebem.

Więc mi ksiądz biskup tylko błogosławił,  
Gdy nas z Bobołą z Kijowa odprawił

I nigdy w życiu, tylko w Ziemi Świętej  
I tylko w Jana świętego pieczarze  
Bywałem taką słodkością przejęty,  
Jakiej zaznałem, rzucając te straże.  
I od Kijowa obróciwszy konie  
Ku Zachodowi i rodzinnej stronie,  
Gdzie lata zbiegły niegdy mej młodości,  
A w Panu legły wszystkich moich kości!

Mój Benjaminek był to mąż rycerski,  
Dziedzic Leliwy onej sandomiejskiej,  
Jednego domu z panami Tarnowa;  
A że się chował u starszej Leliwy,  
Więc był w miłości Bożej bardzo żywy  
I obyczaje po Bobolich chowa.

Był taki zwyczaj od wieków w tym domu  
Że w białej szacie nosi się rodzina  
I jako żywot w tej szacie poczyna,  
Tak i do grobu kładzie się bez sromu  
W czystości ducha i w tej szacie białej.  
Tak się i nosił i chował dom cały  
I nikt nie widział męża tego rodu  
W złocie lub w srebrze, albo w barwie jakiej,  
Lecz wśród wszelkiego ludzkiego zawodu  
Każdy Bobola stał w szacie jednakiej  
Czysty przed Panem i biały wśród ludzi  
I duch ten samy zawdy się obudzi  
W każdej niewieście, co do domu wchodzi,  
I zacna czystych w pokoleniu rodzi  
I jako grzechu, tak się strzeże złota,  
Drogich kamieni i okazałości,  
Ale otwiera nędzy swoje wrota  
I do kościoła garnie się w miłości

Gdy Jaś był po mnie za pańskie pachole,  
Chciał znać próbować hetman jego wolę,  
Więc na znak łaski, w onem trzeciem lecie  
Złocistą zbroją udarował dziecię.  
Z pokorą przyjął pański Benjaminek,  
Dar on kosztowny jako upominek,  
Więc i na kościół posłał do rodzica;  
A gdy pan spytał, czemu w niej nie chodzi?  
Rzekł z wielką trwogą zapłakawszy lica,  
Że mu się z rodu w złocie być nie godzi.

Jakoż od wieków wielkiego zawodu  
Stado kóz srebrnych Bobole chowali,  
Więc i niewiasty wszystkie tego rodu  
Przędły tę wełnę niezwykłej białości,  
I prócz tej szaty i tureckiej stali,  
Nic znać nie chcieli Bobolowie prości.

Jako mi zbiegła ta szczęśliwa droga  
Przy Benjaminku w łasce Pana Boga,  
Tego i zeznać ledwo zdołam słowy,  
Bo tu dopiero o tem się dowiedział,  
Co tu druhowie nałamali głowy,  
Kiedym w jassyrze na tej wyspie siedział.  
Bo listy doszły do panów z Tarnowa  
I do Boboli, więc gdy doszła karta  
I gdy już znali, co w jassyrze warta  
I wolność moja i ta moja głowa,  
To mi z okupem co wierniej śpieszyli  
I w leciech mego na wyspie jassyru  
Dziewięć okupów na listy złożyli.  
A mnie Grek złodziej nie dawał do myru,  
Lecz taką siecią osaczył mnie zdradną,  
Że pisać kazał coraz listy nowe,  
Znając, że nowe okupy mu wpadną,  
Bo ktoś tak sobie ceni moją głowę;

I gdyby Pan Bóg nie zesłał Wartana,  
Co perłą podszedł był Turczyzna zrana  
I jeńców zbierał za biskupie złoto,  
Byłbym w jasyrze zaginał z sromotą.

Sercem wielkiego bardzo miłowania  
Słuchał i przygód i losów Bobola,  
I gdy nad Bugiem przyszło do rozstania,  
Powiada do mnie:

„Gdyby była wola  
I łaska taka, aby druh najszczęszy  
Na moim progu krok postawił pierwszy  
I z moją dziatwą raczył się przy chlebie,  
Błogosławieństwem znałbym to dla siebie  
I po hetmanie tak wielką puścizną,  
Jaką wziąć wolno tylko po rycerzu,  
Co wraca w ziemię z Świętymi w przymierzu  
I po jasyrze cieszy się ojczyzną!“

Ha, trudno było prośbie Benjaminka,  
Którego po mnie hetman wziął za synka,  
Nie dać i folgi i w sercu posłuchu;  
Nęciła serce ziemia sandomierska  
I onej ziemi Leliwa rycerska,  
To mu też rzekłem:

„Jadę, jadę, druhu!“

I za przewozem napowrót siadamy  
Oba do onej tatarskiej kolebki,  
Konie rozstawne, więc i w jeździe szybkiej  
Stajemy w końcu u zamkowej bramy

Strażnik dał hasło o powrocie pana:  
Opadły zwody i kolebka staje  
I Benjaminek skłonił się w kolana  
I wielką rękę w furcie zamku daje.

Marszałek tylko wyszedł na spotkanie,  
A pan Boboła, prowadząc mię w progi,  
Kiedy marszałek ze czią przy mnie stanie,  
Mówi do niego:

„Tu uściskaj nogi,  
Z jasyru  
Do myru!

I powiedz pani, niech dom cały stawi,  
Bo jeniec w Bogu mu pobłogosławił“

Chłopiędziem jaszczem razem z panem bywał  
W domu Bobolich, znałem, że w tym domu  
Krzyknąć nie wolno bywało nikomu  
I że nikt tutaj nigdy się nie gniewał.  
W zakonie Bożym chodził dom posłuchem,  
Wszystkie gromady, więc i wszystkie sługi  
Jednem się nosły i sercem i duchem,  
I gdy w dom wstąpi jeden albo drugi  
Człek obcej strony lub cudzego kraju,  
To po spokoju i po obyczajaju,  
W jakim dom wszystek, a i dwór się chował,  
Dziedziców onych w sercu uszanował:  
„Bo u Bobolich dobrze gdyby w rajul“  
Mawiał pan hetman, Leliwitów głowa;  
A i ksiądz Melchior powiadał proroczno:  
„Nie darmo ziemią w białej szacie kroczą,  
Znać krew Bobolich Bóg na służbę chowa...“

Zmieniłem szaty i pan mnie posadził  
W stołowej izbie na wielkim kobiercu,  
Więc i po chwili marszałek wprowadził  
I panią, z dziećmi, i zadrzałem w sercu,  
Bo sześciu synów, więc i sześć cór w bieli  
Stańęło z matką, wszystkie jak anieli,

Błogosławieństwa upraszając rosy  
I świętym głosem wołając w niebiosy:

„Z jasyru  
Do myru!“

Błogosławiłem domowi z wnętrzości!  
Poczem mi pani w wielkiej nieśmiałości  
Wyniosła szatę, jaka bywa doma,  
Co ją uprzedła własnymi rękoma;  
Bo taka wiara jest w domu Boboli,  
Ze nawet strzępka nie godzi się chować  
Z ziemi jassyru i z domu niewoli,  
Więc białą szatę chciała udarować.

Rzekłem jej na to, że mi nie przystoi  
Brać takiej szaty, bo lat osiemnaście  
Żyłem wśród pogan, wpadłszy w one paście  
Bez sakramentów, więc chyba przystoi  
Mnie już do truny.

I rzekła mi pani:

„Niech i tak będzie, wszak do tej przystani  
Wszystkim nam w bieli potrzeba się stawić“.  
Więc i przyjąłem szatę białej prządki,  
Bo się nie dała słowami odprawić  
I legnę biało w trunie dla pamiątki  
Wiernych sojuszów z tym domem Boboli  
Co biało stoi w ziemi z Bożej woli“

---

## KSIĘGI PIĄTE.

---

### OWRÓT NA OJCOWIZNĘ.

I

### ZAKOŃCZENIE DIARIUSZA.

---

*Anno Domini 1607 die 20 Maii.*

Jechałem wolno pełen czulej troski,  
Koło południa do rodzinnej wioski,  
Więc i żal wielki serce moje chwycił,  
Gdy z pod lip starych dwór zaświecił biały,  
I młode lata obudził z tęsknotą  
Za onem wszystkim, co już legło w grobie,  
A więc wysiadłem i idę piechotą:  
Zarosły ścieżki—zapłakałem sobie...

Przed wsią zielone rozległo się błonie  
I jak przed laty pasie stadnik konie.  
Gdym z woli ojca zaczął gospodarzyć,  
Raczy nan hetman końmi mnie obdarzyć



I ręką dane były mi z zawodu;  
Więc był tam żrebiec i z Drużbiny rodu:  
„Patrz go!” rzekł hetman „bo to sławna  
[strzecha,  
Pod którą taka chowa się pociecha“.

Jakoż gdy spojrzę się po onem stadzie,  
Widzę, że poszło po hetmańskiej radzie,  
Boć mrozowate poszło po Drużbinie.  
I takie same, jakby z oka padło,  
I kiedy stadem stadniczy zawinie,  
Widzę, co dzielne na morozym siadło!

Więc idę dalej i śpiewa skowronek  
Na Anioł Pański; ukląknę na grobie  
I po umarłych zapłakałem sobie...  
Już grób rodziców ocieniały cisy  
I na kamieniach obsiadł mech napisy,  
Poniżej stoją dwa dębowe krzyże,  
Więc kiedy do nich zwolna się przybliżę,  
Widzę, że napis jakiś na nich bywa  
I czytam z żalem:

„Łucznicz Grzelo Cywa“.

I czytam drugi, co na krzyżu stoi?  
Chociaż przeczułem, co na sobie nosi:  
„Anna Sufczyzna o paciorek prosi“.  
I w żalum jęknęła:

„Więc i wszyscy moi!“

I nie spostrzegłem, że lud za mną stoi:  
„Tak mój paniczu wszyscy tutaj nasi!  
A my witamy pana jako wasi!“  
Na to powstałem od grobu Sufczyzny,  
Patrzę, kto taki? Czy z grobu wstał Grzela?  
A to syn Cywy stał z gazdami wiela,  
Wziąwszy języka od mojej drużyny.

Proboszcz uderzyć dał we wszystkie dzwony  
I podał wodę święconą u progu,  
Więc i w kościółku, gdzie był niegdyś  
[chrzczony

Wolno znów było podziękować Bogu.  
Choć dzień powszedni, proboszcz z wystawieniem  
Pieśń „Święty Boże!“ odśpiewał w kościele;  
I padłem krzyżem i za tem natchnieniem  
I lud się wszystkich ze mną [krzyżem ściele,  
Błogosławieństwa upraszając rosy!  
I aż sam proboszcz podniósł mię z podłogi  
I tu dopiero ozwały się głosy:

„Z jassyru  
Do myru!  
Do myru  
Z jassyru!“

I lud za szaty chwycił mię i nogi!  
„Witaj paniczu! witaj panie drogi!“  
Jest w Ziemi Świętej zwyczaj uświęcony,  
Ze strusie jaje okładają złotem,  
A na niem święte malują ikony  
I w Bożym grobie składają je potem,  
Nocy czuwania pielgrzymów przy grobie.  
Więc taki klejnot i jam wyniósł sobie  
I tyle tylko uniosłem z jassyru .  
I tyle tylko bułgar mi uchował,  
Kiedy się doli mojej ulitował;  
A więc z tym tylko wróciłem do myru.  
Został mi także od grobu różaniec,  
Co mi go nie wziął ni grek ni pohaniec,  
Więc go w kościółku dałem bractwu w darze,  
A strusie jaje z świętymi ikony  
U wielkiej lampy ksiądz powiesić każe.  
I uderzono znów we wszystkie dzwony.

A gdzież z kościółka jak nie do proboszcza?  
Gromada majem ścieżkę nam wymoszcza,  
Patrzę, ksiądz młody, więc o poprzednika  
Pytam niepewny: i on już przed Bogiem!  
Więc chwalać pamięć księdza nieboszczyka,  
Z księdzem i z ludźmi łamię się pirogiem  
I patrzę z ganku gdzieś i nowe strzechy  
I nowe płoty i porosły drzewa.

Ale też same u starych pociechy,  
A i tak samo słowik w gąszczach śpiewa...

Z księdzem proboszczem i z całą gromadą  
Idę powoli milczący do dwora,  
A w bramę leci do koszary stado  
I jakbym z domu był odjechał wczora,  
Wszystko na miejscu i stoi i leży;  
Nawet pies dworski do nogi mi bieży  
I widzę po nim, że jest z tego rodu,  
Jakie bywały gdym tu żył za młodu.

Uklęknę w progu rodzicielskiej strzechy  
I patrzę w ogród, a Cywa powiada:  
„Świętego Jacka rodzą już orzechy,  
Więc i sok z drzewa wiosną ludziom zdrowy,  
A ta węgierka Jadwigi Królowej,  
To pod owocem do ziemi przysiada.“

Nowy ksiądz proboszcz niedawno dopiero  
Był przy kościele, więc zapytał szczerzo,  
Zkądby tak zwano orzechy i śliwy?  
A choć zapyta się o to u Cywy,  
Widząc, że milczy, tom księdzu powiedział,  
Com o tych śliwach i orzechach wiedział

Z ust świętobliwych mojego mentora:  
Przed Świętym Jackiem włoskiego orzecha  
Nie było w Polsce, lecz gdy za przeora  
Sam Święty Jacek w Sandomierzu radził,  
I ludzi grzesznych jał wybawiać z grzechu,  
Tedy i kościół i klasztor postawił,  
A potem koło ogrodu się bawił  
I całą kopę tych orzechów włoskich,  
Które był w torbie z Rzymu przyniósł z sobą,  
Pod świętym murem do słońca posadził;  
I zeszyły pięknie i były ozdoba  
I dały olej z tych owoców Boskich,  
Do Sakramentów i olei świętych.  
Otóż z drzew onych od Jacka poczętych,  
Po kaznodziejskim Jackowym zakonie  
Wszystkie orzechy poszły w tej Koronie.  
A śliwy z Węgier Królowa Jadwiga,  
Koło psalteryi kazała naszczepić  
I jest dla Polski oliwka i figa,  
Jak w Ziemi Świętej i w rzymskiej krainie,  
I jest czem i ducha i ciało pokrzepić  
I w drzewach rośnie pamięć ludu żywa  
Bo po Jakycynie wonny olej sływie,  
A po Jadwidze jest zamkowa śliwa.

Lat więc dwadzieścia i osiem ubiegło,  
Jak się odbiłem od swoich i domu  
A przecież wszystko szwanku się ustrzegło  
I z opatrności było dojrzeć komu  
Ludzi i statku i węgla i strzechy  
I po jassyrze zesłał Bóg pociechy.

Chodzę po dworze i patrzę na ściany:  
Więc każdy kącik dobrze sercu znany,  
Lecz brak mi czegoś? coś mi niby głucho,  
Czegoś się niby dopomina ucho?

I szukam czego? a tu zegar stoi.  
Więc pytam Cywę: „A kto zegar kręci?”  
I rzekł: „nie idzie już od niepamięci,  
To i nakręcić ręka go się boi...”  
Więc pytam: „Czemu?”

Cywa się zasmucił,  
A potem ręką niby łucznik rzucił  
I tak mi mówi: „Panie! z pierwociny  
Począć nam trzeba, by dojść temu końca:  
Gdyś się pan wybrał do świętej krajiny,  
Naszła szarańcza nas od wschodu słońca,  
A więc na bezrok wpadły i Tatary,  
Łamała ręce Sufczyna nieboga  
I lud się kajał na te Boże kary  
A że przez pogan szła ta pańska droga,  
Bywał i ojciec czasami żałobny,  
To i z proboszczem tak w końcu uradził,  
Że już po wszystkim paciorek osobny  
Za powrót pana w kościele wprowadził...  
Ot i po dziś dzień mówi się ten pacierz.  
W rok po Tatarach umarła nam macierz,  
Bo po Tatarach nie bywa bez moru;  
Trwożył się naród na te znaki Boże,  
Co widząc ojciec przeniósł się do dworu  
I siedział odtąd, a i zmarł w tym dworze.  
Zarąbek cały oddał aż do znaku  
Ze wszystkiej mojej braci najmłodszemu,  
A mnie, żem starszy jest z całego pniaku,  
Więc sobie służyć kazał po staremu.  
I z woli ojca trzymam tutaj rządy  
I jak on sądził, tak sprawuję sądy;  
A jeśli panicz zapamięta może,  
Że się sierotka chowa przy Sufczynie,  
Więc ta sierotka jest mi żoną ninie  
I jak nieboszczka rządzi dziś we dworze.

W dziesięć lat prawie po odjeździe pana,  
Zachorzał ojciec, i jakoś do doby  
Usnęła w Bogu i Sufczyzna z rana;  
Więc razem pogrzeb i razem dwa groby  
Przyszło nam sprawić.

W chwili prawie zgonu  
Rzekł do mnie ojciec: „Aż pan nie powróci,  
Niech nikt we dworze nie nakręca dzwonu.“  
I stanął zegar na chwili skonania  
I stoi dotąd wedle jego zdania,  
Lecz gdy pan wrócił, niech się zegar cuci“

Więc nakręciłem zegar znów do miary,  
„Bo pan Bóg znaczy, a człek czasu liczy“  
(Jako pan hetman mówił mi w słodczy).  
A gdy się chodem puścił zegar stary,  
Chłopięce lata ozwały się w uchu,  
I byłem znowu niby dzieckiem w duchu.

Dobrze i łucznik i syn gospodarzył,  
Boć to w szpichlerzu, w kątowym zasięku,  
Grosz, co go łucznik zebrał swego wieku,  
Leżał nietknięty, a owsem zasuty;  
W drugiem zaś kącie stał baniaczek kuty  
Z miedzi a wosku kręgami nakryty,  
I z lat następnych leżał tu grosz bity  
W złocie i w srebro: i jest cnota polska  
I za stragarzem zatknięte są karby,  
Więc i fortuna jest chudo-pacholska,  
Kiedy Bóg w ludziach daje takie skarby,  
Patrzę, na półkach bieleją półsetki  
I kręgi wosku jak młyńskie kamienie,  
Więc i skór liczyć z lat wszystkich na setki  
I futer różnych, co bywają w cenie.

Pełne wszystkiego i strychy i wschody  
I po sąsiekach chleb z ojca na syna,  
A pod śpichlerzem stoją w beczkach miody  
I w szkle pleśnieją rodzicielskie wina.

Cywa zdał karby i daje mi klucze:  
„A trzymaj wszystko, trzymaj miły bracie!  
Jako zdał ojciec i ja zdaję na cię,  
Toć i ja jeszcze czegoś się nauczę  
Na ojcowiznie przy włodarstwie twojem;  
I żyjmy razem w Bogu i pokojem!“  
Więc chociaż nie chciał, wziął klucze do siebie.  
I tak począłem z Cywą żywot nowy  
I żyłem znowu na domowym chlebie;  
Lecz że się miało już do siwej głowy,  
To naprzód przyszło o Cywie mi radzić.  
Więc z polan dworskich i z dworskiego gaju  
Takim zarąbek wyciął wzdłuż ruczaju,  
Że było na czém wybrańca osadzić  
W nagrodę wiernej w pokoleniu służby.  
Toć odsypałem kopce przy gromadzie  
I z dobrej woli gromada mu kładzie  
Wszystkie budynki, boć to z dobrej wróżby  
Poszło téj między wdzięczne odoranie.  
I gdy na tykach pług z gromady stanie,  
Aż tu bliźniaki woły i parobki,  
Więc bardzo dobrze obiecują chłopki,  
Kiedy do orki znalazł się pług taki,  
To szczęście będzie na nowej sadybie.  
I przeszedł naprzód ksiądz po onęj skibie  
I miedze wodą pokropił święconą,  
Z chlebem i solą szedłem ja w te znaki,  
A za mną Cywa szedł z dziećmi i z żoną,

Za nim dopióro szła gromada cała  
I biała czeladź i dziatwa tym szlakiem  
I dziatwa miedzę posiewała makiem  
I chleb się złożył, gdzie chata stać miała,  
Z zieleń świeconém; a że przenocował  
Nietknięty cało, więc miejsce sposobne,  
I na tém miejscu Cywa się budował,  
Sprawiwszy ucztę za służby nadobne.  
Cały zarąbek widać było z ganku  
I gdy mak zakwitł po miedzy posiany,  
Mówili ludzie, że Cywa siadł w wianku  
I że Zarąbek dobrą ręką dany!

Po Różańcowej była jesień głucha,  
Więc u komina przy ludziach się słucha  
I sieci robią chłopaki po stronie,  
I kądziel przędą prządki przy Cywinie,  
A na kominie wdzięczny ogień płonie.  
Ot i nie jeden wieczór tak się minie  
Z księdzem proboszczem i z Cywą w rozmowie,  
Boć wszystko wiedzieć pragnęli ludkowie,  
Com w Ziemi Świętej widział na me oczy.  
A więc do późna czynim wieczorynki,  
I kiedy jedno za drugim się toczy,  
Wdzięcznie składałem one upominki  
Drużynie mojej pod rodzinną strzechą,  
I było wielką dla serca pociechą,  
Że Bóg dozwolił tak się jeszcze bawić  
Młodemu księdzu i wiernemu Cywie.

Bo i dwór chwycił każde słowo chciwie,  
I nie raz, kiedy to opowiadanie  
Rozgrzeje duszę, to i sieć opada,  
Więc i wrzeczono prządek w miejscu stanie  
I Cywa koszyk i pręcie odkłada,



I każde sobie chwyta w upominku,  
Aż nas ksiądz proboszcz wezwie do spoczynku.

Kiedy rzecz miałem raz o tym młodzianku,  
Co to z jassyru wyszedł tak bez szwanku,  
Że po pacierzu trafił do ojczyzny,  
A po sygnecie wrócił do puścizny,  
To się Cywina zerwała z żalością:  
„A biedne moje! święte niewiniątko!  
Gdyby to takie zjechało tu gością,  
Za własne dziecko wzięłabym paniątko”.  
I lzy poczęła ocierać przepaską:  
„A bądź mu panie i ojcem i łaską!  
A gdzież to biedne dziś na świecie bywa?”  
I ksiądz zapłakał i zapłakał Cywa.

A więc zwiastuję wszystkim na pociechy,  
Że wkrótce może zawita do strzechy,  
Bom list otrzymał, że bawi na Rusi,  
To po jassyrze mię odwiedzić musi.

Jakoż o trzeciej adwentu niedzieli,  
Gdyśmy wieczorem razem tak siedzieli,  
Zaszyły przed ganek z trzaskiem bicza sanie,  
I do stóp moich mój Stacho się ściele,  
I wielkie było we dworze wesele,  
Że duch z jassyru w progu naszym staniał

Patrzę, Cywina w czułości przepada,  
Bo tylko pyta: „Jak lubi? co jada?”  
A więc powiadam: „Na baraniej tłuszczy  
Jagły prażone jadaliśmy w puszczy”.  
Więc na wieczerzę z wielką nieśmiałością  
Dała i jagły i wszystko odłożył  
Gość nasz od siebie, a tylko z radością,  
Prażone jagły na wieczerzę spożył.

Osiem lat było ubiegło już prawie,  
Jak pożegnałem pięknego młodzieńca  
I do Kijowa wróciłem z Kamieńca  
Z księdzem biskupem po rycerskiej sprawie;  
A kiedy patrzę, jak stoi? co gada?  
Lepiej mi jeszcze do serca przypada,  
Bo duch poważny i bardzo spokojny,  
Co dobry bywa do rady i wojny,  
A na wszem jeszcze człowiek okazały,  
Oszczędny w słowy, ale w zdaniu stały.

Więc wielkiem sercem ofiarę przyjąłem,  
Że się przy żłobku poweselim społem,  
Lecz nie tak miało być po Bożej woli;  
Bo gdy nazajutrz wyiskrzył się ranek  
I po śniadaniu wyszliśmy na ganek,  
To ze trzech sani dworzanie Boboli  
Wyskoczą ku nam; więc za nimi w ślady  
I pan Jan sunie poważny i blady  
W poszóstnych saniach na wilczym kobiercu.  
I wielce miło przyszło witać sercu,  
Kiedy zagościł gość tak bardzo drogi  
I pan tak wielki w te ubogie progi,  
Po służbie młodszy, ale krewny pana,  
Więc go pragnąłem ująć za kolana,  
Lecz rzekł poważnie: „Wszak ci w jednej szkole  
Wzrosliśmy oba, więc ja ścisnąć wolę...”  
A kiedym Stacha Nałęcza mu zlecił,  
O którym dawniej mówiłem mu wiele,  
Nagły rumieniec bladą twarz oświecił,  
Bo ogień Boży uderzył w Bobolę,  
Więc po ojcowsku począł go miłować  
I gdy zezwolił rękę ucałować,  
Rzekł mu:

„Znam losy i czczę Bożą wolę!”

Sprosiłem gości z całej okolicy:  
Zjechali księża i możni dziedzicy  
I tydzień cały święciłem „dzień mirny“  
Goszcząc i racząc „w uczcie pojassyrnej“.

Więc po tej uczcie pan Jan nam powiada:  
„Teraz już do mnie na święta wypada“.  
Więc chociaż Stacho miał świętować u mnie,  
Nie było rady, lecz z gościna całą  
Jedziem kulikiem wesoło i tłumnie  
Aż w Sandomierskie, kiedy na tem stało.

---

*Goscina w domu Bobolich.*

---

Na łowach zeszedł w poście dzień czuwania,  
Ale gdy chlebem anielskim się złamać  
Przyszło w tym domu Bożego kochania,  
To nikt już sercem nie potrafił kłamać,  
Kiedy dom cały w tej szacie zakonnej  
Staął przed gośćmi, niby wianek wonny.  
Patrzę na Stacha, a on zadrżał w sromie,  
I oraz znałem, że siądzie w tym domie  
I że poszuka tu sobie bogdanki;  
Jakoż wziął rękę starszej Bobolanki.  
A choć Nałęcz i Bobole pany,  
Na niego zdałem moją ojcowiznę,  
Bo mi jest bardzo drogi i kochany;  
To niechaj po mnie bierzę tę puściznę,  
Byleby Cywów, jako ja miłował  
I zawdy konie mrozowate chował.

---

*Wesele w domu Boboliśi.*

---

Wspaniałe córce wyprawili; wesele  
Pan Jan Bobola starym obyczajem,  
I stać musiałem tam na družbów czele  
Chociaż mi życie ubiegło za krajem;  
A więc nie bardzo mogłem radzić temu,  
Bom z Tatarami szedł pierwszego tańca  
I nie weselno družbił u pohańca.  
Szczęściem, że młodzi pomogli siwemu  
Družbie w tej sprawie, stając rękodajnie;  
Więc się odbyło wszystko obyczajnie  
I po czci Bożej i ludzkiej bez sromu,  
Jako jest zwyczaj w Leliwitów domu.

Bardzo się prosił Stacha od tej służby,  
Lecz nie popuścił: „Kto mi był w jassyrze  
Ojcem i družbą, tego proszę w družby!  
I ten niech poda ślubny wieniec w myrze!”

Przy żłobku Bożym i onej kołodzie  
Śpiewając pieśni poznali się młodzi:  
Więc na Wielkanoc już i stryj przybędzie  
I jak swat jawny w dom Bobolów wchodzi.  
Jakoż skłoniły się rodziców zdania  
I bez zabiegów i prósb onych wiela,  
Już na dzień Matki Bożej Zwiastowania  
Dzień wyznaczono onego wesela.

Podwójne rankiem zagorzały tęcze  
I odmłodzone niebo zajaśniało,  
I na wesele zjechali Nałęczce,  
A więc i ziemia sandomierska cało,

Jakoż żadnego z domu Leliwitów  
Nie brakło tedy, więc stare sojusze,  
Wierne tej ziemi odnowiły dusze,  
Pełne miłości i pełne zaszczytów.

Wielka tu pamięć żyła po hetmanie,  
A że wiedziano o mnie i o Janie;  
Jakośmy niegdy byli za chłopięta  
Przy tej buławie, toć jak bliskich panu  
Bardzo nas czczono z zasługi i stanu,  
Bo pamięć była dla hetmana święta!  
A jakie zdrowie Sandomierscy lubią,  
Pijać, gdy cnotą a sercem się chlubią,  
Wiadome wszystkim toć było kochanie,  
I w całej ziemi jedno tylko zdanie,  
Że Bóg los Stacha palcem swym oznaczył,  
Gdy w dom Bobolów wprowadzić go raczył.  
Lecz i Bobolim przypadł niby zdrowie,  
Bo wdział do ślubu domu szatę białą,  
Więc też mówili sobie Bobolowie,  
Że stadło one pójdzie Bożą chwałą...

W stołowej izbie i w zamkowej sieni  
Na wielkich stołach i w skrzyniach cedrowych  
Złożono wiano z skarbów Bobolowych,  
A matka młodej, jako domu ksieni,  
Zdawała wszystko wyprawnej czeladzi  
Zwyczajem rządnych domu tego matek;  
Więc słów niewiele tu wszystkiemu radzi,  
I całe inny Bobolów dostatek,  
Niż bywać zwykło po domach zamożnych,  
Bo nie kochano tu się w rzeczach próżnych,  
Lecz co dla domu i gromady trzeba,  
Od tych świętości począwszy i chleba,

Co w nowem miejscu zda się dla kościoła,  
Duszy i zdrowia, niczego tam zgola  
Nie brakło wcale w wielkiej obfitości.  
I wielki podziw był tam wszystkich gości,  
Bo wszystkie skrzynie stały tam otwarte,  
Więc i sądzono, co jest wiano warte  
Takiej panienki, chociaż w białej szacie.  
Boć te na wszystkie święta Matki Bożej  
Drogi aparat tuż przy aparacie  
Leży po stołach na nowej rogoży,  
A tuż przy każdym i kielichy mszalne,  
Więc i świeczniki i srebra kościelne  
I bramowane adamaszki stalne,  
Więc i monstrancye na dary weselne  
I złote puszki; na stronie osobnej  
Leżał tam także aparat żałobny  
I stała skrzynia z napisem „Mamona”  
I ta jedyna była już przymknięta,  
A kiedy wiano obchodzą panięta  
Z całym weselem, drży serce u łona,  
Bo przy żałobnym mać rzekła ornacie:  
„To za mą duszę po mej śmierci dacie!”  
A przy zamkniętej mówi rodzic skrzyni:  
„Kto biednym radzi! sobie gospodyni!  
Jeśli lży otrzeć, bierz klucz i otwieraj!  
Lecz do mamony zresztą nie zazieraj.”

Jakoż nie było i odprawy dwornej,  
Bo dom Bobolich w Panu jest pokorny,  
Więc kiedy przyszło odprawić za młodą,  
To siwe woły poszły z tą podwodą  
W pięćdziesiąt maży i odwiozły wiano;  
A stado srebrnych kóz za niemi gnano.  
Dalej dopiero szły już konne maże  
Z czeladzią oną, co trzymała straże

Nad tą wyprawą i nad onem wianem.  
Dalej w podziękę za duchownym stanem  
Sześć białych koni w pióra ustrojonych  
Szło dla biskupa, co ślub dawał młodym.  
Dalej sześć koni dla prałatów onych,  
Co biskupowi w dniu służyli onym;  
Więc i koniuszych na sześciu bachmatach,  
Po za tem wianem szło z wielkim przewodem,  
Co oddać mieli konie po prałatach,  
A wozy z chlebem świeżo upieczonym,  
Aby się młoda mogła poweselić  
I w nowem domu miała czem obdzielić,  
Kończyły orszak szczęśliwie wianowy,  
Za którym naprzód wszystkie białogłowy  
Jechały z młodą, a przy nich postronno  
Wszyscy mężczyźni, co nas było, konno.

Takie wesele, takie przenosiny!  
Stach mój pociągnął do onej dziedziny,  
Jaką po matce był objął na Rusi;  
I choć z boleścią, serce tu się kusi  
Przypomnieć czasy onego napadu,  
Kiedy wpadł Tatar do Nałęczów sadu.

Na gwałt we dworze powstał rodzic Stacha  
I do drzwi z taką siłą sam się rzucił,  
Że trzech na progu ściele jego płacha;  
Poczem się nagle do kolebki zwrócił  
I porwał dziecię i do sadu skoczył,  
A dwór do koła pohaniec otoczył.

We dworze onym bywał z dawna Tatar  
Przy dzielnych koniach dobrze ugłaskany;  
Więc gdy w najeździe Murza ostro natarł,  
Tedy to panu jeniec się odwdzięczył,  
Bo na proroka po swojemu ręczył,  
Że wielki okup będzie ordzie dany,

Byleby wszystkich życiem udarować,  
A państwo z dzieckiem w poczciwości chować.  
Jakoż te słowa miał Murza na względzie  
I wściekłość ordy powstrzymał w zapędzie  
I wyszedł Nałęcz z dziecięciem na rękę  
I o przymierze prosił słowem miru,  
I naród wszystek patrzył na to w lęku,  
Że z dobrej woli dał się do jassyru.

Tedy dopiero pani Nałęczyna,  
Co tak usnęła trudno samym rankiem,  
Że ją zaledwo strzały obudziły.  
Kiedy ujrziała i męża i syna  
Pośrodku tłuszczy tatarskiej przed gankiem,  
Zawoła w progę z całej serca siły:  
„Daj mi śmierć Boże, a wybaw te dziecię!”  
Jakoż się cudem podobało Bogu  
Wysłuchać prośbę, i pękło to życie  
I nagłą śmiercią upadła w tym progę..

Chowany Tatar Murzie to tłumaczy  
I na znak nieba zaciął się ostrożnie  
I znał pan Nałęcz, że sam Pan Bóg znaczy  
Tu drogę jego i zdał się pobożnie  
Na wolę Bożą i poszedł w te łyka;  
Ale go znano panem i w jassyrze  
I nikt go w złości, ni syna nie tyka,  
Lecz go chowano tam we czci i w mirze.

Gdyśmy zjechali na te przenosiny,  
Żył jeszcze Tatar, co Nałęczą zbawił,  
Stach do weselnej prosił go drużyny,  
I dziwne dzieje on Tatar nam prawił,  
I każdy płakał, i zapłakał sobie  
Stach razem z żoną na swej matki grobie.



„Cudowne dzieje i zrządzenia Boże!“  
Rzekł pan Jan na to słuchając powieści:  
„Mości Walenty, czy nie spisać może  
Wszystkie te dzieje, ku narodu cześci?  
Wszak cię sam hetman zaprawiał do pióra,  
A gdy Ostrogskich na dziedzictwie góra,  
To niech choć w dziejach ta nasza Leliwa  
Światłem zasługi i chwały opływa!  
Więcej znasz od nas, a to co my znamy.  
Z ochotą wielką do skarbnicy damy;  
Lecz uczyni, proszę, o co tu prosimy,  
Niech wiek hetmana nie ostaje niemy!“  
Co mówiąc ze cziłą ścisnął za kolana.

„Gdzie się podziała kronika hetmana?“  
Spytałem na to „bo onej mi trzeba“.  
Pan Jan wznosił oczy na chwilę do nieba,  
A potem przed się patrzył bardzo smutny:  
„Ha, tam gdzie wszystko!“ rzekł wreszcie po  
[chwili,

„Wszystko Ostrogskich zagarnął dom butny,  
To i kroniki także zatrapili!  
Po śmierci pani wziął ją pan kasztelan,  
Jako po ojcu, a po jego śmierci,  
Jak wszystko poszło w kawałki i ćwierci,  
Tak z skarbem całym i ten klejnot przelan  
Jest do Ostroga; jeździłem tam po to,  
Mówię: trzymajcie i ziemie i złoto,  
Lecz wróćcie księgę, którą znałem z młodu,  
Boć chwała dziejów dziedzictwem narodu!

Otóż się księgi takowej zaparli,  
Cóż było czynić? Żalę się u nieba!  
A gdy w świadectwie nie stawają zmarli,  
To z Ostrogskimi nie zламаłem chleba.

Bo mi narodu mojego żal sławy.  
I najdzielniejszej w ojczyźnie buławy!“

Choć zawsze blady nabiegł karmazynem  
Pan Jan Bobola, bardzo żalem tknięty,  
I lubo wieńczyć nie mnie to wawrzynem  
Oną buławę, żalem tym przejęty,  
Po lecjach wielu wziąłem się za pióro  
I ufam w sercu, że cnót pamięć górą  
Jako głos dzwonu pójdzie w pokoleniu  
I stanie cało w czasów dopełnieniu...

Zkąd było pobrać wielkiej sprawy wątek,  
Gdym jako świadek miał stanąć przed panem?  
Więc z raptularzy wziąłem tu początek,  
Którym spisywał w Tarnowie młodzianem  
I z onej księgi, co na wdowim dworze  
Urosła była przy księdzu Melchiorze.

Kiedym do Ziemi Świętej się wybierał,  
Oddałem skrzynię Cywie z papierami;  
Nikt jej przez wszystkie lata nie otwierał,  
Aż z panem Janem my dopiero sami.

Otóż co było po matce drogości  
I po rodzicu i po panu moim,  
Wszystko nietknięte leży w miejscu swoim  
Od tych klejnotów, aż do świętych kości.  
I tu dobyłem znów klepsydrę pańską  
I dyarjusz, com je pisał z młodu,  
Idąc za sprawą i księgą hetmańską,  
Więc też to wszystko składam dla narodu!

Gdyśmy to wszystko z tej skrzyni dobyli,  
Rzekł pan Jan do mnie po niejakej chwili:

„Zróbmy ślub bracie, że co rok, w rocznicę  
Smierci hetmana, staniemy przy trunie,  
To grób otworzy swej łaski skarbnicę  
I zagra dusza, jak lutnia po strunie!...“

I Stach do tego ślubu się zaprosił.  
Więc i do roku na rocznicę pierwszą  
I dzwon żałobę po panu ogłosił  
I Leliwczyki duszą co najszczerzą,  
Wszyscy się na mszę żałobną zebrałi,  
Sercem miłości i w harcie od stał..

Gdym wśród nich stanął, spojrzę po kościele,  
A mauzoleum podniosło się duże  
W miejscu, gdzie hetman w swej ławie sia-  
[dywał;

I kiedym ujrzał hetmana w marmurze,  
Wielce bolesne było mi wesele,  
Bo pacholęciem jam przy żywym bywał,  
A tu mi patrzeć, jako z truny wieka  
Aż zmartwychwstania w całej zbroi czeka.  
Więc i z żalością patrzyłem i długo,  
Jako legł sobie u wieczystej bramy,  
Ha i łzy krwawą puściły się strugą,  
Bo i w marmurze jeszcze taki samy!

Pewno nie byłaby dziś Litwa naszą,  
Gdybyś jej nie był twym puklerzem bronął,  
A i Ruś pewno nie byłaby laszą,  
Gdybyś Tatary nie był co rok gonął.

Kiedy się wichry wszczęły o Barbarę,  
To król chciał zerwać to przymierze stare  
I hetmanowi zażalon powiada:  
„Cóż to za sejmy? Co mi to za rada?

Ze za żalobą mam tu stawać licem?  
Ha, ja na Litwie panem i dziedzicem!  
To i znać nie chcę tej korony waszej  
I łamać wiary dla tej buty laszej.“

Tedyś go sercem począł upominać:  
— „O nie tak królu miałbyś sam poczynać!  
Jak hetman wierny stałem przy rodzicu,  
A i dziś stoję, jak Bóg wielki żywie!  
Z narodem wolnym potrzeba cierpliwie,  
To i na króla postąp po dziedzicu!“

Więc królu panie! nie idź własną wolą!  
Bo trzy narody na ciebie zabolę,  
I niech: syn pana mojego nie błądzi,  
Boć to Bóg Wielki dzieje królów sądzi!“

Tedy się Zygmunt na tronie obaczył  
Na słowa twoje, a choć był dziedzicem,  
To trzem narodom pokrólować raczył,  
Wstępując w ślady za wielkim rodzicem:

*Anno Domini 1610.*

---

Przy łasce Bożej kończę księgi moje  
I jego wziąłem, tak daję w puściznie;  
Trzy walne bitwy, trzy pamiętne boje,  
Zapiszę jeszcze na mej ojcowiznie...

Zbroje rodzica i nasze i Cywy  
Wiszą pamiętnie w tej izbie stołowej,  
A tu klepsydra, dar pani życzliwy,  
Sączy w mych oczach pyłek rubinowy,  
I kończę księgi, kończę za jej miarą,  
Z tak pełnem sercem i z tak silną wiarą,  
Że Bóg mi kazał w sprawie onej czynić.  
A kiedy oręż wyleci bezwładnie  
I pióro nawet skruszone upadnie,  
Znam, że Bóg będzie sprawie gospodynić...

Toć wielka duszę przejmuję otucha,  
Bo przejdzie ziemię to, co wysło z ducha;  
Dziejów dziedzice, to ziemi dziedzicy,  
Na chwałę krzyża i Boga rodzicy!

---

## BITWA U ORSZE.

*Anno Domini 1514. die Septembris,  
w dzień Narodzenia Najświętszej Panny.*

Wślawniony rycerz na hiszpańskiej ziemi  
Gdy z bojów wrócił, to już między swemi

Ku chwale polskiej stawiał kroki sporsze,  
Gdy przyszła bitwa pamiętna u Orsze...  
Za wojskiem w pole, któremu Ostrogski,  
Mąż wielkiej mocy, dzielności i troski,  
W on czas hetmanił i i mądrze i chrobrze,  
Lecieli krucy i mnodzy sępowie,  
Więc stąd o wojnie powróżono dobrze.

Więc kiedy przyszło u pamiętnej Orszy,  
Choć zawdy skory, był tu jeszcze skorszy  
Książę Ostrogski.

Kniaź był się rozłożył  
Za Berezyną na wysokim brzegu,  
Ale się hetman nim tak mało trwożył,  
Że po dniu jasnym i w pełnym szeregu,  
W obliczu jego uczynił przeprawę  
I w ładach stanął wojskiem w całym szyku  
I wojsko nawet nie wydało krzyku.  
Kiedy na harce isć już miało krwawe,  
Lecz w miejscu stojąc patrzy tylko mroźno  
I było bardzo i cicho i groźno.

Między wojskami wielkie pole legło  
I stado sępów, na wróżbę zaguby,  
Siadłszy na polu zaostrzały dzióby  
A gdy litewskie i wszystkie koronne  
Hetman chorągwie był sprawił do boju,  
Tedy wyjechał na miejsce przestronne  
Rycerz hiszpański w bardzo wielkim stroju,  
I kiedy z miejsca wbrew ku wrogom ruszył,  
A andaluza zarżał i poruszył,  
To wszystkie wojsko na nim okiem stani,  
I patrzy nawet sam książę Ostrogski,  
Bo bytać było, kto wojsku hetmani?  
Czy stary hetman? czy młody Tarnowski?

Tak wielką dzielność, tak wielką miał wolę,  
Choć to w ojczyźnie pierwsze było pole.  
I zadziwienie wszystkich było duże,  
Gdy przed szeregi wymknie pióra puze  
I gdy Tarnowski tak wbrew wszystkim stał  
I pojedynkiem z każdym czynić chciał,  
Coby się dzielnym wobec niego znał!

W wojsku przeciwnem takiego nie było,  
A huf panięcy, co się hardo nosił,  
Gdy rycerz młody stanął taką siłą,  
To go do koła swojego zaprosił  
I z dobrej woli sobie go przełożył.  
Więc go i sprawił jako husarz sprawny  
I bez rozkazu poszedł z nim w bój sławny

I były w całym wojsku wielkie dziwy,  
Bo poczt panięcy choć się tak powinał,  
To tylko Kmita i Zborowski zginął;  
Więc w niebo głosy, że to wódz szczęśliwy  
Tedy pan hetman rozpuścił zagony  
I wszystką siłą uderzył w te luki

I cztery mile wymoszczono trupem;  
Ba, i pogoni już nie wstrzymać więcej  
I samych koni dwadzieścia tysięcy  
Na polu bitwy zabrał hetman łupem,  
A do czterdzieści było w ludziach straty.  
Takie za Smoleńsk wziął tam kniaź zapłaty...

Znało to wojsko obojga narodu,  
 Że po Tarnowskim poszło bardzo sporo,  
 Bo gdy tak dzielnie był wyskoczył z przodu,  
 Wszystkie chorągwie pęd na wręby biorą.  
 Lecz stary hetman był mu gniewny w duchu,  
 Bo na wszem patrzył grozy i posłuchu;  
 A że poczt ruszył na bój bez rozkazu,  
 To i w niełasce miał go już do razu,  
 Choć tam chodzili Tęczyńscy, Czarnkowscy  
 I Szamotulscy, i wszyscy Zborowscy,  
 I Leliwcyki, co ich było w boju,  
 Ostrorogowie, Kmitowie, Zaręby,  
 I choć czynili rzecz po wielkim stroju  
 „I rwali wroga lwiami niby zęby“,  
 Jako sam o nich i hetman powiadał;  
 Przecież buławie całe się nie nadał  
 Wódz tego hufu, choć tak dzielnie czynił  
 Choć wszystko wojsko mówi, że „szczęśliwy!“  
 To hetman prawi: „Nieposłuch zelżywy!“  
 Więc i o winę w sejmie go obwinił  
 I żądał twardo u Jego Miłości,  
 Aby ukaran był bardzo surowo,  
 Bo wrzek żołnierskiej w ojczyźnie karności  
 Nie puści chodzić, póki sam jest głową  
 I z woli Pana trzyma tę buławę.  
 Otóż gdy w sejmie wytoczono sprawę,  
 Tak tam się ozwał hetman Tarnowskiemu:  
 „Wiedz o tem: W Polsce posłuch po staremu!  
 I znaj co karność i co rząd hetmański!

Na to Tarnowski miał rzecz złotoustą,  
 Więc i okazał, że skarga jest pustą,



Boć sam gardlując, jechał dla zachęty  
I czysto powiódł do boju huf ciężty,  
Jako był uczon, a i ćwiczon z młodu,  
Tak służby swoje poniósł dla narodu;  
I wróg pobity, a huf wszystkie żywie!

Tedy król przejrzał bardzo miłościwie  
I już obydwóm wzbronił onej mowy:  
„Cześć dla buławy i dla siwej głowy!“  
A do hetmana na ucho powiada:  
„Toć z krwi Zawiszy! i u kardynała  
Chował się z młodu, przebaczyć wypada.“

Jakoż przebaczył na królewskie słowo  
Hetman młodemu i już od tej sprawy  
Był mu miłościw i bardzo łaskawy,  
Bo go po sobie wiedział kiedyś głową;  
To go jak syna wielce umiłował,  
Więc i hetmańską zbroję mu darował,  
Co ją tak wiernie pan do śmierci chował.

Jakoż wyruszył o czasu niewiele  
Młody ów rycerz już z wojskiem na czele  
Bardzo potrzebny starszemu królowi,  
W ziemię węgierską w odsiecz Ludwikowi,  
Broniąc nie tylko krewnego i państwa,  
Ale i owszem i wszego chrześcijaństwa.  
I co tam było zagonów pogańskich  
Za Ostrogskiego, a potem Firleja,  
Na wszystkie chodził w tych potrzebach pańskich  
(Wszak za starszego króla dobrodzieja  
Było najazdów pogańskich czterdzieści),  
A z wszystkich wyszedł zwycięzko i w cześci.

---

## POTRZEBA U OBERTYNA.

*Anno Domini 1531, die 22 Augusti.*

Gdyśmy do Dniestru dotarli taborem,  
Rozłożył wojsko pan hetman pod borem,  
Kiedy się zrobił wieczór, aż kometa  
Grozi swą różgą na wieczornem niebie,  
Więc powróżono zaraz o potrzebie,  
Bo różga sięga strony Golofeta,  
Bo nowa stella, to i novus rex,  
Aut magnus vir, aut nova lex.  
Lecz że o królu nie wątpiono nic,  
Że jednym prawem rządzone się wciąż,  
To z dobrem sercem przyszło nam w bród biedz,  
Bo się nam świecił chyba wielki mąż;  
I pan Maruszka wyraźnie powiadał,  
Że o tem znano w niejednem powiecie,  
Bo mądry doktor był to przepowiadał,  
Gdy pana zwiedzał już o nowem lecie,  
Że się rok znaczy nam nieladajaki,  
Że w porę będą i niebieskie znaki,  
Że Bóg tam przejrzał o ojczyźnie dobrze,  
Że będzie syto i sławnie i chrobrze:  
Tak to upewniał Bernard z Rachtamowie,  
Książdz, akademik i bystry gwiazdowidz.

Więc kiedy stanął nad brzegiem Tyrasu  
Tabor hetmański, a kometa wschodzi,  
Rzekł wojsku hetman: „A no, jako godzi  
I zwiastowany był onego czasu“.  
I cichym szeptem poszło po obozie,  
A gdy wieczorne hasła otrąbiono,  
Po onej wróżbie i hetmańskiej grozie,  
Cale już dobrze we wojsku wróżono.

Święty Stanisław śnił się hetmanowi  
I na świadectwo wziął Chrzciela Jana  
I bardzo groźnie mówił do hetmana;  
„Jeżeli ty wątpisz twemu orężowi,  
To po raz wtóry wskrzeszę Piotrowina,  
By dał świadectwo, co czyje, co nasze!  
A gdzie jest łaska przedwiecznego Syna,  
Tam będzie łaska i Ojca i Ducha,  
Więc ufaj w krzyżu i puść białe ptaszki!”

Zerwał się hetman i patrzy i słucha;  
Brzask ledwo drasnął i szaro i mglisto,  
Ale kometę widzi oczywisto,  
Która świadectwo temu snowi daje;  
Więc się przeżegnał i dźwignął i wstaje.

„W trąby i w kotły!” i rozkaz bez bawy:  
„Za Dniestr w czas Boży! dalej do przeprawy!..”

Gdy hufiec pański już po tamtym brzegu  
Porządnie stanął i w pełnym szeregu,  
Rozbito namiot wedle znaku prawie  
I Mszę o świętym miał tam Stanisławie  
Ksiądz kaznodzieja, jako o patronie  
Wszego narodu w tej polskiej Koronie.  
Zlecając wojsko pod jego przyczynę;  
Więc i odpuścił wojsku wszystką winę...

A po Mszy świętej, którzy lepsi w pola:  
I gdy pan hetman potoczył tam koniem,  
Tak mężna dusza i tak można wola  
Znaczna tam była, że tylko iść po nim.  
Z pierwszych kóp orlik zerwał się z klekotem,  
Trawy pod koźmi wyległy pomiotem,

Że ich już kosić nie było potrzeba.  
Cicho i pusto, sine góry zdala  
I Dniestr po jarach tylko się przewala,  
A na podrywki wieje wiatr od nieba.  
Cicho a cicho w wojsku i do koła,  
Hetman na czele i groza od czoła  
I wszystko w duszy i grzeje i studzi,  
Bo tak miał zdatnie uchodzonych ludzi,  
Że ani pytał, ni słuchał, ni sądził,  
I już nie słowem, ale okiem rządził.

Nim dalej pójdę, powiedziec potrzeba,  
Zkąd się w ojczyźnie wzięła ta potrzeba?  
Był tam Petryło, gospodar wołoski,  
Co zobaczywszy na straszny sąd Boski  
I na przysięgi Koronie powinne,  
Wdał się niebacznie w złe sprawy i inne,  
W harmat nadzieje, których w Węgrzech dostał,  
Chciał być sąsiadom w pograniczu sprostał  
I jakoż ludziom na Pokuciu sprostał  
I wiele było i szkody i trwogi,  
Bo Kołomyi i Sniatyna dostał,  
I Tyśmienicy i aż do Halicza  
I wsie wypalił i ludzi pochłostał.

Więc gdy to doszło pańskiego oblicza,  
Król Zygmunt Stary hetmana wyprawił,  
Aby się z onym Wołoskim zabawił.  
Więc po dwanaście kroć się nasi sparli  
I naprzód Wołosz po twierdzach przytarli  
I osadzili rząduie swoim ludem,  
Nim się spotkali w czystem polu trudem.  
A gdy pan hetman odbił już Pokucie  
I wszystką ziemię aż po Gwóźdz graniczny,  
Hospodar słysząc, że naród nieliczny,  
Tak sobie począł w tej wołoskiej bucie

Że sześć tysięcy wysłał jeno przodem,  
A sam w dwadzieścia ciągnął już odwodem;  
Ale się hetman nic tem nie zatrwożył,  
Szedł pod Obertyn, i tam się rozłożył.  
Różnie tam o tem dzieją, jako szyki  
Pan hetman sprawił był u Obertyna;  
Lecz mnie mówili o tem stare ćwiki.  
Jaka tam była do harcu przyczyna,  
A przed wszystkimi mówił pan Maruszka  
I Ossoliński i porucznik Gruszka,  
Że tam veterē instituto było  
Na czystem polu ono szykowanie.  
Więc kiedy tabór już na miejscu stanie,  
Bardzo się sprawnie wszystko uczyniło:  
Wozy stoczono i spięto łańcuchem,  
A w środek koteże i wielbłądy w środek,  
I straż poboczna stanęła posłuchem  
I plac rynkowy rządny i obszerny  
I wielka brama trzymała mu przodek,  
A małej bramy patrzył hufiec wierny.  
W placu rynkowym hatman wojsko sprawił  
I na trzy hufy wszystko był podzielił:  
Więc hufiec pierwszy na czoło postawił,  
Za nim huf walny gravis armaturae;  
A już z trzeciego był uczynił chmurę  
Z siekanych hufów, co po skrzydłach staje;  
Więc po kozacku pierwszy, co od lica,  
Więc posiłkowy, który za nim godzi,  
Więc trzeci czarny, co z czeladzią chodzi,  
A czwarty, który zwan jest „stracenicą“;  
Bo tych siekanych hufów tyle bywa  
W tem szykowaniu po obojej stronie;  
Hetman na czoło i orzeł w koronie,  
Rzekłbyś, nie wojsko, kiedy tak wypływa.

Jakoż od wieków jest obyczaj taki,  
Że każda ziemia w potrzeb huf swój dawa,  
A gdzie na sejmie każda ziemia stawa.  
Tam też i w polu szczycą się jej znaki.

Orłem umyślił pan hetman uderzyć  
I tę wołoską wielką moc zadzierżyć:  
Naszych nie było jedno pięć tysięcy  
I to nie starych, lecz wiela junoszy,  
Dufał o sobie wprawdzie huf panięcy,  
Lecz wielka orda była tej Wołoszy,  
Bo na pięćdziesiąt tysięcy liczono  
I dział pięćdziesiąt było za ich broną.  
Więc gdy w obozie rozeszły się słuchy,  
To się poczęły trapić płocze duchy,  
Tedy mówili niektórzy, że dobrze  
Porzucić działa i w zwrot do Halicza;  
Ale pan hetman rzekł im na to chrobrze:  
„A niech od tego Pan Bóg mię uchowa,  
Bym ja klejnotu króla odbiedz miał,  
Raczej niech legnie w boju tutaj głowa,  
Niżbym bez bitwy wrogom plecy dał;  
Tutaj zwyciężyć, albo tutaj ledz!“  
I do Sieniawskich, których było trzech,  
Począł pan hetman taką mowę rzec:  
„W Bogu nadzieja, w Bogu i w tej głowni,  
Wszakże my swoi, wszak my konherbowni,  
To nam nie wątpić, ale w miejscu stać;  
A jeśli przyjdzie tutaj gardła dać,  
To niech mogiła na granicy tu,  
Jako Piotrowin da świadectwo chrztu,  
I niechaj znają, co czyje, co nasz!“

Na taką mowę wzniosły się pałasse,  
A hetman z konia i padł krzyżem w prochu  
I całe wojsko „Pod Twoją obronę“  
I było wiele serdecznego szlochu.  
Proporce wiały w nieprzyjaciół stronę  
I wielkiem sercem powróżono dobrze,  
Kiedy pan hetman tak zagał chrobrze;  
Kiedy się dźwignął, nikt nie wątpił nic  
I już na Wołosz prugał każdy biedz.

Był tam Szafraniec z Tłumacza, mąż dzielny,  
Co godzien stawić czoła w sprawie czelnej,  
Lecz go o świcie wysłał hetman precz,  
Aż wszyscy patrzą, coby na to rzec?  
Więc tylną bramą Szafraniec się zwinął  
I w świat za oczy popędził i zginął.  
I znowu chwila i cicho i głucho,  
W miejscu a w miejscu stoją wszystkie szyki,  
Hetman do ziemi sam przyłożył ucho  
I słyszy one wołoskie wybryki,  
Jak działa dudnią i chorągwie kroczą  
I jako z wozy ciężki tabór toczą.  
I do Sieniawskich: „Wielka moc wołoska,  
Lecz większa, bracia, na niebie moc Boska!“  
A w tem i Wołosz już na oko sunie  
I coraz szerzej sięga i oblega  
I wszystek tabór do koła obiega  
I jeno czekać, kiedy z dział swych runie.  
W on czas pan hetman kazał Balickiemu  
Zatylną bramą z chorągwią wyruszyć  
I Balickiemu i Trojanowskiemu,  
By snadniej było moc wołoską skruszyć;  
A wielką bramą sam wyruszył przodem,  
Bo hetman z czołem, to i Bóg z narodem;

Tam to Sieniawski za pomocą Boską,  
Na sobie dzierżył wszystką moc wołoską.

Pięćdziesiąt harmat Wołoszyn zasadził,  
Lecz niosły górą jedno drzewce gładził,  
I przez pięć godzin trwały te roboty:  
Aż on Staszkowski herbu Bogoryja,  
Starszy z puszkarzy i mąż dobrej cnoty,  
Z onego działa, co zwane jest „Żmija“,  
Ba też i „Samson“ tak Wołoszę parzy,  
Że już i bitwa w końcu się przeważy  
Na naszą stronę; tedy hufiec walny  
Wyruszył wszystek z wielką armaturą  
I okrzyk powstał: „Górą nasi, górą!“  
I rozerwana wszystka moc wołoska,  
Bo w téjże chwili z chrustu się wysunął  
Zacny Szafraniec, i zajął od skrzydła,  
Chorągwi całej nie dawszy wędzidła,  
Więc i do razu wszystek tabór runął,  
Bo rozumieli, że iście moc Boska,  
Że to posiłki przybyły Polakom  
I że nie ostać się wołoskim znakom

Ranny Petryło i harmat zaniechał  
I ledwo z życiem, a z hańbą ujechał.  
A nasi jeńców i te działa liczą  
I cały tabór zabrali zdobyczą,  
I każdy wierzył, co był na téj bitwie,  
Że widział cuda na swe własne oczy  
I o hetmańskiej powiadał modlitwie,  
Co w powrót działa do ojczyzny toczy;  
Bo co Jan Olbracht zostawił po stronie  
To Jan z Tarnowa powrócił Koronie.



Mówił Maruszka, co był w bitwie onej,  
Jako hetmańska tam się zdała sprawa:  
Gdy z dział uderzą od wołoskiej strony,  
Aż tu w tym hufcu, co na czele stawa,  
Oraz zarząły straszno wszystkie konie  
Niby na rozkaz, całe jakby z rządu,  
I rżą i grzebią ku wołoskiej stronie,  
Jak gdyby czuły dzień Bożego sądu;  
I on las kopii załomotał w górze,  
A już proporzec, niby piorun w chmurze.  
I znowu strzelbę puścili Wołosi  
I znowu koni jeszcze większe rżenie,  
Aż strach w siedzeniu, tak się żrebiec prosi,  
A górą w kopjach jeszcze chciwsze drżenie.  
A gdy raz trzeci działa już zagrały,  
W całym obozie wszystkie konie rżały,  
Tak im ochotnie było i wyskocznie,  
Że szyk wołoski miewał się widocznie,  
Tedy pan hetman, który stał na skrzydle,  
Rzeczce Maruszcze z dobrą wróżbą w oku:  
„A no, czy baczysz jaki popłoch w bydłe?  
Znaj, po com kazał strzelać przy obroku.“

Kiedy Wołosi ujrzeli tę sprawę  
I taką straszną wszystkich żrebców rżawę,  
Poczęli chytrze: nuż tabór oblegać  
I z czoła groźnie, od tyłu obiegać;  
Tedy pan hetman wysłał Balickiego  
Z porządnym hufem na zatylnią bramę,  
Aby od skrzydeł urwał wołoskiego;  
Hufy rozerwał i wyrąbał szramę.  
On to Balicki, acz był zaszły w laty.  
Lecz na sercu nic! Więc tak stanął w radzie,  
Że nie stawają już lepiej z bulaty,  
Że gdy spał hufiec i konia na zadzie,

Koń na trzy kopje jeno zadem kroczył,  
A pan Balicki sam proporcem toczył  
I oraz Wołosz na pokosy kładzie.  
Tedy pan hetman, Maruszka powiadał,  
Gdy się Balicki tak z rycerska nadał,  
Zdjął rękawicę żelazną z prawicy  
I patrzył w pierścień, co go chował w darze  
Na upominek pana kasztelana,  
I po hetmańsku świeciło z żrenicy  
I rzekł: „Nie darmo klepsydra jest dana!”  
A wtém Szafraniec ukazał się w jarze,  
I zwyciężyła iście już moc Boska,  
Bo rozerwana wszystka moc wołoska.

Ksiądz Orzechowski, którego znalazł dobrze  
I który świadczył o bitwie zaszczytnie,  
Mówił mi nie raz: „Że nigdy tak chrobrze  
Już nie bywało, jak słychać z daleka,  
I nigdy dawniej i za jego wieka,  
Chyba tak w Latium bito starożytnie!”  
— „Magnus! a Magnus!” mawiał pan Maruszka.  
— „Amor! a Amor!” powtarzał pan Gruszka.

K O N I E C .

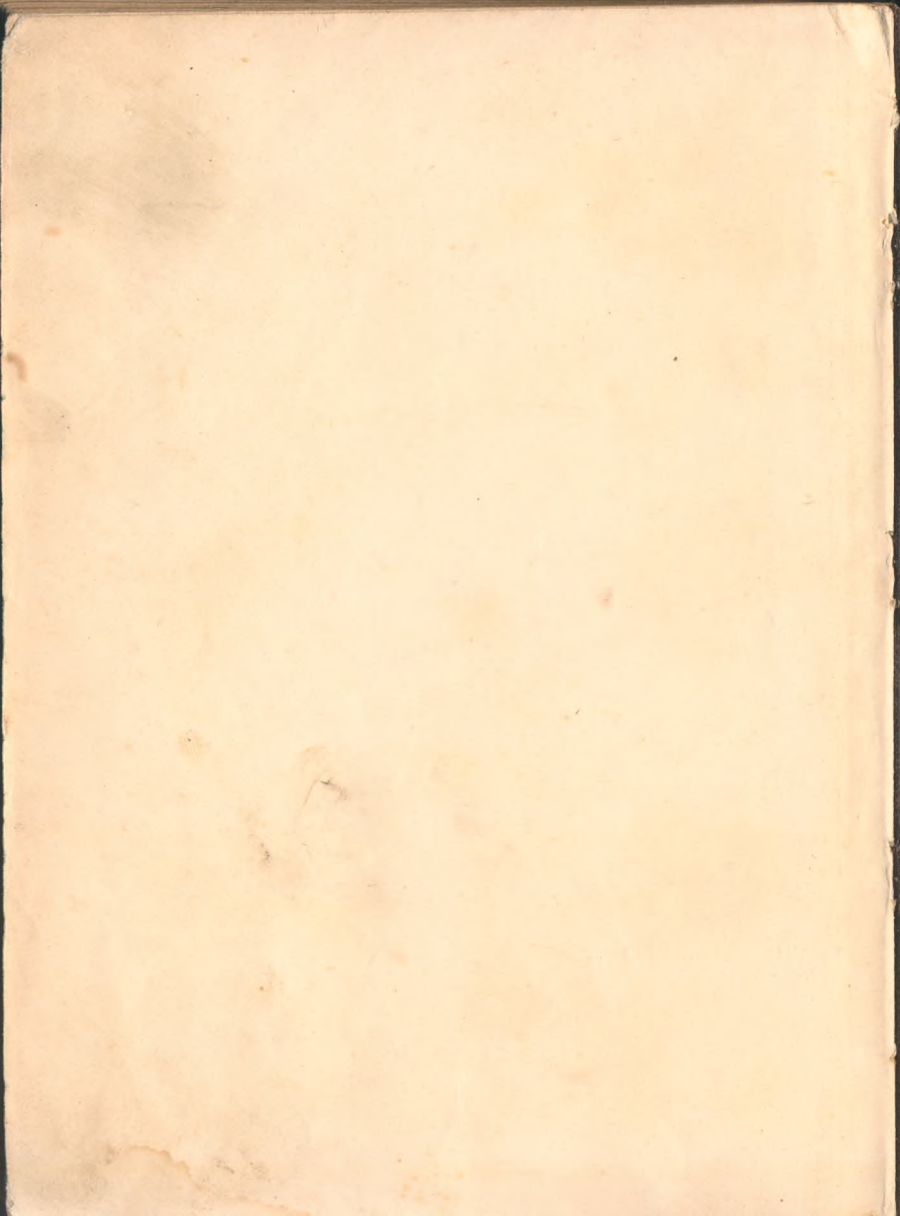












BIBLIOTEKA PEDAGOGICZNA  
W CHEŁMIE

---

**CZYTELNIA**

---

POL  
PAC

82-11-9